

# George Orwell (Eric Blair, 1903 - 1950) – Na dnie w Paryżu i w Londynie

Od Autora

Moi zacni tłumacze poprosili mnie o napisanie krótkiej przedmowy do francuskiego wydania tej książki. Ponieważ wielu francuskich czytelników będzie zapewne dociekać, co mnie skłoniło do przybycia do Paryża wtedy, kiedy wydarzyły się opisane w niej wypadki, myślę, że postąpię najwłaściwiej, jeśli zacznę od kilku szczegółów biograficznych dotyczących mojej osoby.

Urodziłem się w roku 1903. W roku 1922 wyjechałem do Birmy, gdzie wstąpiłem do Indian Imperial Police. Zupełnie się jednak nie nadawałem do tego zajęcia, toteż, na początku roku 1928, gdy przebywałem na urlopie w Anglii, złożyłem dymisję, powodowany nadzieją, że zdołam zarobić na życie piórem. Powiodło mi się mniej więcej tak samo, jak większości młodych ludzi podejmujących karierę literacką — czyli beznadziejnie. W pierwszym roku moje próby pisarskie przyniosły mi raptem nie więcej niż dwadzieścia funtów dochodu.

Wiosną 1928 r. przenieśliem się do Paryża; zamierzałem, utrzymując się za niewielkie pieniądze, napisać dwie powieści [nie przetrwał do naszych czasów rękopis żadnej z tych powieści. W liście do przyjaciela Michaela Meyera z 12 III 1949 Orwell napisał: „Po prostu zniszczyłem swoją pierwszą powieść po bezskutecznych próbach sprzedania jej pewnemu wydawcy, czego dziś ogromnie żałuję” (przyp. red. wyd. ang.)] — które, przykro mi to powiedzieć, nigdy nie zostały opublikowane — i nauczyć się francuskiego. Jeden z moich paryskich przyjaciół wyszukał dla mnie pokoik w tanim hotelu usytuowanym w dzielnicy robotniczej, który opisałem pokrótce w pierwszym rozdziale tej książki; każdy bystry Paryżanin niewątpliwie go rozpozna. Latem 1929 r. napisałem dwie powieści, zostały jednak odrzucone przez wydawców; potem doszczętnie wyczerpały mi się fundusze i znalazłem się w pilnej potrzebie znalezienia sobie pracy. Podejmowanie zajęcia przez cudzoziemców mieszkających we Francji nie było wtedy nielegalne — albo też tolerowano ów proceder — dlatego w moim wypadku wydawało się bardziej naturalne pozostać w mieście, w którym już przebywałem, aniżeli powracać do Anglii, gdzie było wtedy około dwa i pół miliona bezrobotnych. Tak więc mieszkalem w Paryżu, a opisane przeze mnie wydarzenia miały miejsce mniej więcej u schyłku jesieni roku 1929.

Jeśli chodzi o to, czy trzymałem się prawdy, uważam, że mogę powiedzieć, iż niczego nie zniekształciłem — chyba tylko w takiej mierze, w jakiej zniekształca fakty, dokonując ich selekcji, każdy pisarz. Uznałem, że jestem wolny od powinności opisywania wydarzeń we właściwym porządku chronologicznym, jednak wszystko, co zawiera moja książka, naprawdę się zdarzyło, w tym lub w innym czasie. Jednocześnie jednak powstrzymałem się, tak dalece, jak to było możliwe, od kreślenia indywidualnych wizerunków konkretnych osób. Wszystkie postacie występujące w pierwszej i drugiej części książki są raczej charakterystycznymi typami londyńczyków i paryżan, należących do określonych klas społecznych — nie zaś indywidualnościami.

Powinienem również dodać, że żadną miarą nie opisałem życia w Paryżu i w Londynie we wszystkich jego aspektach: poprzestałem tylko na jednym. Ponieważ niemal wszystkie sceny oraz incydenty, w których uczestniczyłem, mają w sobie coś odrażającego, zgoła nieintencjonalnie stworzyłem wrażenie, że Paryż i Londyn to wredne miasta. Jednak nigdy nie leżało to w moich intencjach, a jeśli czytelnik na początku lektury zaczyna tak uważać, fakt ów należy tłumaczyć po prostu tym, że temat książki jest zasadniczo mało atrakcyjny: piszę bowiem o biedzie. Gdy człowiek nie ma grosza przy duszy, zmusza go to do postrzegania każdego miasta i kraju z jak najgorszej strony, a wszyscy, lub niemal wszyscy, ich mieszkańcy wydają mu się albo braćmi niedoli, albo wrogami. Chcę podkreślić tę kwestię zwłaszcza w odniesieniu do moich francuskich czytelników, na wypadek gdyby pomyśleli, że odnoszę się choćby w najmniejszej mierze nieprzyjaźnie w stosunku do Paryża — miasta, z którego mam nadzwyczaj dobre i radosne wspomnienia.

Na początku obiecałem kilka szczegółów biograficznych. Toteż, gwoli zaspokojenia ciekawości wszystkich, których to interesuje, dodam, że po wyjeździe z Paryża, co nastąpiło pod koniec roku 1929, utrzymywałem się przeważnie z nauczania w szkole oraz w niewielkim stopniu z pisania. Poczynając od chwili opublikowania w Anglii „Na dnie w Paryżu i w Londynie” — książki, którą mają Państwo przed sobą — napisałem dwie powieści; drugą właśnie ukończyłem [„Córka duchownego” (przyp. red. wyd. ang.)]. Pierwszą ma opublikować za kilka dni pewna nowojorska oficyna [powieść *Birmańskie dni*, opublikowana przez wydawnictwo Harper & Brothers 25 X 1934 (przyp. red. wyd. ang.)].

15 października 1934

1

Rue du Coq d'Or, Paryż, godzina siódma rano. Z ulicy słychać wściekle, ochryple wrzaski. Madame Monce, właścicielka niewielkiego hoteliku z naprzeciwka, wyszła na chodnik, żeby zwymyślać lokatorkę z trzeciego piętra. Na boscie stopy wzięła saboty, siwe włosy opadają jej na ramiona.

*Madame Monce:* — *Sacree Salope!* Ile razy ci powtarzałam, żebyś nie rozgniatła pluskiew na

tapetach? Kupiłaś sobie ten hotel, czy co? Dlaczego nie wyrzucasz pluskiew przez okno, tak jak inni?  
*Espece de trainee!*

*Kobieta z trzeciego piętra: — Va donc, eh! vieille vache!*

W chwilę później dochodzą zewsząd krzyki i wrzaski, w domach po obu stronach otwierają się gwałtownie okna i połowa ulicy włącza się do kłótni. Po dziesięciu minutach wrzawa milknie jak nożem uciętą, ponieważ przejeżdża szwadron kawalerii: wszyscy przestają krzyczeć i gapią się na żołnierzy.

Kreślę tę scenę po to, żeby oddać, choćby częściowo, klimat rue du Coq d'Or. Pyskówki nie były oczywiście jedyną jej specjalnością, choć nieczęsto ranek upływał tam bez przynajmniej jednej awantury tego rodzaju. Atmosferę tej ulicy tworzyły burdy, żalosne nawoływania handlarzy, krzyki dzieci grających na bruku skórkami pomarańczy, nocami zaś głośnie śpiewy oraz kwaśny odór wozów z odpadkami.

Była to bardzo wąska ulica — tworzyła wąwóz wysokich, pokrytych liszajem budynków, pochylonych dziwacznie ku sobie, jakby wałąc się, zawisły nagle w powietrzu. We wszystkich tych domach mieściły się hotele, w których najczęściej mieszkali, stłoczeni jak śledzie w beczce, Polacy, Arabowie i Włosi. Na parterach tych hoteli urządzono maleńkie *bistra*, w których można się było upić za równowartość szylinga. W sobotnie wieczory mniej więcej jedna trzecia męskich mieszkańców tej dzielnicy była pijana. Walczono o kobiety, zaś arabscy robotnicy z najtańszych hoteli mieli między sobą tajemnicze zatargi, które rozstrzygali ciosami krzesel, a niekiedy strzelaniną z rewolweru. Nocą policjanci patrolowali tę ulicę wyłącznie dwójkami. Była to doprawdy okolica spod ciemnej gwiazdy. A jednak wśród zgiełku i brudu mieszkali tam zwyczajni, szacowni francuscy sklepikarze, piekarze, praczki oraz przedstawiciele podobnych profesji, trzymając się razem i bez rozgłosu ciułając niewielkie fortunki. Ot, typowa paryska dzielnica biedoty.

Mój hotel nazywał się Hotel des Trois Moineaux. Był to ciemny, zniszczony, zdezelowany kurnik o pięciu piętrach, podzielony za pomocą drewnianych przegród na czterdzieści numerów. Pokoiki były niewielkie i zawsze lepilo się tam od brudu, ponieważ nie zatrudniano pokojówek, a Madame F., *la patronne*, nie miała czasu na sprzątanie. Ścianki działowe były cienkie jak z tektury, zaś w celu zamaskowania szczelin pokryto je różową tapetą, niezliczonymi warstwami, które odchodziły i za którymi gnieździły się stada robactwa. Pod sufitem przez cały dzień maszerowały niczym kolumny żołnierzy długie szeregi pluskiew, które nocą schodziły na dół wygłodniałe jak wilki, toteż trzeba się było budzić co kilka godzin i tłuc je tysiącami. Niekiedy, gdy pluskwy stawały się nie do wytrzymania, paliło się siarkę, co powodowało, że owady wędrowały do pokoju obok; wtedy sąsiad w rewanżu okadzał swój pokój, a pluskwy powracały. W hotelu wprawdzie panował brud, ale było w nim miło jak w domu, albowiem Madame F. i jej mąż dawali się lubić. Opłata za numer wynosiła od trzydziestu do pięćdziesięciu franków tygodniowo.

Goście nie zagrzewali tu długo miejsca. Byli to głównie cudzoziemcy, przybywający bez bagażu, mieszkający tydzień, a potem znikający jak kamfora. Reprezentowali rozmaite zawody — byli więc wśród nich łatacze obuwia, murarze, kamieniarze, niewykwalifikowani robotnicy, byli też studenci, prostytutki, zbieracze szmat. Niekiedy biedni jak mysz kościelna. W pokoju na poddaszu mieszkał student Bułgar wyrabiający kupowane przez Amerykanów ozdobne kapcie. Od godziny szóstej rano aż do południa siedział na łóżku, szyjąc w tym czasie dwanaście par, co przynosiło mu trzydzieści pięć franków dochodu; resztę dnia spędzał na słuchaniu wykładów na Sorbonie. Przygotowywał się do stanu duchownego, a na podłodze jego zarzuconego ścinkami skóry pokoju wałały się bezładnie dzieła teologiczne. W innym numerze mieszkała Rosjanka z synem mieniącym się artystą. Matka pracowała przez szesnaście godzin dziennie, cerując skarpetki po dwadzieścia pięć centymów za sztukę, podczas gdy jej synalek, porządnie ubrany, włóczył się po kawiarniach Montparnasse. Jeszcze inny pokój został wynajęty jednocześnie dwóm lokatorom: pierwszy pracował na dzienną zmianę, drugi zaś na nocną. Obok pewien wdowiec dzielił łóżko z dwiema dorosłymi córkami — obie chorowały na gruźlicę.

W hotelu mieszkali dziwaczeni osobnicy. Paryskie dzielnice slumsów wabią takich ludzi — ludzi, którzy zostali dotknięci samotnością i na wpół popadli w obłąd; którzy już nawet przestali udawać, iż są normalni czy też przyzwoici. Nędza zwalniała ich od konieczności przestrzegania obowiązujących norm zachowania, tak jak posiadanie pieniędzy zwalnia od pracy. Niekiedy z lokatorów prowadzili życie tak osobliwe, że doprawdy trudno nawet je opisać.

Tacy na przykład Rougiersowie, para starych łachmaniarzy karzełkowatej postury parających się niezwykłym handlem. Sprzedawali pocztówki na Boulevard St Michel. Cały dowcip polegał na tym, iż znajdowały się one w zapieczętowanych pudełkach, tak jak zdjęcia pornograficzne, choć w rzeczywistości przedstawiały fotografie *chdteawc* nad Loarą; nabywcy odkrywali to poniewczasie i oczywiście nigdy nie zgłaszały reklamacji. Państwo Rougiersowie zarabiali około stu franków tygodniowo i dzięki ścisłemu reżimowi oszczędnościowemu zawsze pozostawali na wpół głodni, na wpół nietrzeźwi. W ich pokoju było tak brudno, że fetor tego brudu wyczuwało się już piętro niżej. Madame F. utrzymywała, że żadne z obojga Rougiersów od czterech lat nie zdejmowało ubrania.

Albo Henri, kanalarz. Był wysokim melancholijnym mężczyzną o kręconych włosach; w swoich długich butach ochronnych wyglądał wcale romantycznie. Odznaczał się on szczególną cechą: przez cały czas, z wyjątkiem godzin spędzonych w pracy, milczał jak grób, trwało to dosłownie całymi dniami. Zaledwie przed rokiem miał dobrą posadę szofera i odkładał pieniądze. Pewnego dnia zakochał się, a kiedy dziewczyna odrzuciła jego zaloty, stracił panowanie nad sobą i kopnął ją. Tak skarcona panienka rozkochała się w Henrim nieprzytomnie i przez dwa tygodnie mieszkali razem, wydając tysiąc franków z jego oszczędności. Potem partnerka okazała się jednak niewierna, toteż Henri dźgnął ją nożem w ramię, za co powędrował na sześć miesięcy do więzienia. Zraniona dziewczyna jeszcze mocniej pokochała Henriego, po czym się pogodzili i postanowili, iż gdy tylko wyjdzie on z paki, kupi taksówkę, wezmą ślub i założą rodzinę. Jednak po upływie dwóch tygodni dziewczyna znów dowiodła swej niewierności, gdy zaś Henri znalazł się za bramą, wyszło na jaw, iż jego narzeczona spodziewa się dziecka. Henri nie dźgnął jej po raz drugi nożem. Wyjął z banku wszystkie swoje oszczędności i poszedł w pijackie tango, które zakończyło się miesięczną odsiadką, a po wyjściu na wolność podjął pracę kanalarza. Nic nie mogło skłonić go do mówienia. Na pytanie, dlaczego wybrał sobie taki zawód, nie odpowiadał ani słowem; tylko krzyżował ręce w nadgarstkach, co miało oznaczać kajdanki, po czym szybkim ruchem głowy wskazywał na południe, w kierunku więzienia. Wyglądało na to, iż przez zły los w ciągu jednego dnia pomieszało mu się w głowie.

Albo niejaki R., Anglik, który przez sześć miesięcy w roku mieszkał z rodzicami w Putney, zaś sześć pozostałych miesięcy spędzał we Francji. W czasie tego pobytu wypijał cztery litry wina dziennie, a sześć litrów w soboty; raz nawet znalazł się aż na Azorach, ponieważ wino jest tam tańsze aniżeli gdziekolwiek w Europie. R. był łagodnym, obłaskawionym osobnikiem, nigdy się nie awanturował i nie kłócił, nigdy też nie trzeźwiał. Wstawał z łóżka w południe, a potem aż do północy przesiadywał w swoim kącie w *bistro*, spokojnie i metodycznie zalewając robaka. Jednocześnie rozprawiał modulowanym, kobiecym głosem o antycznych meblach. Oprócz mnie R. był w naszej dzielnicy jedynym Anglikiem.

Mieszkało u nas mnóstwo innych osób prowadzących równie jak tamci dziwaczne życie: monsieur Jules, Rumun, który miał sztuczne oko, ale za Boga się do tego nie przyznawał, Fureux, kamieniarz z prowincji Limousin, skąpiec Roucolle — ten zmarł, nim wprowadziłem się do hotelu, stary Laurent, handlarz szmat, kopiujący swój podpis z wzoru na świstku papieru, który nosił stale w kieszeni. Byłoby zabawne napisanie biografii kilku takich postaci, gdyby naturalnie dysponowało się czasem. Opisuję mieszkańców dzielnicy bynajmniej nie z tego powodu, że tworzą galerię osobliwych typów, lecz dlatego, iż wszyscy ci ludzie są bohaterami mojej opowieści. Piszę o nędzy, tej zaś zaznałem po raz pierwszy w paryskich slumsach. Właśnie w brudnych, zaludnionych postaciach o osobliwych życiorysach slumsach odebrałem pierwszą lekcję poglądową nędzy, one też następnie były tłem moich własnych doświadczeń. I dlatego chcę wszystkim uzmysłwić, jak się żyło w tym świecie.

Życie w naszej dzielnicy. Na przykład *bistro* na dole Hotel des Trois Moineaux. Małe pomieszczenie, niemal suterena, o ceglanej posadzce, drewniane stoły przesiąknięte winem, na ścianie fotografia jakiegos pogrzebu podpisana „*Credit est mort*”, przepasani czerwonymi szarfami robotnicy krojący kielbasę wielgachnymi scyzorykami; Madame F., ogromna chłopka z Owernii, przypominająca krowę o stanowczym wyrazie pyska, całymi dniami popijająca malagę „na żołądek”; partie kości rozgrywane o *aperitifs*; piosenki o „*Les Fraises et Les Framboises*” i o Madelon, co to powiedziała: „*Comment epouser un soldat, moi qui aime tout le regiment?*”; osobliwy zwyczaj publicznego uprawiania amorów. W tym *bistro* zbierała się wieczorami połowa mieszkańców hotelu. Idę o zakład, że w całym Londynie ze świecą nie znajdzie się piwiarni, w której byłoby choćby w połowie tak wesoło i sympatycznie.

Słyszało się tam dziwne rozmowy. Jako przykład niech posłuży opowieść Charliego, jednej z lokalnych osobliwości.

Charlie pochodził z dobrej rodziny i otrzymał staranne wykształcenie, uciekł jednak z domu i żył z nieregularnie otrzymywanych stamtąd przekazów pieniężnych. Oto, jak wygląda: młody, o nadzwyczaj różowej cerze, ma delikatne, zarumienione policzki i puszyste ciemnoblonde włosy, zupełnie jak mali, śliczni chłopcy; jego usta są nienormalnie czerwone i wilgotne niczym wiśnie. Stopy Charliego są małe, ramiona nieproporcjonalnie do tułowia krótkie, jego poznaczone dołeczkami dłonie przypominają rączki dziecka. Gdy mówi, w szczególny sposób kręci się i podskakuje, jakby nadmiar radości i wigoru nie pozwalały mu ustać spokojnie. Jest godzina trzecia po południu i w naszym *bistro* nie ma nikogo oprócz Madame F. i jednego czy dwóch bezrobotnych, jednak Charliemu jest wszystko jedno, do kogo mówi, byleby tylko mógł mówić o sobie. Przemawia więc niczym trybun na barykadzie, tocząc z ust słowa i gestykulując króciutkimi rączkami. Jego nieco świńskie oczka płoną uniesieniem. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale w jego postaci jest coś głęboko odrażającego.

Charlie rozprawia na ulubiony temat, to znaczy o miłości.

— *Ah, l'amour, l'amour! Ah, que les femmes m'ont tue!* Niestety, *messieurs et dames*, kobiety zawsze były moim przekleństwem, przekleństwem nie do odwrócenia. Mam dwadzieścia dwa lata i oto stoję przed wami zgnębiony i skończony. Z drugiej jednak strony — jakąż rozległą wiedzę posiadam, jakież

otchłanie mądrości zgłębiłem! Jakże wspaniale jest osiąść prawdziwą mądrość, stać się — w najszczytniejszym tego słowa znaczeniu — człowiekiem cywilizowanym, stać się *raffine*, *vicieux*, i tak dalej, i tak dalej.

*Messieurs et dames*, dostrzegam, iż ogarnął was smutek. *Ah, mais la vie est belle* — nie wolno się smucić. Zaklinam was — więcej radości!

*Napełnijmy kelichy przednim samos, Precz troszki i smartfienia!*

*Ah, que la vie est belle!* Słuchajcie więc, *messieurs et dames*, pełnia mojego doświadczenia skłania mnie, bym powiedział wam o miłości. Otóż wyjaśnię, czym jest naprawdę miłość, czym jest prawdziwa wrażliwość uczuć, owa wyższa, bardziej aniżeli inne wyrafinowana przyjemność, znana jedynie osobom o najwyższym smaku. Opowiem wam o najszcześniejszym dniu mojego życia. Niestety, dawno przeminęły dni, kiedy doznawałem podobnych przyjemności. Minęły bezpowrotnie, pierzchła też nadzieja na ich powrót, wraz z nią nawet pragnienie tego powrotu.

Słuchajcie tedy. Zdarzyło się to przed dwoma laty; mój brat — jest prawnikiem — przybył do Paryża, rodzice nakazali mu odnaleźć mnie i zaprosić na obiad. Choć się z bratem nienawidzimy, on jednak postanowił ulec woli rodziców. Zasiadliśmy do stołu, a po trzech butelkach *bourdeaux* mój braciszek był pijany jak bela. Zabrałem go do hotelu, po drodze kupiłem flaszkę brandy, gdy zaś znaleźliśmy się na miejscu, wmusiłem weń pełen kielich trunku — tłumacząc, iż po wypiciu zawartości natychmiast otrzeźwieje. Wypił i padł jak ktoś, kto dostał ataku; był kompletnie zalany. Podniosłem go, posadziłem na podłodze, a potem przetrząsałem mu kieszenie. Znalazłem tysiąc sto franków, zbiegłem z łupem na dół, wskoczyłem do taksówki i czmychnąłem. Brat nie wiedział, gdzie mieszkam, byłem więc całkowicie bezpieczny.

Dokąd zmierza mężczyzna, gdy ma pieniądze? Jego celem jest oczywiście *borde!* Nie sądzicie jednak chyba, iż zamierzałem trwonić czas na prostą rozrywkę, która przystoi jedynie zwykłym robociarzom? *Sapristi!* mam przecież wyrafinowany smak! Byłem wszak wyposzczony, bardzo pragnąłem się wyżyć, zaś w kieszeni miałem tysiąc franków. Gdy wreszcie znalazłem to, czego szukałem, na zegarach biła północ. Zapoznano mnie z osiemnastoletnim, bardzo eleganckim młodzieńcem ubranym *en smoking*, o włosach przyciętych *a Vamericaine*; rozmawialiśmy w cichym *bistro* daleko od bulwarów. Rozumieliśmy się doskonale — on i ja. Gadaliśmy o tym i owym, omawialiśmy rozmaite rodzaje rozrywek. Potem wsiedliśmy do taksówki, która natychmiast ruszyła.

Samochód zatrzymał się w wąskiej uliczce na uboczu, w oddali świeciła samotna latarnia gazowa. Na kamiennym bruku połyskiwały ciemne kałuże. Naprzeciw biegł stromy, nagi mur jakiegoś klasztoru. Mój przewodnik poprowadził mnie do wysokiego, zrujnowanego budynku i kilkakrotnie zapukał do drzwi. Rozległy się kroki, szczerknął zamek i drzwi nieco się uchyliły. Wsunęła się spoza nich ręka, duża i zakrzywiona: dłoń wykonała gest domagający się pieniędzy. Młodzieniec wsunął stopę między drzwi i próg. „Ile chcesz?” — zapytał.

„Tysiąc franków — odpowiedział kobiecy głos. — Płaćcie natychmiast albo się wynoście”.

Wsunąłem w wyciągniętą łapę tysiąc franków, pozostałą setkę ofiarowałem mojemu przewodnikowi, on zaś życzył mi dobrej nocy i poszedł sobie. Usłyszałem szelest przeliczanych banknotów, a potem zza drzwi ostrożnie wyjrzała ubrana na czarno stara chuda wiedźma i typiąc podejrzliwie wpuściła mnie do środka. Wewnątrz panowały ciemności, dostrzegałem jedynie płomyk palnika gazowego, oświetlający skrawek ściany; inne przedmioty spowijał całkowity mrok, śmierzdzało szczurami i stęchlizną. Starucha bez słowa zapaliła od palnika świecę, a potem, kuśtykając, zaczęła prowadzić mnie opadającym korytarzem o kamiennej posadzce; wkrótce zatrzymaliśmy się przy kamiennych schodach prowadzących w dół.

„*Voilà* — szepnęła — niech pan teraz zejdzie do piwnicy i zrobi to, na co pan ma ochotę. Nic nie widziałam, nic nie słyszałam, o niczym nie wiem. Wszystko panu wolno, czy to jasne? Absolutnie wszystko”.

Ha, *messieurs*, czyż mam opisywać wam — *forcement*, znacie to przecież sami — ów dreszcz wywołany częściowo przez obawę, częściowo zaś przez radość, dreszcz przebiegający po plecach w takich chwilach? Schodziłem po omacku, trzymając się blisko ściany. Słyszałem tylko własny oddech i chróbot butów na stopniach, poza tym panowała cisza. Gdy znalazłem się u podnóża schodów, namacałem wyłącznik światła. Przekręciłem go i oto wielki żyrandol o dwunastu czerwonych kloszach zalał piwnicę potokami purpurowego światła. Ale okazało się, że nie jestem w żadnej piwnicy tylko w wielkiej sypialni, urządzonej bogato i z przepychem, w której wszystko jak okiem sięgnąć było czerwone. Zechciejcie tylko wyobrazić to sobie, *messieurs et dames!* Czerwony dywan na podłodze, na ścianach czerwone tapety, krzesła obite czerwonym pluszem; nawet sufit był czerwony — zewsząd dosłownie biła w oczy czerwień. Był to ciężki, przytłaczający rodzaj czerwienu, zupełnie jakby światło płynęło poprzez ocean krwi. Daleko stało potężne, kwadratowe łoże, nakryte pikowanymi kołdrami, czerwonymi tak jak wszystko dookoła; leżała na nich dziewczyna ubrana w suknię z czerwonego aksamitu. Na mój widok skuliła się, usiłując ukryć kolana pod kusym odzieniem. Zatrzymałem się na progu.

„Chodź tu, dziecinko!” — zawołałem.

Dziewczyna trwożnie jęknęła. Znalazłem się przy niej jednym skokiem, usiłowała się wymknąć, ale chwyciłem ją za gardło — spojrzcie, o tak — i zacisnąłem dłonie. Walczyła, zaczęła krzyczeć, błagać o litość, trzymałem ją jednak mocno, a potem odciągnąłem do tyłu głowę, patrząc mej ofierze prosto w oczy. Miała może ze dwadzieścia lat i szeroką tępą twarz głupiego dziecka, pokrytą szminką i pudrem; jej błękitne, maślane oczy, błyszczące w czerwonym świetle, przybrały ów charakterystyczny wyraz przerażenia i zagubienia, jaki widuje się tylko w oczach takich kobiet. Niewątpliwie dziewczyna była chłopką, sprzedaną w niewolę przez rodziców.

Bez słów zwlokłem ją z łoża i powaliłem na podłogę. Potem rzuciłem się na nią niczym tygrys. Ach, owa radość, owo nieporównywalne z niczym uniesienie, jakiego wtedy doznałem! Właśnie o tym, *messieurs et dames*, właśnie o tym pragnę wam mówić; *voilà l'amour!* Oto prawdziwa miłość, oto jedyny cel na świecie, ku któremu warto dążyć, oto coś, w obliczu czego wasza sztuka i ideały, wasze filozofie i religie, wasze piękne słowa i szczytne wartości stają się jałowe i wypalone niczym popiół. Kiedy bowiem doświadczyło się miłości — prawdziwej miłości — czyż istnieje coś, co nie byłoby li tylko czczym cieniem rozkoszy?

Posiadłem dziewczynę ponownie, jeszcze brutalniej. Znow usiłowała się wymknąć, znow zaczęła płakać, błagalnie żebrząc o litość, ale ja roześmiałem się tylko.

„Litości! — sztydziłem — czy sądzisz, że przyszedłem tutaj, żeby się nad kimkolwiek litować? Myślisz, że zapłaciłem tysiąc franków za litość?” — Otóż przysięgam wam, *messieurs et dames*, że gdyby nie te przeklęte prawa, które wydarły nam wolność, zamordowałbym ją wtedy.

O, jakże rozdzierająco krzyczała, jakie przerażające okrzyki bólu wydawała. Nikt ich jednak nie słyszał, w lochach pod ulicami Paryża byliśmy tak bezpieczni jak w sercu piramidy. Po twarzy dziewczyny płynęły łzy, które zmywały puder, pozostawiając podłużne, brudne smugi. Och, gdzież są owe chwile, które już nigdy nie powrócą? Wy, *messieurs et dames*, wy, którzy nigdy nie doświadczyliście arcysubtelnych uniesień miłosnych, chyba nigdy nie zdołacie dogłębnie pojąć istoty tej przyjemności. Co się zaś tyczy mnie, dziś, gdy miłość jest już przeszłością — ach, młodość! — życie nigdy nie będzie dla mnie tak cudowne jak tamtej nocy. Jednak wszystko się skończyło.

Tak, skończyło się — odeszło bezpowrotnie. Ach, ta nędza, krótkotrwałość i rozczarowanie towarzyszące ludzkiej radości! Jak bowiem długo tak naprawdę — *car en realite* — trwa najwyższe miłosne uniesienie? Chwilkę, mgnienie oka, sekundę najwyżej. Sekunda ekstazy, a co potem? — popiół, jałowość, pustka.

Otóż ja również zaledwie przez chwilę osiągnąłem ów stan doskonałego szczęścia, najwyższe i najbardziej wysublimowane doznanie, jakie może się stać udziałem człowieka. Jednak w tej samej sekundzie wszystko pierzchnęło — jak się wtedy czułem? Moja brutalność i namiętność opadły i rozwiały się niczym płatki róży. Leżałem na łożu chłodny i obojętny, pełen płonnych wyrzutów sumienia; mój stan ducha był taki, iż nawet niemal współczułem szlochającej na podłodze dziewczynie. Czyż nie jest odrażające, że padamy ofiarą tak niskich uczuć? Nie patrzyłem na dziewczynę, pragnąłem jedynie uciec z sypialni. Pobiegłem schodami na górę i wydostałem się na ulicę. Było ciemno, panował przenikliwy chłód, a odgłos moich kroków niósł się głuchym echem wśród opustoszałych ulic. Nie miałem grosza przy duszy, nawet na taksówkę. Szedłem piechotą do wyziębionego, pustego mieszkania.

Spełniłem jednak, *messieurs et dames*, obietnicę, opowiadając wam o tym. O Miłości. Tamten dzień był najszcześniejszym dniem w moim życiu.

Tak, ten Charlie był dziwnym typem. Opisuję go, chcę bowiem pokazać, jakie to rozmaite postacie żyły sobie w tym kwartale ulicy Coq d'Or.

Mieszkałem tam około półtora roku. Któregoś dnia, było to latem, skonstatowałem, że pozostało mi zaledwie czterysta pięćdziesiąt franków, a oprócz tego moje tygodniowe przychody wynosiły jedynie trzydzieści sześć franków, które zarabiałem udzielając lekcji angielskiego. Nie myślałem dotychczas o przyszłości, w tamtej chwili uświadomiłem sobie jednak, iż powinienem natychmiast coś uczynić. Doszedłem do wniosku, że muszę zacząć szukać jakiegoś zajęcia, po czym zawczasu — jak się okazało, na całe szczęście — wpłaciłem dwieście franków tytułem zaliczki za miesięczny czynsz. Za pozostałe dwieście pięćdziesiąt franków oraz wpływy z lekcji mogłem przeżyć miesiąc, w tym czasie zaś, jak sądziłem, zdołam zapewne znaleźć jakieś zajęcie. Zamierzałem zatrudnić się w charakterze przewodnika w jednej z firm turystycznych albo jako tłumacz. Niestety, pech pokrzyżował moje plany.

W naszym hotelu pojawił się młody Włoch, który twierdził, iż jest kompozytorem. Wydawał się postacią raczej dwuznaczną, albowiem nosił bokobrody, po których można poznać albo apasza, albo intelektualistę, nikt zaś nie był całkowicie pewien, do której grupy społecznej należy go zakwalifikować. Nie spodobał się Madame F., która kazała mu zapłacić z góry za tygodniowy pobyt. Włoch zapłacił i mieszkał przez sześć dni. Przez ten czas zdołał dorobić kilka kluczów i ostatniej nocy swego pobytu obrabował tuzin pokoi, w tym również mój. Na szczęście nie odnalazł pieniędzy, które trzymałem w kieszeni, toteż nie pozostałem bez grosza. Miałem przy duszy dokładnie czterdzieści siedem franków,

czyli siedem szylingów i dwa pensy.

Położyło to kres moim planom poszukiwania pracy. Odtąd musiałem żyć za około sześć franków dziennie i od samego początku było mi trudno przestać o tym rozmyślać. Tego dnia po raz pierwszy doświadczyłem biedy — życie za sześć franków dziennie właściwie nie oznacza biedy, tylko jej pogranicze. Sześć franków stanowi równowartość szylinga, a za szylinga można w Paryżu przeżyć jeden dzień, jeśli się zna odpowiednie sposoby. Tyle że jest to sprawa skomplikowana.

Pierwszy kontakt z biedą jest nader osobliwym przeżyciem. Dotąd nie zaprzętałeś sobie głowy biedą — jest ona czymś, czego obawiałeś się przez całe życie, czymś, co, jak oczekiwałeś, spadnie na ciebie prędzej czy później, a jednak, gdy to nastąpi, okazuje się, że bieda jest stanem krańcowo i prozaicznie odmiennym od tego, czego się spodziewałeś. Zdawało ci się, że wszystko pójdzie gładko i prosto, tymczasem rzecz staje się niezmiernie złożona. Wyobrażałeś sobie, że bieda to coś strasznego, tymczasem jest ona jedynie przykra i nudna. Najpierw spostrzegasz, iż łączą się z nią ów szczególny stan poniżenia, wybiegi, do jakich cię zmusza, całe to skomplikowane dziadowanie, wyjadanie resztek. Zauważasz na przykład, że bieda zmusza do dyskrekcji. Nieoczekiwane pozostało ci na dzień utrzymanie sześć franków. Oczywiście nie odważysz się nikomu do tego przyznać — musisz udawać, iż nic się nie stało. Z miejsca wplątujesz się przez to w pajęczynę kłamstw, jednak nawet kłamiąc, niełatwo ci żyć. Zaprzestajesz oddawania brudnych ubrań do prania, tymczasem spotkana na ulicy praczka pyta cię, dlaczego zrezygnowałeś z jej usług; mruyczysz wtedy coś pod nosem, ona zaś, sądząc, iż oddajesz odzież komuś innemu, zostaje twoim śmiertelnym wrogiem. Trafikant dziwi się, dlaczego przestałeś palić. Nadeszły listy, na które chciałbyś odpowiedzieć, ale nie możesz, gdyż nie stać cię na znaczki. Pozostały jeszcze posiłki — jest to najtrudniejsza kwestia. Codziennie, gdy nadchodzi pora posiłku, wychodzisz do miasta, niby to do restauracji, ale w rzeczywistości włóczysz się przez godzinę w Ogrodach Luksemburskich, gapiąc się na gołębie. Następnie przemycasz do domu jedzenie w kieszeniach. Żywisz się wyłącznie chlebem i margaryną lub chlebem i winem; nawet rodzaj żywności, którą kupujesz, łączy się z twoimi kłamstwami. Jesteś zmuszony kupować chleb żytni, zamiast zwykłego, ponieważ bochenki żytniego pieczywa, aczkolwiek droższe, są okrągłe i można je łatwiej ukryć w kieszeniach. Tracisz na tym franka dziennie. Niekiedy, chcąc zachować pozory, musisz wydać sześćdziesiąt centymów na drinka, wskutek czego nie masz za co kupić jedzenia. Twoja bielizna pokrywa się brudem, brakuje ci mydła i żyłek. Powinieneś się ostrzyć, próbujesz więc podciąć samodzielnie włosy, co przynosi oplakane rezultaty, musisz zatem, chcąc nie chcąc, pójść do fryzjera i wydać równowartość dziennej porcji żywności. Przez cały dzień kłamiesz i są to kosztowne kłamstwa. Odkrywasz, iż sześć franków dziennie oznacza ogromną niepewność. Dotykają cię godne pożałowania małe katastrofy, pozbawiające cię jedzenia. Wydałeś ostatnie osiemdziesiąt centymów na pół litra mleka i grzejesz to mleko na palniku spirytusowym. W garnku wrze, gdy nagle widzisz, jak po ręce biegnie ci pluskwa, przytkasz w nią paznokciem, pluskwa spada — plum! — prosto do mleka. Nie ma wyjścia, wylewasz mleko i chodzisz głodny.

Wstępujesz do piekarni po funt chleba i czekasz, aż sprzedawczyni odkroi funt dla innego klienta. Dziewczyna jest niezadarna, toteż porcja waży nieco więcej. „*Pardon, monsieur* — prosi klienta — zapłaci pan dwa sous więcej, dobrze?” Funt chleba kosztuje franka, ty zaś masz przy sobie dokładnie tyle. Myślisz, że ciebie również mogłaby poprosić o zapłacenie dwóch sous więcej; musiałbyś wtedy odpowiedzieć, że nie dysponujesz taką kwotą, toteż w porywie paniki wybiegasz ze sklepu. Nim wraca ci odwaga i znów wchodzisz do piekarni, upływa kilka godzin.

W sklepie z zieleniną chcesz kupić za franka kilogram kartofli. Jedna z monet, które wręczasz sprzedawcy, okazuje się monetą belgijską i oddają ci ją z powrotem. Wychodzisz chyłkiem, by już nigdy nie pokazać się w tym sklepie.

Zbłądziłeś do porządnej dzielnicy i widzisz, że oto nadchodzi twój przyjaciel, któremu się dobrze powodzi. W celu uniknięcia spotkania umykasz do najbliższej kawiarni. Skoro jednak się tam znalazłeś, musisz coś zamówić, wydajesz więc swoje ostatnie pięćdziesiąt centymów na szklankę kawy, w której pływa martwa mucha. Mógłbyś wyliczyć setki podobnych katastrof. Są one nieodłącznym składnikiem biedy.

Poznajesz smak głodu. Mając w żołądku chleb i margarynę, idziesz ulicą i oglądasz wystawy. Wszędzie dostrzegasz jedzenie, które ci urąga, ogromne, przeogromne stosy jedzenia: pieczone w całości prosięta, kosze z gorącymi bochenkami chleba, wielkie żółte bloki masła, wieńce kielbas, góry kartofli, olbrzymie, przypominające młyńskie kamienie, sery gruyere. Na widok takich ilości jedzenia płacziwie litujesz się nad sobą. Zamierzasz porwać bochenek chleba i uciec, porzucasz jednak swój zamiar z czystego tchórzostwa.

Odkrywasz również nudę, która zawsze i wszędzie jest nieodłącznym składnikiem biedy; przychodzi czas, gdy nie masz nic do roboty, a ponieważ jesteś niedożywiony, pozostaje ci jedynie obojętność. Potrafisz przeleżeć pół dnia w łóżku, czując się *jak jeune squelette*<sup>1</sup> z wiersza Baudelaira. Tylko posiłek mógłby postawić cię na nogi. Uzmysławiasz sobie, że ktoś, kto żywił się przez tydzień wyłącznie

chlebem z margaryną, przestaje być człowiekiem, staje się zaś brzuchem, wyposażonym w kilka pomocniczych organów.

Tak właśnie wygląda — opis ów można by ciągnąć, wszystkie fakty będą jednak do siebie podobne — życie za sześć franków dziennie. Tysiące ludzi w Paryżu prowadzi takie życie: zmagający się z biedą artyści i studenci, prostytutki, ilekroć opuści je dobra passa, ludzie pozbawieni z różnych powodów pracy. Tworzą oni, by tak rzec, obrzeża biedy.

Ja sam żyłem w ten sposób przez około trzy tygodnie. Czterdzieści siedem franków szybko się skończyło i musiałem radzić sobie otrzymując trzydzieści sześć franków tygodniowo za lekcje angielskiego. Ponieważ brakowało mi doświadczenia, źle gospodarowałem tymi pieniędzmi i niekiedy przez cały dzień głodowałem. Ilekroć zostawałem bez grosza sprzedawałem kilka sztuk garderoby, przemycając je w niewielkich paczuszkach z hotelu do sklepu ze starzyzną przy rue de la Montagne St Genevieve. Za ladą stał tam rudy Żyd, wyjątkowo niesympatyczny osobnik, który na widok klienta wpadał na furię. Patrząc nań, można było odnieść wrażenie, iż wyrządza mu się krzywdę. — *Merde!* — wykrzykiwał — znowu was tu widzę? Myślicie, że co tu jest — bezpłatna garkuchnia? — Ów Żyd niezmiernie nisko wyceniał przynoszony towar. Za niemal nowy kapelusz, który kosztował mnie dwadzieścia pięć szylingów, dał mi pięć franków; za parę niezłych butów — pięć franków, koszule cenił po franku. Zawsze wolał wymieniać, niż kupować i zawsze uciekał się do swojej wypróbowanej sztuczki: wciskał klientowi w dłoń jakiś bezużyteczny przedmiot, a potem udawał, że dobito targu. Pewnego razu byłem świadkiem, jak zabrał jakiejś staruszce porządną jesionkę, w zamian wcisnął jej w dłoń dwie kule bilardowe, po czym wypchnął ją ze sklepu, nim kobiecina zdążyła zaprotestować. Z przyjemnością rozkwasiłoby się nos temu Żydowi, gdyby można było sobie na to pozwolić.

Te trzy tygodnie dziadowania były przykre i denerwujące, nie miałem też wątpliwości, iż nadchodzą jeszcze gorsze dni, zbliżał się bowiem termin płatności komornego. Niemniej jednak sprawy nie przedstawiały się ani w ćwierci tak źle, jak się obawiałem. Wpadając bowiem w biedę dokonuje się odkrycia, przewyższającego swą rangą niektóre inne. Doświadcza się po raz pierwszy nudy, boryka się z rozmaitymi drobnymi utrudnieniami, a także zaznaje początków głodu, odkrywa się również jednak wspaniałą cechą biedy, kompensującą jej wady: otóż unicestwia ona przyszłość. Do pewnych granic prawdą jest to, iż im ktoś ma mniej pieniędzy, tym mniej się zadręcza. Mając przy duszy tylko sto franków łatwo można wpaść w strasliwą panikę. Jeżeli jednak człowiek ma tylko trzy franki, wszystko mu jedno; za tę sumę i tak wyżywi się do następnego dnia, a poza tę datę wyobraźnia nie wybiega. Dręczy cię nuda, ale jesteś spokojny. Snujesz rozmyślenia: za dzień albo dwa będę głodować — przerażająca perspektywa, czyż nie? A potem umysł zajmują ci inne problemy. Dieta chlebowo-margarynowa staje się w pewnej mierze środkiem znieczulającym.

Doznaje się również innego uczucia, będącego wielkim pocieszeniem w biedzie. Każdy, kto jej doświadczył, z pewnością je zna. Jest to uczucie ulgi, niemal przyjemności, którą wywołuje świadomość, że spadło się wreszcie na samo dno. Często rozmyślałeś o schodzeniu na psy — no i proszę, oto są te „psy”, szedłeś na nie, ale jakoś można wytrzymać. To bardzo uspokaja nerwy.

#### 4

Pewnego dnia raptownie urwały się moje lekcje angielskiego. Robiło się coraz cieplej, toteż pierwszy z moich uczniów, zbyt leniwy, żeby kontynuować naukę, zwolnił mnie. Drugi wyprowadził się bez uprzedzenia, będąc mi dłużnym dwanaście franków. Zostało mi tylko trzydzieści centymów i ani żdźbła tytoniu. Przez półtora dnia nie miałem nic do jedzenia ani do palenia, potem zaś, zmuszony głodem, zapakowałem do walizki pozostałą garderobę i zaniósłem ją do lombardu. Położyło to kres wszelkiemu udawaniu, iż jestem przy forsie, ponieważ z hotelu nie wolno było wynosić ubrań bez pozwolenia Madame F. Pamiętam, jak bardzo się zdziwiła, że proszę o to, zamiast wynieść odzież cichcem; w naszej dzielnicy goście hotelowi często się ulatniali nie płacąc rachunku.

Znalazłem się po raz pierwszy we francuskim lombardzie. Przez imponujący marmurowy portal (przyozdobiony oczywiście hasłem „*Liberte, Egalite, Fraternite*” — we Francji te trzy słowa widnieją nawet nad komisariatami policji) wchodziło się do przestronnej, pozbawionej wszelkich ozdób sali, przypominającej salę szkolną, w której znajdował się kontuar oraz trzy rzędy ławek. Oczekiwało tam czterdzieści albo pięćdziesiąt osób. Oddawało się zastawiony fant urzędnikowi za ladą i siadało na ławce. Następnie, oszacowawszy przedmiot, urzędnik wołał:

— *Numero* taki-a-taki, czy przyjmiecie pięćdziesiąt franków? — Niekiedy było to tylko piętnaście franków, innym razem dziesięć albo pięć — niezależnie od wysokości kwoty słyszała ją cała sala. Gdy wszedłem, urzędnik akurat zawołał z cieniem pogardy w głosie: — *Numero* 83 tutaj proszę! — po czym cicho zagwizdał i przywołał klienta gestem, jakim przywołuje się psa. *Numero* 83 podszedł do kontuaru: był to stary, brodaty mężczyzna w szczelnie zapiętej jesionce i spodniach o wystrzępionych nogawkach. Urzędnik zwrócił mu bez słowa tobolek było jasne, iż przedmiot ów nie jest wart złamanego grosza. Pakunek spadł na ziemię i rozwiązał się, po czym wszyscy ujrzeli cztery pary męskich wełnianych

kalesonów. Nikt nie potrafił powstrzymać się od śmiechu. Żalony *Numero 83* zebrał gacie do kupy i pocztapał ku wyjściu mruczając coś pod nosem.

Garderoba, którą chciałem zastawić wraz z walizką, kosztowała mnie ponad dwadzieścia funtów i była w dobrym stanie. Obliczyłem sobie, iż musi być warta dziesięć funtów, zaś jedna czwarta tej kwoty (w lombardzie zawsze oczekuje się otrzymania jednej czwartej wartości fantu) wynosiła dwieście pięćdziesiąt albo trzysta franków. Siedziałem spokojnie, oczekując w najgorszym wypadku dwustu franków.

Wreszcie urzędnik wywołał mój numer: — *Numero 97!*

— Jestem — odezwałem się, wstając.

— Siedemdziesiąt franków?

Siedemdziesiąt franków za odzież wartości dziesięciu funtów! Wdawanie się w kłótnię nie miało jednak sensu, widziałem bowiem, jak ktoś usiłował spierać się z urzędnikiem, po czym ten ostatni natychmiast odmówił przyjęcia przedmiotu. Odebrałem pieniądze oraz kwit i wyszedłem. Z ubrania pozostało mi teraz tylko to, co miałem na grzbiecie — mocno znoszona marynarka i płaszcz, który może by i dało się zastawić, oraz koszula. Dowiedziałem się poniewczasie, iż rozsądniej jest pójść do lombardu po południu. Urzędnicy są Francuzami, zatem jak większość Francuzów, dopóki nie zjedzą obiadu, mają zły humor.

Gdy wreszcie wróciłem do hotelu, Madame F. zamiałała podłogę *bistro*. Wyszła mi na spotkanie i stanęła na schodach. W jej spojrzeniu wyczytałem niepokój o swoją należność.

— No i jak — zapytała — ile pan dostał? Chyba niewiele, co?

— Dwieście franków — rzuciłem pospiesznie.

— *Tiens!* — wyjąkała zaskoczona — no, nieźle. Jak kosztowne muszą być te angielskie ubrania!

Kłamstwo to oszczędziło mi sporo kłopotów, potem zaś, szczególnym zbiegiem okoliczności, okazało się prawdą. Po kilku dniach otrzymałem ni mniej, ni więcej, tylko dwieście franków wierszówki za opublikowany w gazecie artykuł, po czym z wielkim bólem w sercu uregulowałem rachunek co do grosza. Dzięki temu, choć w następnych tygodniach przyszło mi niemal głodować, zawsze miałem zapewniony dach nad głową.

Teraz absolutną koniecznością stało się znalezienie pracy. Przypomniałem sobie swojego przyjaciela kelnera, Rosjanina imieniem Borys, który mógłby mi przyjść z pomocą. Poznałem go w szpitalu, na bezpłatnym oddziale, gdzie leczył zapalenie stawów w lewej nodze. Powiedział mi wtedy, iż ilekroć znajdę się w potrzebie, zawsze mogę na niego liczyć.

Muszę opisać Borysa bliżej, ponieważ był on osobliwą postacią i przez dłuższy czas pozostawał moim serdecznym przyjacielem. Postawny, mający w obojętności coś z wojskowego, mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, choć niegdyś był przystojny, odkąd zachorował roztył się potężnie przez długie leżenie w łóżku. Tak jak większość rosyjskich uchodźców, miał życie obfitujące w przygody. Jego rodzice, którzy zginęli podczas Rewolucji, byli bogaci, on sam zaś służył podczas wojny w Drugim Pułku Strzelców Syberyjskich, która to jednostka, jak utrzymywał, była najlepszym pułkiem w armii carskiej. Po wojnie pracował początkowo w fabryce szcotek, potem jako tragarz w Les Halles, następnie był pomywaczem, wreszcie awansował na kelnera. Nim zachorował, miał zajęcie w Hotel Scribe, zarabiając dzięki napiwkom sto franków dziennie. Jego ambicją było zostać *maitre d'hotel*, odłożyć pięćdziesiąt tysięcy franków i otworzyć niewielką ekskluzywną restaurację na prawym brzegu Sekwany.

Borys zawsze wspominał wojnę jako najszcześniejszy okres życia. Jego pasją była wojna i żołnierka; przeczytał niebywałą liczbę książek na temat strategii oraz historii wojskowości, wiedział też wszystko o teoriach Napoleona, Kutuzowa, Clausewitza, Moltkego i Focha. Sprawiało mu przyjemność wszystko, co miało jakikolwiek związek z żołnierzami. Jego ulubioną kawiarnią była Closerie des Lilas przy Montparnas-se, tylko dlatego że naprzeciw stał pomnik marszałka Ney'a. Później często jeździliśmy z Borysem na rue du Commerce. Jeśli korzystaliśmy z metra, mój przyjaciel zawsze wysiadał na stacji Cambronne zamiast Commerce, choć ta ostatnia znajdowała się bliżej celu: radowała go zbieżność nazwy z nazwiskiem generała Cambronne'a, który, wezwany pod Waterloo do złożenia broni, odparł po prostu: — *Merde!*

Po Rewolucji Borysowi pozostały tylko medale i kilka fotografii macierzystego pułku; zachowywał te przedmioty nawet wtedy, kiedy zastawiał wszystko inne. Prawie codziennie rozkładał zdjęcia na łóżku i wygłaszał nad nimi takie oto komentarze:

— *Voilà, mon ami!* Oto ja na czele kompanii. Wspaniałe chłopaki, prawda? Nie tak jak te małe szczury — francuscy żołnierze. Być kapitanem w wieku dwudziestu lat — nieźle, co? Tak, byłem kapitanem w Drugim Pułku Strzelców Syberyjskich, a mój ojciec służył w nim w stopniu pułkownika.

*Ah, mais, mon ami,* te wzloty i upadki w życiu! Najpierw jestem kapitanem w armii rosyjskiej, a potem, paff!, wybucha Rewolucja i zostaję bez grosika. W roku 1916 mieszkalem przez tydzień w Hotel Edouard Sept, w roku 1920 chciałem się tam zatrudnić jako nocny strażnik. Byłem nocnym strażnikiem, piwnicznym, cykliniarzem, pomywaczem, tragarzem, kłozetowym. Dawałem napiwki kelnerom i sam je



od nich otrzymywałem.

Ach, zdążyłem jednak poznać życie dżentelmena, *mon ami*. Nie chcę się przechwalać, lecz pewnego dnia usiłowałem obliczyć, ile miałem kochanek i wyszło na to, że było ich ponad dwieście. Tak, co najmniej dwieście... No, cóż, *ca revienda*. Ten zwycięża, kto walczy najwytrwalej. Odwagi! — i tak dalej, i tak dalej.

Borys miał dziwny, chwiejny charakter. Zawsze pragnął znów włożyć mundur, ponieważ jednak zbyt długo był kelnerem, udzieliła mu się kelnerska mentalność. Choć nigdy mu się nie udało odłożyć więcej aniżeli kilka tysięcy franków, przyjął za pewnik, że w końcu otworzy własną restaurację i się wzbogaci. Jak się potem przekonałem, wszyscy kelnerzy o tym samym mówią i myślą; nadzieja na własny lokal trzyma ich w tym zawodzie. Borys opowiadał ciekawe rzeczy o życiu hotelowym.

— Kelnerstwo to hazard — mawiał — można umrzeć w nędzy, można w rok zebrać fortunę. Nie jest się na pensji, są tylko napiwki — dziesięć procent od każdego rachunku oraz prowizja od firm winiarskich za każdy korek od szampa. Czasem napiwki bywają ogromne. Na przykład barman u Maksima zarabia pięćset franków dziennie. W sezonie — ponad pięćset... Sam zarabiałem dwieście franków dziennie. W hotelu w Biarritz, podczas sezonu. Cały personel, od zarządzającego po *plongeurów*, pracował wtedy dwadzieścia jeden godzin na dobę. Dwadzieścia jeden godzin pracy, dwie i pół godziny na sen — i tak przez cały miesiąc. Ale dostawało się dwieście franków dziennie, więc warto było.

Szczęście przychodzi nieoczekiwanie. Gdy pracowałem w Hotel Royal, jakiś Amerykanin przywołał mnie przed obiadem i zamówił dwadzieścia cztery koktajle na brandy. Przyniosłem je wszystkie razem na tacy w dwudziestu czterech kielichach. „A teraz, *garçon* — oświadczył mi ów gość (a był zalany w pestkę) — ja wypiję dwanaście porcji, pan również dwanaście, i jeśli później zdołasz pan dojść do drzwi, otrzymasz dwieście franków”. Doszedłem do drzwi i facet wręczył mi dwie setki. Każdego wieczora przez sześć dni z rządu Amerykanin powtarzał ten sam numer: dwanaście koktajli na brandy i dwieście franków. Po kilku miesiącach dowiedziałem się, że został poddany ekstradycji na żądanie władz amerykańskich za defraudację. No i sam powiedz, czy ci Amerykanie to nie wspaniały naród?

Polubiłem Borysa — spędzaliśmy razem uroczę chwile, grając w szachy i prowadząc rozmowy o wojnach i hotelach. Mój przyjaciel często namawiał mnie, żebym został kelnerem. Podobałoby ci się takie życie — mówił — praca, dwieście franków dziennie, miłutka kochanka — nie jest źle. Powiadasz, że zajmujesz się pisaniem. Można to o dupę potłuc! Istnieje tylko jeden sposób na zarobienie pieniędzy piórem — poślubienie córki wydawcy. Byłby z ciebie dobry kelner, gdybyś tylko zgolił wąsy. Jesteś wysoki i mówisz po angielsku — są to najważniejsze cechy, jakie musi posiadać kelner. Zaczekaj, aż będę mógł poruszać tą przeklętą nogą, *mon ami*. A potem, jeśli kiedykolwiek będziesz bez pracy, przyjdź do mnie.

Ponieważ brakowało mi pieniędzy na zapłacenie rachunku hotelowego i byłem głodny, przypomniałem sobie o obietnicy Borysa i postanowiłem natychmiast go odwiedzić. Bynajmniej nie oczekiwałem, że zostanę kelnerem tak łatwo, jak obiecywał mój przyjaciel, ale oczywiście potrafiłem zmywać naczynia, nie miałem też wątpliwości, że Borys załatwi mi pracę w kuchni. Mówił mi przecież, iż latem można ją otrzymać nie płacąc ani grosza za pośrednictwo. Pomyślałem z ulgą, że mam przynajmniej jednego wpływowego przyjaciela, na którego mogę liczyć.

Krótko przedtem Borys podał mi adres: rue du Marche des Blancs Manteaux. W liście wyjaśnił tylko tyle, że: „sprawy posuwają się nieźle naprzód”, toteż wykoncypowałem, iż mój przyjaciel powrócił do Hotel Scribe, wyciągając tam swoich sto franków dziennie. Byłem pełen nadziei i wyrzucałem sobie, że jestem głupcem, ponieważ nie poszedłem wcześniej do Borysa. Widziałem się już w przytulnej restauracyjce, w której weseli kucharze wyśpiewują miłosne serenady, rozbijając jajka, i w której będę mógł zjeść parę solidnych posiłków dziennie. Licząc na przyszłe zarobki, lekką ręką wydałem nawet dwa i pół franka na paczkę papierosów *Gauloises Bleu*.

Rankiem udałem się w kierunku rue du Marche des Blancs Manteaux; na miejscu skonstatowałem z przerażeniem, iż jest to taka sama uboga boczna uliczka jak moja. Hotel Borysa był zaś najbrudniejszym hotelem w okolicy. Zza zasmolonych drzwi wejściowych buchał obrzydliwy, kwaśny fetor, mieszanina zapachów pompy i syntetycznej zupy — nazywała się ona *Bouillon Zip* i kosztowała dwadzieścia pięć centymów za torebkę. Ci, którzy jedzą *Bouillon Zip*, albo już głodują, albo są na krawędzi głodu. Czy Borys naprawdę zarabia sto franków dziennie? Gburowaty *patron* w służbówce powiedział mi, że owszem, Rosjanin jest w domu — na poddaszu. Przebyłem sześć kondygnacji wąskich, krętych schodów, im zaś byłem wyżej, tym zapach *Bouillon Zip* przybierał na sile. Borys nie odpowiedział na pukanie do drzwi, toteż otworzyłem je i wszedłem.

Facjatka miała trzy metry kwadratowe powierzchni; nie było tam żadnych lamp, lecz tylko świetlik w dachu, dostrzegłem też wąskie żelazne łóżko, krzesło oraz umywalkę na chwiejnej podstawie. Długi szereg pluskiew, który przybrał kształt litery „s”, lał po ścianie nad łóżkiem. Borys spał nago, jego potężny, bochenkowaty brzuch okrywało brudne prześcieradło. Klatka piersiowa była cała upstrzona śladami po ukąszeniach owadów. Kiedy znalazłem się w pokoiku, mój przyjaciel obudził się, przetaił

oczy i jęknął przeraźliwie.

— Jezu Chryste! — zawołał — Jezu Chryste, o, mój kręgosłup! Niech to diabli, chyba mam złamany kręgosłup!

— Co się stało? — krzyknąłem przerażony.

— Mam złamany kręgosłup, ot co! Całą noc przeleżałem na podłodze. Jezu Chryste! Gdybyś wiedział, jak mnie boli!

— Borys, drogi chłopie, czyżbyś był chory?

— Nie chory, tylko głoduję — jeśli to potrwa dłużej, zagłodzę się na śmierć. Sypiam na podłodze, a do tego od tygodni mam dwa franki dziennie na jedzenie. To straszne. Przyszedłeś w niedobrym momencie, *mon ami*.

Wypytywanie go, czy nadal pracuje w Hotel Scribe, nie miało już większego sensu. Pobiegłem na dół i kupiłem bochenek chleba. Borys rzucił się na chleb jak wygłodniały wilk i zjadł połowę, poczuł się lepiej, usiadł na łóżku i opowiedział mi swoją historię. Po opuszczeniu szpitala nie otrzymał pracy, ponieważ wciąż mocno kulał, w rezultacie wydał wszystkie oszczędności i zastawił wszystko, co miał, wreszcie zaś przez kilkanaście dni przymierał głodem. Sypiał przez tydzień pod Pont d'Austerlitz, między jakimś beczkami po winie. Do facjatki wprowadził się przed dwoma tygodniami, dzieląc lokum z pewnym Żydem, który był mechanikiem. Okazało się (Borys udzielał mi skomplikowanych wyjaśnień), iż ów Żyd był mu winien trzysta franków, zaś spłacał dług w ten sposób, że pozwolił mu sypiać na podłodze i wydzielał dwa franki dziennie na jedzenie. Za dwa franki można było kupić kubek kawy i trzy bułki. Żyd wychodził do pracy o siódmej rano: o tej porze Borys mógł opuścić swoje legowisko (znajdowało się bezpośrednio pod świetlikiem, który przepuszczał deszcz) i przenieść się na łóżko. Z powodu pluskiew i tak nie mógł tam sobie pospać, ale odpoczywał mu wtedy grzbiet.

Doznałem ogromnego rozczarowania: oto przyszedłem prosić Borysa o pomoc, a znalazłem go w gorszej niż moja sytuacji. Wyjaśniłem mu, że zostało mi tylko około sześćdziesięciu franków i że muszę jak najszybciej znaleźć pracę. Mój przyjaciel zjadł już jednak cały chleb, dzięki czemu stał się wesoły i rozmowny. Rzekł niedbałym tonem:

— Boże drogi, czym się martwisz? Sześćdziesiąt franków — toż to fortuna! Proszę, podaj mi but, *mon ami*. Zmiażdżę nim te owady, jeśli podleżą bliżej.

— Czy sądzisz, że mam jakąś szansę na pracę?

— Szansę? Więcej — pewnośc. Prawdę powiedziawszy, mam już coś na oku. Za kilka dni przy rue du Commerce mają otworzyć nową restaurację rosyjską. *Une chose entendue*, że zostanę tam *maitre d'hotel*. Mogę ci z łatwością załatwić zajęcie w kuchni. Pięćset franków miesięcznie — również napiwki, jeśli będziesz miał szczęście.

— Dobrze, ale co tymczasem? Niedługo muszę zapłacić rachunek w hotelu.

— Och, coś tam znajdziemy. Mam kilka atutów w rękawie. Są na przykład ludzie winni mi pieniądze — mnóstwo ich w Paryżu. A pewien facet musi wkrótce oddać forszę. Pomyśl też o wszystkich moich dawnych kochankach! Kobieta, jak sam wiesz, nigdy nie zapomina — muszę tylko poprosić, a zaraz mi pomogą. Oprócz tego mój Żydek powiedział, że ukradnie kilka prądnic z garażu, gdzie pracuje, a potem zapłaci nam pięć franków dziennie za oczyszczenie ich przed sprzedażą. Nawet tylko z tego będziemy mogli wyżyć. Nie wolno się martwić, *mon ami*. Niczego tak łatwo się nie zdobywa jak pieniędzy.

— W takim razie wyjdźmy i poszukajmy pracy.

— Już wychodzimy, *mon ami*. Nie bój się, nie będziemy głodować. Tak to już bywa na wojnie — wpadałem w gorsze tarapaty setki razy. Wszystko polega na wytrwaniu. Zapamiętaj maksymę Focha: — *Attaquez! Attaquez! Attaquez!*

Nim Borys zdecydował się wstać z łóżka, nadeszło południe. Do ubrania pozostały mu teraz wyłącznie garnitur, koszula, krawat, para niemal zupełnie znoszonych butów i para dziurawych jak rzeszoto skarpetek. Oprócz tego posiadał również płaszcz, który miał być zastawiony jedynie w wypadku najwyższej konieczności. Pod łóżkiem stała walizka, tandetne kwadratowe pudło za dwadzieścia pięć franków, odgrywające jednak arcyważną rolę, albowiem *patron* hotelu sądził, iż jest wypełnione garderobą — gdyby nie to, już dawno wyrzuciłby Borysa za drzwi. Zawartość walizki stanowiły odznaczenia i fotografie, najrozmaitsze rupiecie oraz grube pliki listów miłosnych. Mimo wszystko mój przyjaciel potrafił zachować pewną elegancję. Ogolił się bez mydła żyletką, której używał od dwóch miesięcy, krawat zawiązał tak przemyślnie, iż nie widać było dziur, po czym starannie wypchał podeszwy butów papierem gazetowym. Gdy już był ubrany, wyciągnął skądś buteleczkę atramentu i posmarował nim skórę na kostkach, tam gdzie przeświecała przez dziury w skarpetkach. Po takich przygotowaniach trudno byłoby na jego widok domyślić się, iż ostatnio sypiał pod mostami na Sekwanie. Udaliśmy się do małej kawiarenki opodal rue de Rivoli, znanego miejsca spotkań zarządców hoteli i poszukujących pracy. Na tyłach lokalu znajdował się ciemny, przypominający jaskinię pokój, w którym siedzieli rozmaici pracownicy hotelowi — młodzi, szykowni kelnerzy, ich koledzy — już nie tak eleganccy i najwyraźniej głodni, otyli, rumiani kucharze, powaleni tłuszczem pomywacze, stare

zniszczone praczki. Przed każdą z tych osób stała nietknięta filiżanka kawy. Miejsce to było ni mniej, ni więcej tylko biurem pośrednictwa pracy, zaś pieniądze wydawane na trunki stanowiły prowizję *patrona*. Co pewien czas pojawiał się jakiś tęgi waśniak, najwyraźniej restaurator, który mówił coś barmanowi, ten zaś przywoływał kogoś z oczekujących. Nigdy jednak nie przywołał Borysa lub mnie, toteż po dwóch godzinach opuściliśmy kawiarnię, albowiem tutejsza etykieta wymagała zamówienia po upływie dwóch godzin następnego drinka. Dowiedzieliśmy się poniewczasie, iż cały dowcip polegał na wsunięciu barmanowi łapówki; zwykle załatwiał on zajęcie komuś takiemu, kogo stać było na wydatek dwudziestu franków.

Poszliśmy do hotelu Scribe i oczekiwaliśmy przez godzinę przed budynkiem w nadziei, że ujrzymy zarządcę, jednak nie zjawił się. Potem powlekliśmy się na rue du Commerce, tam zaś okazało się, iż nowa restauracja, którą właśnie remontowano, jest zamknięta, a *patron* nieobecny. Tymczasem zapadł wieczór. Przebyliśmy piechotą czternaście kilometrów i ogarnęło nas takie zmęczenie, że odżałowaliśmy półtora franka na powrót do hotelu metrem. Chodzenie sprawiało piekielny ból Borysowi, który kulał na jedną nogę, zaś w miarę upływu dnia jego optymizm gasł w oczach. Kiedy wyszliśmy z podziemnej stacji na Place d'Italie, mój przyjaciel rozpacział. Zaczął mnie przekonywać, że nie ma sensu szukać pracy — to na nic, należy spróbować przestępstwa.

— Lepiej rabować, niż głodować, *mon ami*. Często to planowałem. Tłusty, nadziany Amerykanin, jakiś ciemny zaułek na Montparnasse, brukowiec ukryty w skarpetce — bach! Potem przeszukujemy kieszenie i zwiewamy. Można by tak zrobić, prawda? Nie stchórzę — pamiętaj, że służyłem w wojsku. Jednak po namyśle Borys odstąpił od swojego planu, ponieważ obaj byliśmy cudzoziemcami, łatwymi do rozpoznania.

Gdy znaleźliśmy się w moim pokoju, wydaliśmy kolejne półtora franka na chleb i czekoladę. Borys pochłonął swoją porcję i natychmiast, niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odzyskał humor; jedzenie zdawało się działać na jego organizm tak szybko jak kielich koktajlu. Wyjął ołówek i jął sporządzać listę osób, które, jego zdaniem, mogłyby załatwić nam pracę. — Takich ludzi jest mrowie — oświadczył.

— Jutro coś znajdziemy, *mon ami*, czuję to w kościach. Szczęście zawsze przychodzi i odchodzi. A oprócz tego obaj mamy przecież łby na karku — jak ma się łeb na karku, nie można głodować.

Czego to może dokonać facet z pomysłunkiem! Dzięki olejowi w głowie można zarobić dosłownie na wszystkim. Miałem niegdyś przyjaciela Polaka, który był naprawdę geniuszem; wiesz, co on robił? Kupował złoty pierścionek i zastawiał go za piętnaście franków. Potem — sam wiesz, jak niedbale wypisują kwity w lombardach — potem tam gdzie urzędnik napisał „*en or*”, on dopisywał „*et dia-mants*”, a później zmieniał „piętnaście franków” na „piętnaście tysięcy”. Chytre, nie? Wreszcie pożyczał od kogoś tysiąc franków pod zastaw kwitu. Oto co mam na myśli, mówiąc „łeb na karku”...

Przez resztę wieczoru Borys był pełen nadziei; rozprawiał o przyjemnych chwilach, które czekają nas obu, gdy będziemy pracować jako kelnerzy w Nicei czy w Biarritz; zamieszkamy tam elegancko i będziemy zarabiać tyle pieniędzy, że wystarczy nam na kochanki. Mój przyjaciel był zanadto zmęczony, żeby wracać piechotą trzy kilometry do swojego hotelu, ułożył się więc do snu na podłodze, kładąc sobie pod głowę buty owinięte w płaszcz.

Nazajutrz znów nie znaleźliśmy żadnej pracy, szczęście uśmiechnęło się do nas dopiero po trzech tygodniach. Dzięki moim dwustu frankom uniknąłem kłopotów związanych z rachunkiem hotelowym, jednak inne sprawy poszły jak najgorzej. Codziennie chodziliśmy po Paryżu, z prędkością dwóch mil na godzinę przeciskając się przez tłum, znudzeni i głodni: wszystko bezskutecznie. Pamiętam, że pewnego dnia przekroczyliśmy Sekwanę jedenaście razy. Wałęsaliśmy się całymi godzinami opodal wejść dla służby, a gdy dostrzegaliśmy zarządcę, zbliżaliśmy się doń z szacunkiem, zdejmując czapki z głów. Zawsze słyszeliśmy to samo: nie potrzebują ani kulawego, ani osoby bez doświadczenia. Kiedyś omal nie zostaliśmy zatrudnieni. Podczas rozmowy z zarządcą Borys wyprostował się, odsuwając na bok łaskę, a knajpiarz nie połapał się, że Rosjanin kuleje. — Tak — powiedział — potrzebujemy dwóch ludzi do pracy w piwnicy. Być może obaj się nadacie. Wchodźcie. — Borys uczynił krok i gra była skończona. — Ach tak — wycedził zarządcza — kulejecie. *Malheureusement...*

Nasze nazwiska wciągnięto na listy w agencjach pośrednictwa pracy, pilnie też odpowiadaliśmy na ogłoszenia o pracy, ponieważ jednak chodziliśmy piechotą, zawsze spóźnialiśmy się o pół godziny. Pewnego razu niemal już otrzymaliśmy zatrudnienie przy myciu wagonów kolejowych, jednak w ostatniej chwili zrezygnowano z naszych usług, przyjmując do pracy Francuzów. Innym razem postanowiliśmy skorzystać z oferty, w której napisano, że poszukuje się pomocników do cyrku. Trzeba było przenosić ławki, sprzątać śmiecie, a podczas przedstawienia stać na dwóch beczułkach, tak żeby między rozstawionymi nogami mógł przeskoczyć lew. Gdy na godzinę przed wyznaczonym czasem znaleźliśmy się na miejscu, naszym oczom ukazała się kolejka złożona z pięćdziesięciu oczekujących mężczyzn. Najwyraźniej lwy mają w sobie coś magnetycznego.

Innym razem agencja, do której zgłosiłem się kilka miesięcy wcześniej, przysłała mi *petit bleu* z

informacją o jakimś włoskim dżentelmenie, który pragnął pobierać lekcje angielskiego. Ów *petit bleu* zawierał też dopisek „proszę przybyć natychmiast” i obiecywał dwadzieścia franków za godzinę. Ogarnęła nas rozpacz. Oto nadarzała się wspaniała okazja, a ja nie mogłem z niej skorzystać, ponieważ nie wypadało przecież udać się do biura agencji w zniszczonym płaszczu. Zaraz wszakże wykoncypowaliśmy, że mogę przecież włożyć płaszcz Borysa — wprawdzie nie pasował on kolorem do spodni, te ostatnie były jednak szare i na pewną odległość mogły uchodzić za flanelowe. Płaszcz był na mnie zbyt obszerny, toteż musiałem rozpiąć guziki i przez cały czas trzymać rękę w kieszeni. Wybiegiem co tchu z hotelu i zmarnowałem siedemdziesiąt pięć centymów na autobus, który zawiózł mnie na miejsce. W agencji usłyszałem bowiem, że Włoch zmienił zamiary i opuścił Paryż. Któregoś dnia Borys zaproponował, żebym poszedł do Les Halles i spróbował zatrudnić się jako tragarz. Przybyłem tam o wpół do piątej rano, gdy praca zaczynała iść pełną parą. Widząc niskiego, grubego człowieczka w meloniku, wydającego polecenia kilku tragarzom, podszedłem doń i zapytałem o pracę. Nim odpowiedział, chwycił moją prawą rękę i pomacał dłoń.

— Jesteście silni? — spytał.

— Bardzo — skłamałem.

— *Bien*. To podnieście tę pakę.

Ujrzałem potężny pojemnik wiklinowy pełen ziemniaków. Chwyciłem za sznur i przekonałem się, że pojemnika nie potrafię nawet poruszyć, nie wspominając już o podniesieniu go. Mężczyzna w meloniku wzruszył ramionami i odszedł. Odszedłem i ja. Oddaliłem się o kilka kroków, po czym dostrzegłem, jak czterej tragarze ładują pojemnik na wóz. Musiał ważyć ze trzy cetnary. Mój rozmówca, widząc, że nie będzie ze mnie żadnego pożytku, użył tego sposobu, żeby się mnie pozbyć.

Niekiedy, w przypływie nadziei, Borys wydawał pięćdziesiąt centymów na znaczek pocztowy i wysyłał list do którejś ze swoich byłych kochanek, prosząc ją o pieniądze. Tylko jedna mu odpisała. Kobieta ta, oprócz tego, że była niegdyś jego kochanką, pozostawała mu dłużna dwieście franków. Na widok listu Borys, rozpoznawszy charakter pisma na kopercie, zakłapał nadzieją. Porwaliśmy list i niczym dzieci, które zwędziły słodycze, popędziliśmy na górę do pokoju mojego przyjaciela. Borys przeczytał list, po czym wręczył mi go bez słowa. Znalazłem w nim, co następuje:

*Mój maciupęćki, ukochany Wilczusiu,*

*Ach, z jakąż rozkoszą otwierałam Twój słodki liścik, który przywiódł mi na myśl dni naszej szaleńczej miłości, jak też drogie memu sercu pocałunki, którymi obsypywały mnie Twe usta. Takie wspomnienia długo przechowuje serce, podobnie jak w powietrzu długo unosi się zapach dawno zwiędłego kwiatu.*

*Co zaś się tyczy Twej prośby o dwieście franków, ach, niestety; nie mogę jej spełnić. Nawet nie wiesz, mój kochany, jak bardzo jestem przygnębiona słysząc o trapiących Cię kłopotach. Cóż jednak można na nie poradzić? Nasze, jakże smutne życie, każdego przykro doświadcza. Ja również nie jestem wyjątkiem. Zachorowała moja maleńka siostrzyczka (biedactwo, jak bardzo cierpiała!), dlatego też musimy zapłacić, sama już nie wiem ile, za wizyty doktora.*

*Wydaliśmy wszystkie pieniądze i, wierz mi, bardzo nam teraz ciężko.*

*Odwagi, mój maty wilczusiu, zawsze odwagi! Pamiętaj, iż zmartwienia nie trwają wiecznie, zaś to, co Cię trapi i co zdaje się być czymś tak okropnym, w końcu przeminie.*

*Bądź pewien, ukochany, iż zawsze będę Twoja. Przyjmij proszę, szczerze uściski tej, która nigdy nie przestała Cię kochać.*

*Tvoja Yvonne*

List ten tak mocno rozczarował Borysa, że po przeczytaniu go natychmiast położył się do łóżka i tego dnia nie wyszedł już z domu na poszukiwanie pracy.

Moje sześćdziesiąt franków wystarczyło mniej więcej na dwa tygodnie. Przestałem już udawać przed innymi, że jadamy w restauracjach, zaczęliśmy przyrządzać sobie posiłki u mnie w pokoju: jeden z nas siadywał wtedy na łóżku, drugi na krześle. Borys dawał dwa franki, ja dorzucałem trzy albo cztery i za całą sumę kupowaliśmy chleb, kartofle, mleko, ser, po czym gotowaliśmy zupę na moim prymusie. Mieliśmy wszystkiego spodek, filiżankę i jedną łyżeczkę; codziennie spieraliśmy się uprzejmie, kto będzie jadł ze spodka, a kto z filiżanki (spodek miał większą objętość), codziennie też, ku mojemu tajonemu niezadowoleniu, Borys pierwszy dawał za wygraną i godził się na spodek. Czasem pozostawało na wieczór więcej chleba, czasem mniej. Nasza bielizna stawała się coraz brudniej sza, ja zaś kąpałem się po raz ostatni przed trzema tygodniami; co się tyczy Borysa, twierdził on, iż nie widział wanny od miesiący. Trzymał nas przy życiu wyłącznie tytoń. Mieliśmy go pod dostatkiem, ponieważ Borys kupił wcześniej od jakiegoś żołnierza dwadzieścia albo trzydzieści paczek, płacąc po pięćdziesiąt centymów za sztukę.

Borys znosił to wszystko znacznie gorzej niż ja. Od chodzenia piechotą i sypiania na podłodze wciąż bolały go noga i kręgosłup, zaś wilczy rosyjski apetyt przyprawiał go o katusze głodu, choć nie przypominam sobie, żeby wyszczuplał. A jednak, ogólnie biorąc, przejawiał nadspodziewanie dobry humor i miał niewyczerpane zasoby nadziei. Twierdził z poważną miną, że ma w niebie świętego

*patrona*, który nad nim czuwa: ilekroć znajdowaliśmy się całkiem pod wozem, szukał pieniędzy w rynsztokach, tłumacząc mi, iż jego święty często wrzuca tam dwufrankówki. Pewnego dnia staliśmy obaj na me Royale przy rosyjskiej restauracji, której właściciela chcieliśmy zagadnąć o pracę. Nieoczekiwanie Borys zmienił zamiar, poszedł do kościoła pod wezwaniem St Madeleine i zapalił tam półfrankową świeczkę ku czci swojego opiekuna. Wychodząc, powiedział, że nie chce być narażony na niespodzianki i uroczyście przyłożył zapaloną zapałkę do półfrankowego znaczka pocztowego, składając w ten sposób ofiarę nieśmiertelnym bogom. Możliwe, iż bogowie i święci nie pasują do siebie; w każdym razie pracy nie otrzymaliśmy.

Bywały ranki, gdy Borys wpadał w czarną rozpacz. Leżał wtedy w łóżku niemal łkając i przeklinał współ-lokatora-Żyda. Ostatnimi czasy ów Żyd niechętnie wypłacał mu codzienne dwa franki, a co gorsza zaczął go traktować irytująco protekcyjnie. Borys oświadczył mi, że będąc Anglikiem nie mogę nawet pojąć, co dla dobrze urodzonego Rosjanina oznacza być na łasce Żyda.

— Żyda, *mon ami*, prawdziwego Żyda! On nie ma w sobie nawet tyle godności, żeby się wstydić swego pochodzenia. Pomyśleć tylko, że ja, kapitan rosyjskiej armii — czy wspomniałem ci, *mon ami*, że byłem kapitanem w Drugim Pułku Strzelców Syberyjskich? Tak jest, kapitanem, a mój ojciec był tam pułkownikiem. I oto teraz jem chleb Żyda. Żyda...

Opowiem ci, jacy są Żydzi. Pewnego dnia, a było to w pierwszych miesiącach wojny, podczas marszu zatrzymaliśmy się na noc w jakiejś wiosce. Do mojej kwatery przyszedł cichcem stary obrzydliwy Żyd z rudą, niczym Judasz Iszkarjota, brodą. Zapytałem go, czego chce. „Wasza dostojność — szepnął — przyprowadziłem dla pana dziewczynę, piękną młodą dziewczynę, która ma zaledwie siedemnaście lat. Zapłaci pan tylko pięćdziesiąt franków”. „Dziękuję ci — odpowiedziałem — możesz ją stąd zabrać. Nie chcę złapać jakiejś choroby”. „Choroby! — wykrzyknął Żyd z oburzeniem — *mais, monsieur le capitaine*, proszę się niczego nie obawiać. To moja córka!” Widzisz, mój przyjacielu, to właśnie jest żydowski charakter.

Czy wspominałem ci, *mon ami*, że w dawnej armii rosyjskiej uznawano plucie Żydom w twarz za rzecz w złym tonie? Tak, bo uważaliśmy, że ślina rosyjskiego oficera jest zbyt cenna, żeby marnować ją na Żydów... — i tak dalej, i tak dalej.

W takie dni Borys zwykle oświadczał, iż czuje się zbyt kiepsko, aby szukać pracy. Leżał do wieczora w szarawej, rojącej się od robactwa pościeli, kopcąc skręty i czytając stare gazety. Niekiedy grywaliśmy w szachy. Wprawdzie nie dysponowaliśmy szachownicą, zapisywaliśmy jednak ruchy na skrawku papieru; dopiero później zmajstrowaliśmy szachownicę z kawałka tektury pochodzącej z jakiegoś opakowania, zaś za pionki i figury posłużyły nam guziki, monety belgijskie i podobne przedmioty. Borys, tak jak wielu Rosjan, namiętnie lubił szachy. Mawiał, że reguły są w nich takie same jak w miłości oraz na wojnie, i jeśli wygrywa się w szachy, wygrywa się i tam. Dodawał też, że jeśli na podorędziu jest szachownica, nie przeszkadza głód, co jednak z pewnością nie dotyczyło mojej osoby.

Moje fundusze topniały — najpierw pozostało mi osiem franków, później cztery, jeden, wreszcie dwadzieścia pięć centymów, zaś z dwudziestu pięciu centymów nie ma żadnego pożytku, albowiem można za nie kupić jedynie gazetę. Przez kilka dni jedliśmy tylko suchy chleb, a potem przez dwa i pół dnia nic nie włożyłem do ust. Było to ohydne uczucie. Są ludzie, którzy poszczą dla zdrowia przez dwa tygodnie lub nawet dłużej, gdyż, jak utrzymują, głodówka staje się całkiem przyjemna piątego dnia. Nie sprawdziłem tego, ponieważ nigdy nie pościłem dłużej aniżeli trzy dni. Być może wszystko wygląda inaczej, jeżeli głoduje się z własnej woli i nie jest się niedożywionym już na samym początku.

Pierwszego dnia głodówki, będąc zbyt apatyczny, żeby poszukiwać pracy, pożyczyłem wędkę i poszedłem nad Sekwanę łowić ryby, używając much na przynętę. Liczyłem, iż złowię tyle ryb, że wystarczy ich na posiłek, lecz oczywiście skończyło się na zamiarach. Sekwana obfituje w klenie, jednak podczas oblężenia Paryża stworzenia te się wycwaniły i od tamtej pory znajdowano je wyłącznie w sieciach. Drugiego dnia głodówki przyszło mi do głowy, żeby zastawić w lombardzie płaszcz, ale lombard znajdował się zbyt daleko od hotelu i w rezultacie spędziłem cały dzień w łóżku przy lekturze „Pamiętników Sherlocka Holmesa”. Ponieważ miałem pusty żołądek, stać mnie było tylko na to. Głód powoduje, że człowiek całkowicie flaczeje i przestaje myśleć; ów stan przypomina uderzająco następstwa grypy. Głodujący zamienia się jakby w galaretę albo ma wrażenie, że wypompowano mu z żył krew i wtłoczono tam letnią wodę. Z tamtych dni pamiętam głównie całkowitą apatię — apatię oraz konieczność częstego odpluwania dziwnie białej, kłaczkowatej śliny, przypominającej wydzielinę owadów na roślinach. Nie wiem, co jest przyczyną tego objawu, jednak każdy, kto głodował przez kilka dni, na pewno go zauważył.

Rankiem trzeciego dnia poczułem się znacznie lepiej. Uprzytomniłem sobie, że muszę natychmiast podjąć jakieś działania, postanowiłem tedy pójść do Borysa i poprosić go, żeby dzielił się ze mną swoimi dwoma frankami, przynajmniej przez parę dni. Gdy znalazłem się na poddaszu, ujrzałem, iż mój przyjaciel leży w łóżku i jest aż siny z wściekłości. Kiedy mnie dostrzegł, zaczął natychmiast krzyczeć, niemal krztusząc się ze złości.

— Zabrał je, obrzydliwy złodziej! Zabrał je!

— Kto? Co zabrał? — zapytałem.

— Żyd! Zabrał moje dwa franki, ten pies, ten złodziej! Obrabował mnie, gdy spałem!

Okazało się, iż poprzedniego wieczora Żyd kategorycznie odmówił codziennego wypłacania dwóch franków. Kłótnia trwała długo, aż wreszcie mechanik uległ i odliczył umówioną kwotę, zachowując się przy tym, jak opowiadał Borys, niezwykle arogancko, wygłaszając doń mowę o tym, jak bardzo jest łaskawy, a następnie w upokarzający sposób wymuszając na nim wdzięczność. Z nastaniem ranka, gdy Borys jeszcze spał, ukradł pieniądze.

Był to zaiste dotkliwy cios. Czuję się przeraźliwie zawiedziony, albowiem uczyniłem fałszywą nadzieję żołądkowi, a jest to wielki błąd, gdy człowiek cierpi głód. Ku mojemu zaskoczeniu Borys bynajmniej nie rozpaczał. Usiadł na łóżku, zapalił fajkę i dokonał przeglądu sytuacji.

— Słuchaj, *mon ami*, mamy nóż na gardle. Posiadamy do spółki tylko dwadzieścia pięć centymów, a nie spodziewam się, żeby mój Żyd oddał mi kiedykolwiek dwa franki. W każdym bądź razie jego zachowanie stało się ostatnio wprost nie do zniesienia. Wyobraź sobie, że ten parch miał czelność przyprowadzić tu kiedyś kobietę, gdy spałem na podłodze. Podłe bydło! Myślę jednak o czymś gorszym. Żydzisko ma zamiar dać stąd nogę. Zalega na czynszem za cały tydzień i chciałby wynieść się bez płacenia, a jednocześnie zwać przede mną. Jeśli ta kanalia się ulotni, pozostanę bez dachu nad głową, a mój *patron* zabierze mi walizkę na pokrycie rachunku. Musimy uczynić jakiś zdecydowany ruch.

— W porządku. Ale jaki? Wygląda na to, że pozostało nam tylko zastawić w lombardzie płaszcze i kupić nieco jedzenia.

— Tak też oczywiście zrobimy, ale wcześniej muszę wynieść z hotelu dobytek. Pomyśleć tylko, że moje fotografie mogłyby wpaść w obce łapy! Mam już plan. Przechytrzę Żyda i sam stąd prysnę. *Foutre le camp* — wycofam się, pojmujesz? Chyba to będzie dobry ruch, co?

— Ależ, drogi Borysie, w dzień? Złapią cię, jak dwa a dwa jest cztery.

— No tak, potrzeba tu oczywiście strategii. Nasz *patron* czyha na lokatorów, którzy chcieliby się wymknąć nie płacąc rachunku; zawsze na nich dybał. Zmieniają się z żoną i przez cały dzień któreś zawsze siedzi w recepcji — ależ to kutwy z tych Francuzów! Wymyśliłem jednak dobry sposób, jeśli zechcesz mi pomóc.

Wprawdzie nie czuję się zbyt silny, zapytałem jednak Borysa, co zaplanował. Wyjaśnił wszystko szczegółowo.

— Słuchaj uważnie. Musimy zacząć od zastawienia naszych płaszczy. Najpierw idź do siebie i przynieś swój, potem wróć tutaj, załóż pod spód mój, a na wierzch swój i wyjdź z hotelu. Zanieś oba płaszcze do lombardu przy rue des Francs Bourgeois. Mając łut szczęścia powinieneś otrzymać dwadzieścia franków za obydwu. Udaj się następnie nad Sekwanę, napełnij kieszenie kamieniami, przynieś je tutaj i włóż wszystkie do walizki! Czy już rozumiesz, na czym polega mój pomysł? Zawinę w gazetę tyle rzeczy, ile się tylko da, zejść na dół i zapytam *patrona*, gdzie jest najbliższa pralnia. Będę, jak się domyślasz, bardzo bezczelny i nonszalancki; *patron* oczywiście pomyśli, że zawiniątko zawiera wyłącznie brudną bieliznę. Jeżeli zacznie coś podejrzewać, uczyni to, co zawsze, ta nędzna kreatura — pójdzie do mojego pokoju i sprawdzi ciężar walizki. Będą w niej kamienie, pomyśli więc, że jest pełna. To się nazywa strategia, co? Potem wrócę i wyniosę w kieszeniach pozostałe drobiazgi.

— Ale co będzie z walizką?

— Z walizką? Cóż, będziemy musieli ją pozostawić. Ta tandeta kosztowała tylko około dwudziestu franków. Poza tym zawsze się coś pozostawia, dokonując odwrotu. Weź takiego Napoleona nad Berezyną! Pozostawił tam całą armię.

Borys był tak ukontentowany swoim planem (nazwał go *une ruse de guerre*), że niemal zapomniał o głodzie. Najlepszy punkt tego planu — to, że gdy już da nogę, nie będzie miał gdzie spać — zignorował.

Początkowo owa *ruse de guerre* dała dobre wyniki. Poszedłem do swojego hotelu, przyniosłem płaszczy (musiałem przebyć dziesięć kilometrów o pustym żołądku), udało mi się również przemycić płaszczy Borysa. Później jednak pojawiła się przeszkoda. Urzędnik w lombardzie, skwaśniały człowieczek — typowy francuski urzędnik — odmówił przyjęcia płaszczy, gdyż nie zostały zapakowane. Jak oświadczył, muszą znajdować się albo w walizce, albo w tekturowym pudle. Zrujnowało to cały plan, albowiem nie dysponowaliśmy żadnym pudłem, posiadając zaś jedynie dwadzieścia pięć centymów, nie stać nas było na jego kupno.

Wróciłem do pokoju i przekazałem Borysowi złą wiadomość.

— *Merde!* — zawołał — sprawy się komplikują. No nic, zawsze znajdzie się jakieś wyjście. Wyniesiemy płaszcze w mojej walizce.

— Ale jak przejdziemy z nią obok *patrona*? Ten facet siedzi niemal w drzwiach. To niemożliwe!

— Zbyt szybko wpadasz w rozpacz, *mon ami!* Gdzie się podział ten angielski upór, o którym tyle czytałem? Odwagi! Damy sobie radę.

Borys myślał przez chwilę, a potem wyłożył mi kolejny chytry plan. Najtrudniejsze było w nim odwrócenie uwagi *patrona* bodaj na pięć sekund: chodziło o to, żebyśmy zdołali się wtedy przemknąć z walizką. Na szczęście nasz *patron* miał jeden słaby punkt — *Le Sport*: gdy się go odpowiednio zagadnęło, mógł rozprawiać o nim godzinami. Borys przeczytał artykuł o wyścigach kolarskich w starym egzemplarzu „Petit Parisien”, potem zaś, gdy sprawdziliśmy schody, zszedł na dół i skłonił *patrona* do sportowych wywodów. W tym czasie wyczekiwałem u podnóża schodów, trzymając płaszcz pod jedną pachą, zaś walizkę pod drugą. Ustaliliśmy, że w odpowiednim momencie Borys kaszlnie. Drżałem na całym ciele, ponieważ w każdej chwili w drzwiach pokoju naprzeciw recepcji mogła ukazać się żona *patrona*, co oznaczałoby klapę. Wkrótce jednak usłyszałem kasłanie. Szybko prześlizgnąłem się korytarzem i znalazłem na ulicy, szczęśliwy, że nie skrzypią mi buty. Cały plan mógł wziąć w łeb, gdyby Borys był szczuplejszy, ale dzięki swej tuszy wielkimi barami całkowicie zasłaniał drzwi recepcji. Mój przyjaciel wykazał też nadzwyczaj mocne nerwy: śmiał się bowiem i rozmawiał całkowicie naturalnym tonem, czyniąc to tak donośnie, iż zagłuszył odgłosy moich kroków. Gdy byłem już daleko, wyszedł z budynku, dołączył do mnie za rogiem i puściliśmy się biegiem.

Potem, po tylu perypetiach, okazało się, że urzędnik w lombardzie znów odmówił przyjęcia płaszczy. Poinformował mnie (czuło się przy tym, że jego dusza Francuza upaja się pedanterią całej procedury), iż moje dokumenty tożsamości nie wystarczają, albowiem *carte d'identite* to zbyt mało i albo muszę wylegitymować się paszportem, albo pokazać zaadresowaną do siebie korespondencję. Wprawdzie Borys miał takich listów na kopy, ale z kolei jego *carte d'identite* straciła ważność (nie przedłużał jej, pragnąc uniknąć płacenia podatków), nie mogliśmy więc zastawić płaszczy na jego nazwisko. Pozostało nam tylko jedno wyjście: powlec się do mojego hotelu, zabrać niezbędne dokumenty i zanieść płaszcz do lombardu przy Boulevard Port Royal.

Pozostawiłem Borysa w pokoju i udałem się do lombardu. Gdy dotarłem na miejsce, ujrzałem, że jest nieczynny i otworzą go dopiero o godzinie czwartej po południu. Dochodziło wpół do drugiej, a ja szedłem piechotą dwanaście kilometrów i od sześćdziesięciu godzin nic nie jadłem. Wydawało się, że los płała nam serię wysoce niezabawnych psikusów.

Wkrótce jednak sytuacja zmieniła się niczym w kalejdoskopie. Wracałem przez rue Broca, gdy nagle dostrzegłem na chodniku błyszczącą monetę wartości pięciu sous. Rzuciłem się na nią jak sęp, pobiegłem co tchu do hotelu, dołożyłem drugie pięć sous i kupiłem funt kartofli. Alkoholu w palniku wystarczyło tylko na ich podgotowanie, nie mieliśmy też soli, ale pożarliśmy kartofle w mgnieniu oka — wraz ze skórką. Po takiej uczcie poczuliśmy się jak nowo narodzeni i oczekując na otwarcie lombardu, zasiedliśmy do szachów.

Poszedłem tam o godzinie czwartej. Nie żywiłem zbyt wiele nadziei, skoro bowiem poprzednio otrzymałem tylko siedemdziesiąt franków, ile mógłbym oczekiwać za dwa znoszone płaszcze w kartonowej walizce? Borys twierdził, że dwadzieścia franków, ja jednak spodziewałem się dziesięciu czy może nawet pięciu franków. Co gorsza, płaszczy mogli wcale nie przyjąć, tak jak od biednego *Numero 83* przyjęli onegdaj kalesonów. Usiadłem z przodu, żeby nie widzieć śmiejących się ludzi, gdy urzędnik powie: pięć franków. Wreszcie wywołano mój numer: — *Numero 117!*

— Jestem — powiedziałem, wstając.

— Pięćdziesiąt franków?

Doznałem niemal tak intensywnego wstrząsu jak poprzednio, kiedy to zaproponowano mi siedemdziesiąt franków. Urzędnik musiał pomylić mój numer z numerem kogoś innego, ponieważ za nasze płaszcze nikt nigdy nie dałby pięćdziesięciu franków. Pośpieszyłem czym prędzej do hotelu i wszedłem do pokoju w milczeniu, chowając ręce za plecami. Borys przesuwiał figury na szachownicy. Popatrzył na mnie w napięciu.

— Ile dostałeś? — wykrzyknął. — Co, nie dali ci dwudziestu franków? Jeśli nie tyle, to dziesięć, co? *Nom de Dieu*, pięć franków, no nie, to już nieprzyzwoitość. *Mon ami*, chyba nie powiesz, że dostałeś pięć franków. Jeśli potwierdzisz, zacznę poważnie rozważać samobójstwo.

Rzuciłem na stół pięćdziesięciofrankowy banknot. Borys zbladł jak ściana, po czym zerwał się, chwycił moją dłoń i uściśnął tak mocno, że aż zatrzeszczały kości. Pobiegliśmy do sklepu, kupiliśmy chleba, wina, kawałek mięsa, spirytusu do prymusa, a następnie oddaliśmy się obżarstwu.

Napełniwszy żołądek, Borys kipiał optymizmem. — A nie mówiłem?! — zawołał. — Zmienne losy wojny! Dziś rano tylko pięć sous, a teraz, sam widzisz. Zawsze mówiłem, że niczego tak łatwo się nie zdobywa jak pieniędzy. To mi przypomina, że mam przyjaciela przy rue Fondary, któremu moglibyśmy złożyć wizytę. Ten złodziejasek oszukał mnie na cztery tysiące franków. Gdy jest trzeźwy, najprzebieglejszy zeń złodziej, ale dziwna rzecz — po alkoholu staje się całkiem uczciwy. Sądzę, że po godzinie szóstej będzie zupełnie pijany. Chodźmy i znajźmy go. Bardzo prawdopodobne, że da setkę zaliczki. *Merde!* Może dać i dwieście. *Allons-y!*

Poszliśmy na rue Fondary i znaleźliśmy tego gościa, który był wprawdzie pijany, ale stu franków nam nie dał. Gdy się tylko z Borysem ujrzeli, wybuchła między nimi, jeszcze na chodniku, straszliwa kłótnia.

Facet przysięgał, że nie jest winien Borysowi ani grosza, mało tego — to o nim jest winien cztery tysiące franków; obaj zwracali się do mnie, prosząc o rozsądzenie sporu. Nie zdołałem zrozumieć, o co w nim chodziło. Tymczasem kłótnia trwała — najpierw na ulicy, potem w *bistro*, następnie wszyscy trzej przenieśliśmy się do restauracji z gatunku *prixfixe*, gdzie zjedliśmy obiad, wreszcie do innego *bistro*. Ostatecznie, gdy obaj nawymyślali już sobie od złodziei, co trwało dwie godziny, poszli w pijackie tango, w rezultacie czego Borys pozostał bez jednego sous.

Mój przyjaciel spędził tę noc u jakiegoś szewca, również rosyjskiego uchodźcy, zamieszkałego w dzielnicy Com-merce. Co się tyczy mnie, pozostało mi osiem franków, mnóstwo papierosów, najadłem się też i napiłem za wszystkie czasy. Po dwóch niepomyślnych dniach była to cudowna zmiana na lepsze.

8

Mieliśmy więc dwadzieścia osiem franków gotówki i mogliśmy jeszcze raz udać się na poszukiwanie pracy. Borys chadzał na noc do swojego szewca, z którym wiązało go jakieś tajemnicze porozumienie, ponadto udało mu się pożyczyć dwadzieścia franków od przyjaciela Rosjanina. Miał w Paryżu kilku takich przyjaciół, w większości również byłych oficerów. Niektórzy z nich pracowali jako kelnerzy albo pomywacze, inni prowadzili taksówki, kilku żyło na koszt kobiet, innym udało się wywieźć z Rosji pieniądze, za które nabyli garaże lub sale dansingowe. Ogólnie biorąc, emigranci rosyjscy w Paryżu ciężko pracują, nadto potrafili się pogodzić ze złym losem znacznie szybciej, niżby uczynili to Anglicy pochodzący z tych samych klas społecznych. Oczywiście były wyjątki. Borys opowiadał mi o rosyjskim księciu-uchodźcy, którego kiedyś poznał i który jadał w drogich restauracjach. Książę ów zasięgał wcześniej informacji, czy wśród kelnerów jest jakiś oficer rosyjski, zaś po posiłku zapraszał go uprzejmie do stolika.

— Ach — mówił doń — jesteście więc starym żołnierzem, tak jak ja? Złe nastały dla nas czasy, nieprawdaż? No, no, rosyjski żołnierz nie zna trwogi. W którym pułku służyliście?

— W takim-a-takim — odpowiadał kelner.

— Bardzo waleczny pułk! Wizytowałem go w roku 1912. Ale, ale, tak się niestety składa, że zapomniałem w domu portfel. Jestem pewien, że rosyjski oficer uczyni mi przysługę i pożyczy trzysta franków?

Jeśli kelner posiadał trzysta franków, wręczał je księciu i oczywiście nigdy już nie oglądał swoich pieniędzy. Książę uciulał sobie w ten sposób całkiem sporo. Kelnerom chyba nie przeszkadzało to, że są oszukiwani. Ostatecznie książę jest zawsze księciem, nawet na wygnaniu.

Właśnie od jednego z rosyjskich uchodźców Borys usłyszał o pewnym przedsięwzięciu, które mogło przynieść zarobek. Na trzeci dzień po zastawieniu płaszczy w lombardzie zagadnął mnie z tajemniczą miną.

— Powiedz mi, *mon ami*, czy masz jakieś polityczne przekonania?

— Skądże — odparłem.

— Ja też. Oczywiście człowiek jest zawsze patriotą, ale jednak — czy Mojżesz nie powiedział czegoś o łupieniu Egipcjan? Będąc Anglikiem, z pewnością znasz Biblię. Chodzi mi o to, czy nie miałbyś nic przeciwko zarabianiu pieniędzy u komunistów?

— Ależ skąd.

— No to posłuchaj. Istnieje w Paryżu tajna rosyjska organizacja, która mogłaby nam pomóc. Ci ludzie są komunistami — więcej, oni są agentami bolszewików. Prowadzą działalność niby jako towarzystwo przyjaźni, nawiązują kontakty z rosyjskimi uchodźcami, a potem usiłują nawracać ich na bolszewizm. Mój przyjaciel wstąpił do tej organizacji i sądzi, że my również otrzymalibyśmy jakieś wsparcie, gdybyśmy się tam udali.

— Jak jednak oni mogliby nam pomóc? Mnie w każdym razie nie pomogą, nie jestem Rosjaninem.

— Otóż to. Jak zrozumiałem, są oni korespondentami jakiejś moskiewskiej gazety i potrzebują artykułów o angielskiej polityce. Jeśli szybko nawiążemy z nimi kontakt, mogą ci zlecić napisanie kilku artykułów.

— Mnie? W polityce nie orientuję się ani w ząb.

— *Merde!* Oni też nie. Kto naprawdę wyznaje się w polityce? Ale wszystko pójdzie gładko. Będziesz po prostu przepisywać z angielskich gazet. Przecież chyba ukazuje się paryskie wydanie „Daily Mail”? Stamtąd przepiszesz te artykuły.

— Ależ „Daily Mail” jest gazetą konserwatywną. Nienawidzi komunistów.

— No więc jeśli napiszą „nie”, ty zmienisz to na „tak” i w ten sposób zawsze unikniesz wpadki. Nie wolno nam marnować tej szansy, *mon ami*. Możemy zarobić setki franków.

Pomysł mi się nie podobał, ponieważ wiedziałem, że paryska policja nie cacka się z komunistami, zwłaszcza z cudzoziemcami, mnie zaś już wciągnięto na listę podejrzanych. Kilka miesięcy wcześniej wywiadowca widział, jak wychodzę z redakcji komunistycznego tygodnika: po tym zdarzeniu miałem



ogromne kłopoty z policją. Gdyby mnie przyłapano na kontaktach z tą tajną organizacją, mogłoby to oznaczać deportowanie. Niemniej jednak, żal było przepuścić taką okazję. Wyznaczonego popołudnia przybył po nas przyjaciel Borysa, kelner. Już nie pamiętam nazwy ulicy, była to brudna uliczka biegnąca w kierunku południowym od Sekwany, gdzieś w pobliżu Izby Deputowanych. Przyjaciel Borysa mocno nalegał, żebyśmy byli ostrożni. Przebyliśmy obojętnie uliczkę, zapamiętując właściwe drzwi — prowadziły one do pralni — a potem wróciliśmy spacerkiem, przez cały czas uważnie obserwując okoliczne okna i witryny kawiarni. Jeśli miejsce to było znane policji jako punkt spotkań komunistów, znajdowało się prawdopodobnie pod obserwacją — postanowiliśmy, iż jeśli tylko zobaczymy kogokolwiek, kto mógłby uchodzić za agenta, natychmiast dajemy tyły. Bałem się, jednakże Borys całą tą konspiracją był wielce ukontentowany, zupełnie zapominając, iż niebawem ma się wdać w kon-szachty z mordercami własnych rodziców.

Gdy uzyskaliśmy pewność, że miejsce jest „czyste”, szybko nurknęliśmy do środka. W pralni jakaś Francuzka prasowała ubrania; poinformowała nas, iż do mieszkania „rosyjskiego dżentelmena” wchodzi się z klatki schodowej po drugiej stronie podwórka. Przebyliśmy kilka kondygnacji ciemnych schodów, aż wreszcie znaleźliśmy się na półpiętrze. Wyżej ujrzeliśmy młodego tęgiego mężczyznę o gburowatym wyglądzie. Gdy zbliżyłem się doń, spojrzał na mnie podejrzliwie, zagroził drogę ramieniem i powiedział coś po rosyjsku.

— *Mot d'ordre!* — rzucił ostro, gdy nie odpowiedziałem.

Zaskoczony, zatrzymałem się. Nie byłem przygotowany na to, że zażądają hasła.

— *Mot d'ordre!* — powtórzył Rosjanin.

Kroczący za mną przyjaciel Borysa wysunął się naprzód i powiedział coś po rosyjsku; zabrzmiało to jak hasło albo wyjaśnienie. Jego słowa, jak się wydawało, zadowolily gburowatego młodzieńca, który zaprowadził nas do małego, brudnego pokoju o oknach wyposażonych w matowe szyby. Ściany przypominającego ubożuchny lokalik biurowy pomieszczenia obwieszane były plakatami propagandowymi z rosyjskimi napisami, dostrzegłem również ogromnych rozmiarów prymitywny portret Lenina. Przy stole siedział zarośnięty Rosjanin bez marynarki, adresując opaski służące do pakowania wysyłanych pocztą gazet, których stos piętrzył się przed nim. Gdy wszedłem, odezwał się do mnie po francusku ze złym akcentem.

— To wielka nieostrożność! — wykrzyknął zaaferowany. — Dlaczego przyszliście tu bez tobołka z praniem?

— Tobołka z praniem?

— Każdy, kto nas odwiedza, ma ze sobą zawiniątko z brudnymi rzeczami. Stwarza to pozory, że przychodzi do pralni na dole. Następnym razem weźcie ze sobą solidny, spory tobołek. Po co policja ma deptać nam po piętach.

Było w tym więcej konspiracji, aniżeli oczekiwałem. Borys zajął jedyne wolne krzesło i rozpoczęła się długa rozmowa prowadzona po rosyjsku. Co się tyczy naszych gospodarzy, mówił wyłącznie nie ogolony mężczyzna, jego gburowaty kumpel stał przez cały czas oparty o ścianę, jak gdyby wciąż mnie o coś podejrzewał. Czułem się dziwnie w tym niewielkim, zakonspirowanym pokoiku obwieszonym rewolucyjnymi plakatami, słuchając konwersacji, z której nie rozumiałem ani słowa. Rosjanie mówili szybko, namiętnie, uśmiechali się i wrzuszali ramionami. Zastanawiało mnie, czego dotyczy ta rozmowa. Wyobrażałem sobie, że wszyscy oni zwracają się do siebie „ojczulku”, „gołębaczku” i „Iwanie Aleksandrowiczu” niczym bohaterowie rosyjskich powieści. Rozprawiają zaś o rewolucji. Zarośnięty mężczyzna z pewnością powtarza z naciskiem: „Nigdy nie prowadzimy sporów. To zajęcie dla burżuazji. Naszymi argumentami są czyny”. Potem połapałem się, że wcale nie o to chodziło. Jak zrozumiałem, żądano dwadzieścia franków wpisowego i Borys obiecywał, że zapłacimy tę sumę (mieliśmy tylko siedemnaście franków i ani sous więcej). Wreszcie mój przyjaciel wyciągnął portmonetkę z cennymi zasobami i wpłacił pięć franków zaliczki.

Na ów widok gburowatemu młodzieńcowi złagodniał wzrok, po chwili Rosjanin ów usiadł na krawędzi stołu. Nie ogolony zaczął wypytywać mnie po francusku, jednocześnie coś notując na skrawku papieru. Czy jestem komunistą? Sympatyzuję z komunistami, ale nigdy nie wstępowałem do organizacji komunistycznej. Czy posiadam rozeznanie w sytuacji politycznej w Anglii? Ależ oczywiście, jak najbardziej. Wymieniłem garść nazwisk ministrów i wygłosiłem kilka pogardliwych uwag pod adresem Partii Pracy. A *Le Sport*? Czy mógłbym pisywać artykuły o *Le Sport*? (Na Kontynencie piłkę nożną i socjalizm łączy jakiś tajemny związek). Ach, ależ oczywiście, ma się rozumieć. Obaj mężczyźni skinęli poważnie głowami. Ten ze szczecina na twarzy odezwał się tak:

— *Evidemment*, posiada pan rozległą wiedzę na temat sytuacji w Anglii. Czy potrafiłby pan napisać kilka artykułów do tygodnika wydawanego w Moskwie? Otrzyma pan od nas bliższe wskazówki.

— Jak najbardziej.

— A więc, towarzyszu, jutro otrzymacie od nas wiadomość — poranną pocztą. Albo być może popołudniową. Płacimy sto pięćdziesiąt franków za artykuł. Następnym razem nie zapomnijcie o tobołku

z praniem. *Au revoir*, towarzyszu.

Zeszliśmy na dół, wyjrzeliliśmy ostrożnie z pralni, żeby sprawdzić, czy uliczka jest pusta, i czym prędzej się wyknęliśmy. Borys szalał z radości. W przystępie jakby ofiarnego uniesienia pobiegł do najbliższej trafiki i nabył pięćdziesięciocentymowe cygaro. Wybiegł ze sklepiku, waląc laską w chodnik — promieniał.

— Nareszcie! Nareszcie! Teraz, *mon ami*, naprawdę uśmiechnęło się do nas szczęście. Świetnie ich zażyłeś. Czy słyszałeś, jak zwracali się do ciebie „towarzyszu”? Sto pięćdziesiąt franków za artykuł — *Nom de Dieu*, co za szczęście!

Następnego ranka, gdy tylko usłyszałem listonosza, pobiegłem na dół, do *bistro*, po list, ku mojemu jednak rozczarowaniu, żaden list nie nadszedł. Poczekałem w pokoju na drugą pocztę — listu ani widu, ani słychu. Gdy minęły trzy dni i tajna organizacja nie dała znaku życia, zrezygnowaliśmy z czekania, dochodząc do wniosku, że znaleziono innego autora artykułów.

Po dziesięciu dniach złożyliśmy wizytę w biurze, nie zapominając o zawiniątku wyglądającym na rzeczy do prania. I tu niespodzianka: tajna organizacja zniknęła! Kobieta w pralni nie wiedziała o niczym — powiedziała tylko, że „*ces messieurs*” wynieśli się przed kilkoma dniami po awanturze o czynsz. Na jakich głupców wyglądaliśmy stercząc na schodach z naszą paczką! Pocieszaliśmy się tym, że wpłaciliśmy pięć franków, a nie dwadzieścia.

O tajnej organizacji nigdy więcej nie słyszeliśmy. Kim naprawdę byli ci dwaj i kogo reprezentowali — Bóg raczy wiedzieć. Osobiście nie sądzę, by mieli coś wspólnego z partią komunistyczną; wydaje mi się, że była to po prostu para oszustów żerujących na rosyjskich emigrantach; wyłudzała od nich wpisowe do nie istniejącego stowarzyszenia. Proceder był całkiem bezpieczny i nie ulega wątpliwości, że wydrwigrosze ci kontynuują go w jakimś innym mieście. Wyglądali na spryciarzy i znakomicie grali swoje role. Ich pokój dokładnie przypominał tajny lokal partii komunistycznej, trzeba też przyznać, iż trik z tobołkiem był wprost genialny.

Przez następne trzy dni łaziliśmy po mieście w poszukiwaniu pracy, wracając do mojego pokoju hotelowego na coraz bardziej skąpe posiłki, składające się z zupy i chleba. Zajaśniały wszelako dwa płomyki nadziei. Przede wszystkim Borys usłyszał o wolnych posadach w Hotel X, opodal Placu Zgody, nadto, jak się okazało, *patron* nowej restauracji przy rue du Commerce wreszcie powrócił. Poszliśmy tam po południu i gościa spotkaliśmy. Po drodze Borys rozprawiał o workach pieniędzy, jakie zarobimy, jeśli otrzymamy tę pracę, jak również o tym, jak ważne jest wywarcie na *patronie* odpowiedniego wrażenia.

— Wygląd — wygląd jest wszystkim, *mon ami*. Daj mi nowy garnitur, a do obiadu pożyczę tysiąc franków. Jaka szkoda, że nie kupiłem sobie kołnierzyka, gdy byliśmy przy forsie. Dziś rano przenicowałem kołnierzyk, ale niczego to nie dało, z obu stron jest tak samo brudny. Spójrz na mnie, *mon ami*, czy sądzisz, że wyglądam na wygłodniałego?

— Jesteś błąd.

— Niech to diabli, ale jak człowiek ma wyglądać, skoro żywi się tylko chlebem i kartoflami? Z takim wyglądem to kłapa. Każdy chce ci wtedy dokopać. Poczekaj chwilę.

Zatrzymał się przed wystawą jubilera, po czym kilkakrotnie poklepał się mocno w policzki, żeby napłynęły krew. Następnie, nim rumieńce ustąpiły, podążyliśmy co tchu do restauracji i niebawem rozmawialiśmy już z *patronem*.

Był niskim, grubawym, wielce nobliwym człowieczkiem o falujących siwych włosach, ubranym w elegancki dwurzędowy garnitur i pachnącym wodą kolońską. Borys poinformował mnie, że jest on byłym pułkownikiem armii rosyjskiej. Rosjaninowi towarzyszyła żona Francuzka, straszliwe grube babsko o trupiobladej twarzy i szkarłatnych ustach; jej gęba przywodziła na myśl porcję cielęciny na zimno z pomidorami. *Patron* przywitał się jowialnie z Bo-rysem i przez kilka minut obaj rozmawiali po rosyjsku. Stałem z tyłu, układając w myślach wierutne łgarstwa, jaki to ze mnie doświadczony pomywacz.

Po chwili *patron* zbliżył się do mnie. Szurnałem nogami w zakłopotaniu, usiłując przybrać służalczą postawę. Borys wbił mi do głowy, że *plongeur* jest niewolnikiem niewolnika, toteż oczekiwałem, iż *patron* potraktuje mnie jak zdechłego szczura. Ku mojemu zaskoczeniu, uściśnął mi serdecznie dłoń.

— Więc jest pan Anglikiem! — wykrzyknął. — Ach, jak wspaniale! Nie muszę zatem pana pytać, czy gra pan w golfa?

— *Mais certainement* — odparłem, widząc, iż oczekuje twierdzącej odpowiedzi.

— Zawsze chciałem grać w golfa. Czy wobec tego zechce pan, *monsieur*, zademonstrować kilka podstawowych uderzeń?

Cóż, doszedłem do wniosku, że jest to rosyjski sposób załatwiania interesów. *Patron* słuchał uważnie moich wyjaśnień dotyczących różnic między kijami, po czym nieoczekiwanie poinformował nas, iż wszystko jest *entendu*. Gdy otworzy restaurację, Borys zostanie *maitre d'hôtel*, a ja *plongeur*, z perspektywą awansu na klozetowego, jeśli dopiszą goście. Zapytałem, kiedy nastąpi otwarcie lokalu. Dokładnie za dwa tygodnie, licząc od dzisiejszego dnia — odpowiedział wielkopańskim tonem *patron*

(zauważyłem, iż czyni szerokie gesty ręką, strząsając jednocześnie popiół z papierosa, co wyglądało niebywale wytwornie) — dokładnie za dwa tygodnie od dziś w porze obiadowej. Następnie z nie ukrywaną dumą oprowadził nas po restauracji.

Lokal był niewielki, składał się z baru, sali jadalnej oraz kuchni, nie większej niż przeciętna łazienka. *Patron* nadał wnętrzą tandetny, „malowniczy” wystrój (nazwał ów styl „*normand*”; jego cechami były fałszywe belki stropowe przytwierdzone pod wyłożonym gipsem sufitem oraz podobne szmirowate udziwnienia), co zaś do nazwy, zaproponował Auberge de Jehan Cottard, żeby budziła skojarzenia ze średniowieczem. Rosjanin wydrukował nawet ulotkę reklamową, wypełnioną kłamstwami na temat historycznych związków dzielnicy; w ulotce tej napisano między innymi, że tam, gdzie obecnie mieści się restauracja, stała w dawnych czasach oberża, w której gościem bywał Karol Wielki. *Patron* był tym pomysłem wielce zachwycony. Nad barem miały zawisnąć nieprzyzwoite ryciny wykonane przez artystę biorącego udział w corocznym Salonie. Na koniec poczęstował nas drogimi papierosami, jeszcze chwilę porozmawialiśmy i pożegnaliśmy się.

Miałem silne przekonanie, że nic nie skorzystamy na tym interesie. *Patron* wyglądał na hochsztaplera, na dobitkę na niekompetentnego hochsztaplera, opodal tylnego wejścia kręcili się dwaj faceci, w których na milę można było rozpoznać wierzycieli. Jednak Borysa, który znów widział się w roli *maitre d'hôtel*, nic nie zniechęcało.

— Udało się nam — musimy przetrzymać tylko dwa tygodnie. Co to jest dwa tygodnie? *Je m'enfous*. I pomyśleć, że już za trzy tygodnie będę pięścił nową kochankę! Ciekawe, czy będzie miała ciemną skórę, czy jasną? Nie dbam o to, byleby panienska nie była zbyt chuda.

Minęły dwa ciężkie dni. Pozostało nam tylko sześćdziesiąt centymów, które wydaliśmy na pół funta chleba i czosnek do wtarcia w chleb. Czyni się tak po to, żeby smak jedzenia dłużej pozostał potem w ustach, dając złudzenie niedawnego zaspokojenia głodu. Większość tamtego dnia spędziliśmy w Jardin des Plantes. Borys ciskał kamieniami w oswojone gołębie, lecz zawsze chybiał celu, potem na starych kopertach wypisaliśmy jadłospisy obiadowe. Byliśmy zanadto głodni, żeby myśleć o czymkolwiek innym poza jedzeniem. Pamiętam, jakie potrawy Borys wybrał dla siebie. A więc: tuzin ostryg, barszcz (jest to czerwona, słodka zupa z buraków z dodatkiem śmietany), krewetki, młode kurczę *en casserole*, wołowinę z duszonymi śliwkami, młode kartofle, sałatkę, pudding łojowy, ser rocauefort, litr burgunda i nieco starej brandy. Borys miał kosmopolityczne upodobania w jedzeniu. Później, gdy powodziło nam się dobrze, widywałem, jak z łatwością zjada posiłki niemal tak samo obfite.

Gdy skończyły się pieniądze, przestałem szukać pracy i znów przez cały dzień nic nie jedliśmy. Straciłem wiarę w to, że Auberge de Jehan Cottard kiedykolwiek zostanie otwarta, nie widziałem też innych możliwości otrzymania jakiegokolwiek zajęcia, czułem się jednak tak rozleniwiony, że pozostałem w łóżku. Potem sytuacja gwałtownie uległa zmianie. Usłyszałem radosne nawoływania dochodzące z ulicy. Wstałem i podszedłem do okna. Na dole stał roześmiany Borys wymachujący laską. Zanim coś powiedział, wyciągnął przełamany bochenek chleba i rzucił mi go.

— *Mon ami, mon cher ami*, jesteście uratowani! Zgadnij, dlaczego?

— Niech mnie diabli, nie dostałeś chyba roboty?!

— Dostałem, w Hotel X, w pobliżu Placu Zgody — pięćset franków miesięcznie plus wyżywienie. Dziś już tam pracowałem. O Jezusie, ale się najadłem!

Po dziesięciu albo dwunastu godzinach pracy mój utykający na nogę przyjaciel pomyślał najpierw o tym, żeby przebyć trzykilometrową drogę do mojego hotelu i podzielić się ze mną dobrą wiadomością! Nadto kazał mi czekać na siebie nazajutrz w ogrodzie Tuileries podczas przerwy popołudniowej, na wypadek, gdyby udało mu się wynieść coś do jedzenia. O umówionej porze siedziałem już na parkowej ławce. Mój przyjaciel zbliżył się, rozpiął płaszcz i wydobyl spory, pognieciony pakunek owinięty w gazetę; wewnątrz było nieco siekanej cielęciny, kawałek sera camembert, chleb oraz ekierka — wszystko zlepione w jedną bryłę.

— *Voilà!* — powiedział — to wszystko, co udało mi się dla ciebie zwędzić. Z portiera to kawał szczerwanej świni.

Nie wypada jeść z gazety siedząc na parkowej ławce, zwłaszcza w ogrodzie Tuileries, gdzie spaceruje zwykle mnóstwo pięknych dziewcząt, byłem jednak zanadto głodny, żeby się nad tym zastanawiać. Gdy jadłem przyniesione produkty, Borys wyjaśnił mi, że pracuje w hotelowej *cafeterie*, która to nazwa oznacza w Anglii „kuchnię śniadaniową”. Wyglądało na to, że kafeteria jest najgorszym miejscem w hotelu, zaś praca tam oznacza straszliwy upadek dla kelnera, jednak przed otwarciem Auberge de Jehan Cottard Borys był zmuszony poprzestać na tym zajęciu. Tymczasem umówiliśmy się na codzienne spotkania w ogrodzie Tuileries: mój przyjaciel miał przemycać dla mnie tyle jedzenia, ile tylko ośmieli się wynieść. Postępowaliśmy tak przez trzy dni, kiedy to żywiłem się wyłącznie kradzionymi produktami. Potem nastal kres naszych kłopotów, albowiem jeden z *plongeurów* opuścił Hotel X i z polecenia Borysa otrzymałem tam zajęcie.

Hotel X był ogromnym, imponującym gmachem o kła-sycystycznej fasadzie, z tyłu budynku znajdowało się niewielkie, ciemne wejście przypominające wylot szczurzej nory: było to wejście dla służby. Przybyłem na miejsce za kwadrans siódma. Do środka płynął strumień mężczyzn w zatłuszczonych spodniach, bacznie obserwowany przez siedzącego w maleńkiej dyżurce portiera. Przez jakiś czas oczekiwałem, aż niebawem nadszedł *chef du personnel*, ktoś w rodzaju wicedyrektora, który zaczął mnie wypytywać. Facet był Włochem o okrągłej, bladej, wymizerowanej z przepracowania twarzy. Spytał, czy mam doświadczenie jako pomywacz, potwierdziłem, on zaś spojrzął na moje ręce i przekonał się, że kłamię, gdy jednak usłyszał, że jestem Anglikiem, zmienił ton i zaangażował mnie. — Szukaliśmy kogoś, z kim moglibyśmy ćwiczyć nasz angielski — wyjaśnił. — Nasi goście to wyłącznie Amerykanie, jedyna zaś angielszczyzna jaką znamy, to... — Powtórzył kilka słów, które w Londynie wypisują na płotach mali chłopcy. — Możecie się przydać. Chodźcie za mną. Poprowadził mnie na dół krętymi schodami; weszliśmy do wąskiego korytarza położonego w głębokich podziemiach, tak niskiego, że co chwila musiałem się schylać. Nie było tam czym oddychać, a dookoła panowały ciemności, rozjaśnione jedynie światłem rozmieszczonych co kilka metrów słabych żółtych żarówek. Wydawało mi się, iż pozostawiliśmy za sobą wielokilometrowy labirynt mrocznych korytarzy — tymczasem jednak przebyliśmy co najwyżej kilkaset metrów — dziwnie przypominających dolne pokłady statku: było tam tak samo duszno, panowała podobna ciasnota, w powietrzu unosił się ten sam ciepły smród jedzenia oraz jakiś pomruk czy brzęk (wydawały go piece kuchenne), przypominający warkot silnika. Mijaliśmy drzwi, zza których dochodziły nas niekiedy wrzaskliwe przekleństwa, niekiedy było widać czerwony poblask ognia, innym razem zaś owionął nas przenikliwy zimny powiew z lodowni. Nagle coś uderzyło mnie silnie w plecy. Był to pięćdziesięciokilogramowy blok lodu dźwigany przez tragarza w błękitnym fartuchu. Za nim szedł chłopiec z ogromnym pościem cielęciny na ramieniu; policzkiem przyciskał wilgotne, gąbczaste mięso. Odepchnęli mnie na bok, krzycząc „*Range-toi, idiot!*”, po czym szybko podążyli dalej. Na ścianie pod jedną z żarówek ktoś bardzo starannie napisał: „Prędzej dojrzysz bezchmurne niebo zimą, niż w Hotel X kobietę, która zachowała dziewictwo”<sup>2</sup>. Pomyślałem, że znalazłem się w osobliwym miejscu.

<sup>2</sup> W przekładzie francuskim książki w formie rymowanki: *Plutôt voir en hiver Un ciel sans nuage Qu 'wie damę chez X Ayant son pucelage. (przyp. red. wyd. ang. pochodzący z francuskiego przekładu książki)*. W odgałęzieniu jednego z korytarzy znajdowała się pralnia, gdzie stara kobieta o obliczu kościotrupa wręczyła mi błękitny fartuch i stertę serwetek. Następnie *chef du personnel* zaprowadził mnie do maleńkiego podziemnego pomieszczenia, w którym zainstalowano zlew i kilka gazowych piekarników. Było tam tak nisko, że nie mogłem się wyprostować, temperatura zaś osiągała może nawet 110°F. *Chef du personnel* wyjaśnił mi, że moja praca polega na donoszeniu posiłków ważniejszym pracownikom hotelowym, którzy jadają w niewielkiej salce nad nami; miałem również sprzątać tę salkę i zmywać brudne naczynia. Gdy poszedł sobie, jakiś kelner o dzikim obliczu, również Włoch, wsunął do pokoiku kędzierzawą głowę i spojrzął na mnie z góry.

— Anglik, co? — rzucił. — Ja tu jestem szefem. Jeśli będziesz pracować dobrze, to... — uczynił ruch odwracania butelki i kilkakrotnie głośno cmoknął. — Jeśli nie... — wymierzył kilka silnych kopniaków w futrynę. — Dla mnie skrócić ci kark, to jak splunąć na podłogę. A w razie jakichś nieporozumień mnie uwierzą, nie tobie. Pilnuj się więc, facio.

Po takim przywitaniu ostro zabrałem się do roboty. Z wyjątkiem trwającej około godziny przerwy pracowałem od godziny siódmej rano do kwadrans po dziewiątej wieczór; najpierw myłem naczynia stołowe, potem czyściłem stoliki i podłogę w jadalni personelu oraz wycierałem do połysku szklanki i noże, następnie zanosilem na górę posiłki, myłem naczynia, wreszcie powtarzało się noszenie posiłków i mycie naczyń. Nie było to uciążliwe i wszystko nieźle mi szło, choć nienawidziłem chodzenia do kuchni po potrawy. Kuchnia bowiem okazała się miejscem, jakiego nigdy przedtem ani nie widziałem, ani nie wyobrażałem sobie: przypominała duszną, nisko sklepioną izbę piekielną, rozświetloną czerwonym blaskiem ognia, rozbrzmiewającą ogłuszającymi przekleństwami oraz brzękiem garnków i patelni. Było tam tak gorąco, że wszystkie metalowe elementy wyposażenia, z wyjątkiem kuchni, musiano nakrywać kawałkami materiału. Na środku stały piece, wokół których uwijało się jak w ukropie dwunastu kucharzy o twarzach ociekających potem mimo białych czepków. Otaczały ich lady, przy których kłębił się z tacami tłum kelnerów i *plongeurów*. Obnażeni do pasa kuchcikowie podsycali ogień i szorowali piaskiem ogromne miedziane rondle. Każdy zdawał się miotać w szalonym pośpiechu, ogarnięty atakiem furii. Szef kuchni, wspaniały mężczyzna o czerwonej twarzy i wielkich wąsiskach, stał pośrodku i nieustannie huczał: — *Ca marche, deux oeufs brouilles! Camarche, un Chateaubriand awc pommes sautees!* — przerywając tylko w celu zwymyślenia jakiegoś *plongeur*a. W kuchni ustawiono trzy lady i kiedy znalazłem się tam po raz pierwszy, podszedłem do niewłaściwej. Szef kuchni zbliżył się, podkręcił węża i zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów. Następnie skinął na kucharza przyrządzającego śniadania i wskazał na mnie.

— Czy widzisz tego tu? Oto *plongeur* jakich nam ostatnio przysyłają. Skąd pochodzisz, matole? Domyślam się, że z Charenton? (Znajduje się tam duży dom dla umysłowo chorych).

— Z Anglii — odpowiedziałem.

— Powinienem być się tego domyślić. A zatem, *mon cher monsieur UAnglais*, czy wolno mi pana uświadomić, że pańska matka była kurwą? A teraz *fous-moi le camp* do drugiej lady, tam twoje miejsce. Witano mnie tak samo, ilekroć znalazłem się w kuchni, ponieważ zawsze popełniałem jakieś błędy; oczekiwano ode mnie doświadczenia i przeklinano za jego brak. Z ciekawości policzyłem kiedyś, ile razy w ciągu dnia nazwano mnie *maquerreau*, i doszedłem do trzydziestu dziewięciu.

O godzinie wpół do czwartej Włoch powiedział, że mogę przerwać pracę, jednak nie warto było wychodzić z budynku, ponieważ wracaliśmy do zajęć o godzinie piątej. Udałem się więc do ubikacji na papierosa; palenie tytoniu było surowo zabronione i Borys ostrzegł mnie, że jedynym miejscem, gdzie można czuć się bezpiecznym, jest klozet. Następnie pracowałem do piętnaście po dziewiątej, o której to godzinie włoski kelner wsunął głowę w drzwi i powiedział, żebym zostawił pozostałe do zmywania naczyń. Ku mojemu zaskoczeniu — przez cały dzień wyzywał mnie przecież od świni, „makrel” i tak dalej — nieoczekiwanie stał się wobec mnie całkiem przyjacielski. Zrozumiałem, że wszystkie wyzwiska, jakimi mnie obrzucił, stanowiły jedynie rodzaj próby.

— Wystarczy, *mon p'tit* — powiedział. — *Tu n'es pas debrouillard*, ale pracujesz wcale nieźle. Chodź na górę i zjedz obiad. Nasz przydział wina wynosi dwa litry na głowę, ale ukradłem dodatkową butelkę. Tęgo sobie popijemy.

Spożyliśmy doskonały obiad składający się z resztek pozostawionych przez wyższy personel hotelowy. Kelner, podchmieliwszy sobie, zaczął opowiadać mi o swoich przygodach miłosnych, potem wspomniął o dwóch mężczyznach, których we Włoszech zadźgał nożem, wreszcie wyznał, w jaki sposób uniknął służby wojskowej. Po bliższym poznaniu okazał się zacnym człowiekiem; przypominał mi w jakiś sposób Benvenuto Celliniego. Wprawdzie byłem zmordowany i ociekałem potem, jednak po solidnym posiłku poczułem się jak nowo narodzony. Praca nie wydawała się zbyt trudna i czułem, że by mi odpowiadała. Z drugiej jednak strony, nie było pewne, czy zabawię w tym miejscu dłużej, ponieważ przyjęto mnie jako „nadliczbowego”, tylko na jeden dzień, z płacą dwudziestu pięciu franków. Portier, facet o kwaśnej minie, wyliczył mi należność, od której odtrącono pięćdziesiąt centymów; była to, jak stwierdził, stawka za ubezpieczenie (później przekonałem się, że mnie okłamał). Następnie wyszedł na korytarz, kazał mi zdjąć płaszcz i dokładnie mnie obmacał w poszukiwaniu skradzionej żywności. Po chwili na miejscu znalazł się sam *chef du personnel*, który do mnie przemówił. Podobnie jak poprzednio kelner, przybrał ton życzliwy, wiedząc, że pracowałem chętnie i z zapałem.

— Jeśli chcecie, damy wam stałe zajęcie. Kierownik sali twierdzi, iż z przyjemnością będzie wyzywać Anglika. Podpiszecie miesięczną umowę?

Nareszcie zaproponowano mi pracę i już chciałem przyjąć skwapliwie propozycję. Zaraz jednak przypomniałem sobie o rosyjskiej restauracji, którą miano otworzyć za dwa tygodnie. Nie byłoby uczciwe zobowiązanie się do przepracowania miesiąca, a potem rzucanie roboty w połowie tego terminu. Powiedziałem więc, że mam na widoku coś innego — czy mogliby więc zaangażować mnie na dwa tygodnie? Słyszając to, *chef du personnel* wzruszył ramionami i wycedził, iż hotel angażuje służbę wyłącznie na miesiąc. Szansa otrzymania zajęcia najwyraźniej przepadła.

Borys, zgodnie z naszą umową, oczekiwał na mnie pod arkadami rue de Rivoli. Gdy opowiedziałem mu o tym, co się stało, wpadł we wściekłość. Po raz pierwszy odkąd go poznałem, zapomniał o swoich dobrych manierach i nazwał mnie głupcem.

— Idioto! Błażeński idioto! Po jaką cholerę załatwiłem ci pracę, skoro ty zaraz ją porzucasz? Jak mogłeś być takim durniem i wspominać o innej restauracji? Trzeba było obiecać, że będziesz pracować przez miesiąc.

— Wydawało mi się uczciwe uprzedzić, że mogę przestać pracować wcześniej — nie dawałem za wygraną.

— Uczciwe, uczciwe! Kto kiedykolwiek słyszał, żeby *plongeur* był uczciwy? *Mon ami* — nagle chwycił mnie za kłapę marynarki i powiedział bardzo poważnie — *mon ami*, pracowałeś tam przez cały dzień. Widziałeś, jak wygląda praca w hotelu. Czy sądzisz, że *plongeur* może sobie pozwolić na uczciwość?

— Nie, chyba nie.

— No więc wracaj szybko do hotelu, odszukaj faceta i powiedz mu, że będziesz chętnie pracować przez miesiąc. Powiesz, że wymówisz tamtą robotę. A potem, gdy restauracja się otworzy, po prostu wyjdiesz z hotelu i kropka.

— Ale co będzie z moim zarobkiem, jeśli złamię warunki umowy?

Borys stuknął mocno laską w chodnik i aż jęknął, słysząc takie bzdury. — Zażądaj, żeby płacili ci dniówkę, wtedy nie stracisz ani sous. Czy sądzisz, że ktokolwiek zaskarzy *plongeur*a do sądu za złamanie umowy? *Plongeur* stoi zbyt nisko w hierarchii, żeby go skarżyć.

Pobiegłem z powrotem do hotelu, odnalazłem *chefa du personnel*, powiedziałem mu, że mogę

pracować przez miesiąc, po czym podpisałem formularz. Była to moja pierwsza lekcja moralności *plongeur*. Później zrozumiałem, jaki byłem głupi mając jakiegokolwiek skrupuły, albowiem wielkie hotele są bezlitosne w stosunku do swoich pracowników. Przyjmują ich i zwalniają w zależności od potrzeb, zaś po zakończeniu sezonu na bruk idzie dziesięć procent — lub więcej — służby. Nie ma też najmniejszych trudności ze znalezieniem kogoś na miejsce odchodzącego z dnia na dzień, ponieważ w Paryżu można przebierać w bezrobotnych pracownikach hotelowych.

11

Jak się okazało, wcale nie złamałem warunków umowy, nim bowiem ktokolwiek pomyślał o otwarciu Auberge de Jehan Cottard, upłynęło sześć tygodni. Tymczasem pracowałem w Hotel X: cztery dni w tygodniu w kuchni śniadaniowej, jeden dzień jako pomocnik kelnera na czwartym piętrze, zaś przez jeden dzień zastępowałem kobietę zmywającą naczynia w restauracji. Dzień wolny przypadał najczęściej w niedzielę, czasem jednak, gdy ktoś zachorował, musiałem stawić się do pracy również tego dnia. Zajęcie rozpoczynałem o godzinie siódmej rano, kończyłem zaś o drugiej po południu; druga tura trwała od godziny piątej po południu do dziewiątej wieczór — ogółem jedenaście godzin, ilekroć jednak zmywałem naczynia w restauracji, mój dzień pracy wydłużał się do czternastu godzin. Biorąc pod uwagę przeciętny czas pracy paryskiego *plongeur*, było to i tak krótko. Jedyną udręką było straszliwe gorąco i duchota panujące w labiryntach piwnic. Poza tym hotel, który był obszerny i w którym panowała dobra organizacja pracy, uchodził za komfortowy.

Nasza kuchnia śniadaniowa była mroczną piwnicą o powierzchni dwudziestu stóp na siedem i wysokości ośmiu stóp, gęsto zapełnioną dzbankami do kawy, krajalicami chleba oraz podobnymi przedmiotami, tak że trudno było się poruszyć nie zawadzając o coś. Pomieszczenie to oświetlała słaba żarówka oraz cztery czy pięć palników gazowych, świecących ostrym, czerwonym płomieniem. Na zainstalowanym tam termometrze temperatura nie spadała nigdy poniżej 110°F — niekiedy, za dnia, zbliżała się do 130°F. Po jednej stronie znajdowało się pięć wind przeznaczonych do wysyłania na górę produktów, po przeciwnej stronie była lodownia, w której przechowywaliśmy mleko i masło. Wszedłszy tam doświadczało się stustopniowej różnicy temperatur i często przychodził mi wtedy na myśl kościelny hymn o lodowych górach Grenlandii i koralowym wybrzeżu Indii. Oprócz Borysa i mnie w kuchni śniadaniowej pracowało jeszcze dwóch mężczyzn. Pierwszym był Mario, potężny, pobudliwy Włoch — z powodu przesadnej gestykulacji przypominał policjanta regulującego ruch — zaś drugim, włochata, nieokrzesana bestia, którą nazywaliśmy „Węgre”; wydaje mi się, że ów dzikus pochodził z Transylwanii albo z jakichś jeszcze bardziej odległych krain. Z wyjątkiem tego „Węgra” wszyscy byliśmy solidnej postury, toteż w porze największego ruchu nieustannie się potracaliśmy.

W kuchni śniadaniowej pracowało się zrywami. Wprawdzie ani chwili nie staliśmy beczynnie, jednak prawdziwa praca trwała za każdym razem dwie godziny; taki okres ożywienia nazywaliśmy „*un coup de feu*”. Pierwszy „*coup de feu*” przypadał na godzinę ósmą rano, kiedy goście hotelowi zaczynali się budzić i domagać śniadań. O godzinie ósmej podziemia hotelu rozbrzmiewały nagle łoskotem i wrzaskami, wszędzie terkotały dzwonki, korytarzami biegali ubrani w błękitne fartuchy ludzie, windy wszystkie jednocześnie zjeżdżały na dół, czyniąc przy tym przeraźliwy hałas, zaś kelnerzy na wszystkich pięciu piętrach zaczynali kłaść po włosku prosto w otwory szybów. Nie pamiętam już pełnego zakresu naszych obowiązków, obejmował on jednak parzenie herbaty, kawy i przyrządzanie czekolady, przynoszenie posiłków z kuchni, win z piwnicy, owoców — i tak dalej — do sali jadalnej, krojenie chleba, opiekanie grzanek, dźwiganie z lodowni krążków masła, odmierzanie dżemu, otwieranie puszek z mlekiem, liczenie kostek cukru, gotowanie jajek i owsianki, rozbijanie bloków lodu, mielenie kawy — a wszystko to dla potrzeb stu-dwustu gości. Kuchnia była oddalona o trzydzieści jardów, zaś sala jadalna o sześćdziesiąt-siedemdziesiąt jardów. Na wszystko, co wysyłaliśmy na górę posługując się windami, musieliśmy mieć pokrycie w bloczkach kelnerskich, które należało troskliwie przechowywać, ponieważ mieliśmy kłopoty nawet wtedy, kiedy brakowało choćby jednej kostki cukru. Oprócz tego dostarczaliśmy personelowi hotelowemu chleba oraz kawy, a także podawaliśmy posiłki kelnerom w górnej sali. Razem wzięwszy, nie była to łatwa i prosta praca.

Jak obliczyłem, podczas dnia każdy z nas musiał przebyć zwykłym krokiem oraz biegiem około piętnastu mil, a jednak rzekłbym, że praca wymagała od nas bardziej wysiłku psychicznego aniżeli fizycznego. Na pozór nic nie wydaje się łatwiejsze od tych idiotycznych zajęć kuchennych, tymczasem, ilekroć człowiek się śpieszy, stają się one zdumiewająco trudne. Trzeba błyskawicznie imać się najrozmaitszych zajęć naraz, co przypomina porządkowanie na czas talii kart. Przygotowujesz na przykład grzanekę, kiedy — trach! — zjeżdża winda, a w niej zamówienie opiewające na herbatę, bułki i trzy różne gatunki dżemu, jednocześnie — bach! — zjeżdża następna winda z bloczkiem na jajecznicę, kawę i grapefruit; musisz wtedy biec do kuchni po jajka i do sali jadalnej po owoce, a potem wracać jak na skrzydłach, żeby zdążyć wyjąć na czas grzanekę z opiekacza, pamiętając jednocześnie o herbacie i kawie, a oprócz tego o pół tuzinie innych zamówień; równocześnie biega za tobą jakiś kelner,

wrzeszcząc coś na temat butelki wody sodowej, która jakoby zaginęła; ty kłócisz się z tym kelnerem. To wszystko wymaga więcej rozumu, aniżeli mogłoby się wydawać. Mario mawiał, mając bez wątpienia rację, że potrzeba roku, aby wyuczyć się na dobrego pracownika kuchni śniadaniowej.

Czas między godziną ósmą rano a dziesiątą trzydzieści przypominał rodzaj delirium. Niekiedy zwijaliśmy się jak w ukropie; czasem, gdy przerywał się strumień zamówień, przychodziły chwile spokoju i na krótko doświadczyliśmy pozornej ulgi. Uprzątaliśmy wtedy odpadki z podłogi, posypywaliśmy ją świeżymi trocinami i piliśmy litrami wino, kawę albo wodę — cokolwiek, byleby tylko było to mokre. Bardzo często odłamywaliśmy kawałki lodu i ssaliśmy je podczas pracy. Żar buchający od palników gazowych przyprawiał o mdłości; każdego dnia chłoniliśmy niczym gąbki rozmaite napoje, ale po kilku godzinach nasze fartuchy można było wyżymać z potu. Niekiedy pozostawialiśmy beznadziejnie w tyle z robotą i niektórzy goście mogliby nie otrzymać śniadania, ale w takich chwilach zawsze śpieszył z pomocą Mario. Pracował w kuchni śniadaniowej czternaście lat i nigdy nie trwoniał ani sekundy. „Węgier” był głupi jak stołowa noga, mnie brakowało doświadczenia, zaś Borys lubił leserować, częściowo ze względu na chorą nogę, częściowo dlatego, że wstydził się pracować w kuchni śniadaniowej będąc poprzednio kelnerem — za to Mario był wspaniały. Trzeba go było widzieć, gdy jedną wyciągniętą ręką napełnia dzbanek kawą, drugą wstawia na ogień rondel z jajkiem, jednocześnie pilnując grzanki i wyrzaskując polecenia w kierunku „Węgra”, w przerwach zaś śpiewając fragmenty z „Rigoletta” — doprawdy, nie mieliśmy dlań słów uznania. *Patron* znał jego wartość, toteż Mario zarabiał tysiąc franków miesięcznie, zamiast pięciuset, jak reszta z nas.

To śniadaniowe piekło kończyło się o godzinie dziesiątej trzydzieści. Czyściliśmy wtedy stoły, zmiataliśmy podłogę, polerowaliśmy do połysku przedmioty z miedzi, w szczególności zaś dobre dni wychodziliśmy pojedynczo do klozetu na papierosa. Był to nasz czas wolny, choć jedynie w teorii, albowiem mieliśmy tylko dziesięć minut na lunch, którego nigdy nie mogliśmy zjeść w spokoju. Pora lunchu dla gości hotelowych przypadająca na godziny: dwunasta-druga po południu, oznaczała dla nas taki sam straszliwy młyn jak rano. Teraz zajmowaliśmy się głównie przynoszeniem posiłków z kuchni, co było równoznaczne z nieustannym wysłuchiwaniami *engueulades* ciskanych przez kucharzy. W tym czasie stali oni przy rozgrzanych paleniskach już od czterech czy pięciu godzin, toteż nic dziwnego, że temperatura ich emocji znacznie wzrosła.

O godzinie drugiej po południu przeistaczaliśmy się nagle w wolnych ludzi. Zrzucaliśmy fartuchy, nakładaliśmy płaszcze, wybiegaliśmy z budynku i, gdy mieliśmy pieniądze, wpadaliśmy do najbliższego *bistro*. Po wyjściu na ulicę z oświetlonych płomieniami ognia piwnic każdy z nas doznawał osobliwego uczucia. Powietrze wydawało się czyste i ostre jak brzytwa, zupełnie tak jak podczas arktycznego lata; jakże cudownie pachniała benzyna po tym odorze potu i jedzenia! Niekiedy w bistrach spotykaliśmy kilku naszych kelnerów, którzy zachowywali się przyjaźnie i stawiali nam drinki. Kilka minut wcześniej byliśmy ich niewolnikami, jednak, zgodnie z hotelową etykietą, w godzinach wolnych od pracy wszyscy są równi, a *engueulades* idą w zapomnienie.

Za kwadrans piąta wracaliśmy do hotelu. Do godziny szóstej trzydzieści nie nadchodziły żadne zamówienia, toteż wykorzystywaliśmy ten czas na czyszczenie sreber, bufetowych termosów do kawy oraz na rozmaite prace kuchenne. Potem rozpętywało się najstraszliwsze zamieszanie — czyli pora obiadowa. Cały dowcip polegał na tym, że stu czy dwustu gości domagało się jednocześnie posiłków z pięciu albo sześciu dań, oraz że posiłki te musiało przygotować, podać a potem uprzątnąć odpadki — pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt osób; każdy, kto zna z doświadczenia zbiorowe żywienie, dobrze wie, co to oznacza. Gdy obowiązki rosły w dwójnasób, cały personel kuchenny upadał ze zmęczenia, zaś wielu pracowników upijało się. O tym, co się wtedy działo, mógłbym wypisać morze atramentu, ale i tak nie potrafiłbym odpowiednio oddać nastroju. Szalona bieganina wąskimi korytarzami, wpadający na siebie ludzie, wrzaski, borykanie się z pojemnikami, tacami i blokami lodu, żar, egipskie ciemności, gniewne, zjadliwe kłótnie, których nikt nie miał czasu rozstrzygać pięścią — nie sposób tego wprost oddać piórem. Gdyby ktoś zszedł wtedy po raz pierwszy w życiu do naszych piwnic, pomyślałby niechybnie, iż znajduje się w domu dla obłąkanych. Dopiero później, gdy poznałem hotel od podszewki, dostrzegłem porządek w całym tym chaosie.

O godzinie wpół do dziewiątej praca urywała się, jak nożem uciął. Zwalniano nas dopiero o godzinie dziewiątej, ale waliliśmy się wtedy jak kłody na podłogę i leżeliśmy dając ulgę nogom, zanadto otumanieni, żeby pójść do lodowni na drinka. Niekiedy sam *chefdu personnel* schodził do nas z butelkami piwa, ponieważ fundowano nam piwo, ilekroć mieliśmy wyjątkowo ciężki dzień. Pożywienie, które otrzymywaliśmy, dawało się zjeść i nic ponadto, natomiast *patron* nie skąpił nam trunków: dzienny przydział wina wynosił dwa litry na głowę, ponieważ *patron* wiedział, że jeśli *plongeur* zostanie pozbawiony swoich dwóch litrów, ukradnie trzy. Pozwalano nam również na wysączenie resztek z butelek, toteż często piliśmy zbyt wiele alkoholu, co zresztą wcale nie było takie złe, gdyż na lekkim rauszu jakoś szybciej się pracowało.

W ten sposób przeminęły cztery dni tygodnia; co się tyczy dwóch pozostałych dni roboczych, jeden był

lepszy, drugi gorszy. Po tygodniu takiego życia doszedłem do wniosku, że przydałby mi się odpoczynek. Był akurat sobotni wieczór, toteż bywalcy naszego *bistro* już się upijali, mając zaś w perspektywie wolny dzień, skwapliwie się do nich przyłączyłem. O godzinie drugiej w nocy wszyscy poszliśmy do łóżek pijani i nie zamierzaliśmy wstać wcześniej niż w południe. O godzinie wpół do szóstej ktoś mnie nagle obudził. Obok łóżka stał nocny strażnik przysłany z hotelu. Odrzucił pościel i potrząsał mną brutalnie.

— Wstawaj! — krzyczał. — *Tu t'es bien saoule la gueule, pas vrai?* No, nieważne, w hotelu zabrakło pracownika. Masz dziś pracować.

— Z jakiej racji? — zaprotestowałem. — Mam dzień wolny.

— Dzień wolny, też mi coś! Ktoś musi pracować. Wstawaj!

Wstałem i wyszedłem ze strażnikiem, choć czułem się tak, jakbym miał złamany kręgosłup, a wewnątrz czaszki gorący popiół. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym pracować cały dzień. Nie minęła jednak godzina, a powróciłem do znakomitej formy. Wyglądało na to, że w piekielnym żarze naszych lochów niczym w tureckiej łaźni można wypocić z siebie każdą ilość trunku. *Plongeurzy* wiedzą o tym, i korzystają z tego. Możliwość picia litrami wina, a potem wypocenia go, nim alkohol zacznie oddziaływać na umysł, jest jedną z jasnych stron ich życia.

12

Najmilej wspominam okres, gdy pomagałem kelnerowi obsługującemu gości na czwartym piętrze. Nasze stanowisko pracy znajdowało się w niewielkim pomieszczeniu, które łączyły z kuchnią śniadaniową windy kelnerskie. Panował tam chłód, jakże cudowny po zaduchu gorących podziemi, obowiązki polegały zaś głównie na czyszczeniu sreber i szkła, co jest całkiem znośną robotą. Valenti, kelner, był porządnym facetem i bez świadków traktował mnie niemal jak równego sobie, jednak w obecności kogokolwiek musiał przybierać szorstki ton, ponieważ kelnerowi nie przystoi okazywanie życzliwości *plongeurom*. Czasem, gdy miał dobry dzień, dawał mi pięć franków. Był przystojnym młodym mężczyzną, miał dwadzieścia cztery lata, choć wyglądał na osiemnaście i, podobnie jak większość kelnerów, nosił się szykownie i znał się na elegancji. W czarnym fraku i białym krawacie, ze swoją świeżą twarzą i gładko przyczesanymi ciemnymi włosami, do złudzenia przypominał ucznia Eton, a jednak utrzymywał się sam od chwili ukończenia dwudziestu lat; żeby zaś dojść do stanowiska kelnera, musiał dosłownie wydostać się z rynsztoka. Miał na koncie przekroczenie włoskiej granicy bez paszportu, obwoźną sprzedaż kasztanów na północnych bulwarach Paryża, pięćdziesięciodniową odsiadkę w Londynie za pracę na czarno oraz aferę w jakimś hotelu, gdzie dał się uwieść przez podstarzałą bogatą kobietę, która ofiarowała mu pierścień z brylantem, a następnie oskarżyła o jego kradzież. Lubilem rozmawiać z tym Włochem, gdy nie mieliśmy nic do roboty — siadywaliśmy wtedy przy wylocie szybu windy, paląc papierosy.

Czarne dni nadchodziły, kiedy zmywałem naczynia z sali restauracyjnej. Nie musiałem zmywać talerzy, gdyż odbywało się to w kuchni, lecz tylko pozostałe części zastawy:

srebro, noże i szkło, co i tak oznaczało trzynaście godzin pracy; używałem wtedy codziennie od trzydziestu do czterdziestu ścierek. Z powodu staroświeckich metod stosowanych we Francji w zmywanie naczyń trzeba tam wkładać kilkakrotnie więcej wysiłku aniżeli w innym kraju. O suszarkach do talerzy nigdy tam nie słyszano, to samo dotyczy płatków mydlanych — dostępne jest jedynie kleiste półpłynne mydło, które nie pieni się w twardej paryskiej wodzie. Pracowałem w brudnej ciasnej dziupli, będącej połączeniem pomieszczenia przejściowego między kuchnią a salą oraz pomywalni naczyń; izdebka ta sąsiadowała bezpośrednio z salą restauracyjną. Oprócz zmywania do obowiązków moich należało również przynoszenie kelnerom jedzenia i podawanie im do stołu; większość kelnerów przekraczała dopuszczalne granice chamstwa, toteż niejedną raz na niektórych pięściach wymuszałem elementarną uprzejmość. Naczynia zwykle zmywała kobieta, której życie kelnerzy zmienili w pasmo udreń.

Zabawnie było rozejrzeć się po brudnej, ciasnej pomywalni i pomyśleć, że od sali oddzielają nas jedynie podwójne drzwi. Za nimi siedzieli goście w całym przepychu — tam lśniły śnieżnobiałe obrusy, stały wazony z kwiatami, wisiały zwierciadła, pyszniły się złożone gzymsy, uśmiechały się malowane cherubiny, obok zaś, zaledwie kilkanaście centymetrów dalej, odrażająco brudni staliśmy my. Bo też i brud panował u nas przeraźliwy. Mieliśmy czas zamieść podłogę dopiero pod wieczór, przez cały dzień brodziliśmy więc w mazi składającej się z wody z mydlinami, liści sałaty, porwanych strzępków papieru i rozdeptanego jedzenia. Przy stole siedział tuzin kelnerów bez marynarek — wyraźnie widoczne były ich zapocone pachy — przyrządzali sałatki, maczając przy tym kciuki w słoikach ze śmietaną. W powietrzu unosił się obrzydliwy zapach jedzenia i potu. W kredensach, ukryte za stosami naczyń, walały się wszędzie ohydne resztki potraw, które wcześniej padły łupem kelnerów. Dysponowaliśmy tylko dwoma zlewami i ani jednym zbiornikiem przeznaczonym specjalnie do zmywania, nikogo więc nie dziwiło, gdy kelner mył twarz w wodzie, w której akurat płukano czyste naczynia. Jednak goście nigdy niczego nie widzieli. Drzwi prowadzące do sali restauracyjnej obito kokosową matą, na niej zaś wisiało lustro, przed



którym kelnerzy, wychodząc na salę, poprawiali swoją prezencję; w chwilę później każdy wyglądał jak spod igły.

Widok kelnera wchodzącego do hotelowej sali restauracyjnej jest bardzo pouczający. Mijając drzwi, kelner ów przechodzi bowiem jakąś nagłą przemianę. Prostuje ramiona, w jednej chwili znikają gdzieś brud, pośpiech i zdenerwowanie. Człowiek płynie po dywanie, roztaczając wokół siebie aurę namaszczonego kapłaństwa. Pamiętam, jak nasz asystent *maitre d'hotel*, ognisty Włoch, zatrzymał się przed drzwiami, żeby zwymyślać praktykanta, który stłukł butelkę wina. Wymachując mu pięścią nad głową, wrzeszczał (na szczęście drzwi były dość dźwiękoszczelne):

— *Tu me fais chier!* — Czy uważasz się za kelnera, ty niedonoszony bękartcie? Ty i kelnerstwo! Nie potrafiłbyś nawet zamiatać podłóg w burdelu, w którym pracuje twoja matka! *Maquereau!*

Zabrakło mu słów, odwrócił się więc w kierunku drzwi, a otwierając je, pierdnął głośno, co Włosi z upodobaniem stosują jako zniewagę.

Następnie wszedł do sali i pożegłował wśród stolików, trzymając tacę w dłoni: wdziękiem przypominał łabędzia. W dziesięć sekund później pochylał z uszanowaniem głowę przed gościem. Patrząc, jak kłania się i uśmiecha dobrotliwym uśmiechem wyszkolonego kelnera, nie można się było powstrzymać od refleksji, iż gość odczuwa wstyd i zażenowanie widząc, że jest obsługiwany przez takiego arystokratę. Zmywanie było zajęciem na wskroś obrzydliwym — nie to, że ciężkim, tylko nudnym jak flaki z olejem i idiotycznym nie do opisania. Aż dreszcz przechodził po krzyżu na myśl, iż niektórzy wykonują tę pracę przez całe dziesięciolecia. Kobieta, którą zastępowałem, miała dobrze ponad sześćdziesiątkę, a jednak stała przy zlewie przez trzynaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu jak rok długi; na dobitkę straszliwie dokuczali jej kelnerzy. Powiedziała mi kiedyś, że w młodości była aktorką — jak sądzę, chyba prostytutką, większość prostitutek kończy bowiem jako pomywaczki. Doznawałem dziwnego uczucia widząc, iż mimo wieku oraz przejść życiowych nosiła jasnoblonde perukę, przyciemniała brwi i malowała twarz jak dwudziestolatka. Wygląda na to, że nawet siedemdziesięcio-ośmiogodzinny tydzień pracy pozostawia w człowieku odrobinę ochoty do życia.

13

Trzeciego dnia *chef du personnel*, który dotychczas rozmawiał ze mną całkiem uprzejmie, wezwał mnie, i wytknął ostrym tonem:

— Hej ty, masz natychmiast zgolić wąsy. *Nom de Dieu*, kto widział wąsatego *plongeural*

Zacząłem protestować, ale uciął: — Wąsaty *plongeur*, ależ to nonsens! Chcę cię jutro widzieć bez wąsów.

W drodze powrotnej do domu zapytałem Borysa, co to wszystko znaczy. Mój przyjaciel wzruszył ramionami. — Musisz zrobić, jak ci kazał, *mon ami*. Nikt w hotelu nie nosi wąsów, z wyjątkiem kucharzy. Myślałem, że już dawno to zauważyłeś. Powody? Nie ma żadnych powodów. Taki obyczaj.

Wykoncypowałem, iż w grę wchodzi tu etykieta, coś jak niezakładanie białego krawata do smokinga, toteż wąsy zgoliłem. Później znalazłem takie oto wytłumaczenie tego zwyczaju: kelnerzy w dobrych hotelach nie zapuszczają wąsów, żeby zaś wykazać swoją wyższość zakazują noszenia ich *plongeurom*, kucharze natomiast noszą wąsy, żeby dać tym wyraz pogardzie dla kelnerów.

Powyższy przykład świadczy poniekąd o istnieniu w hotelach rozbudowanego systemu kastowego. Wśród naszego personelu, liczącego około stu dziesięciu osób, hierarchia ważności i związany z nią prestiż rozkładały się dokładnie tak jak w wojsku, a kucharza, czy też kelnera, dzielił od *plongeura* dystans tak wielki, jak dowódcę od szeregowca. Najwyżej w hierarchii stał sam dyrektor, który mógł zwolnić z pracy każdego, nawet kucharza. Nigdy nie oglądaliśmy na oczy *patrona*, wiedzieliśmy o nim tylko tyle, że posiłki dlań przeznaczone musiały być przyrządzane staranniej niż dla zwykłych gości — to właśnie on panował nad dyscypliną w hotelu. Cechowała go skrupulatność i pilnie wypatrywał niedbalstw, nie dawaliśmy się jednak zaskoczyć. W budynku zainstalowano cały system dzwonek na służbę, personel zaś wykorzystywał je do przekazywania sobie sygnałów. Jeden dzwonek długi, potem krótki, wreszcie dwa długie oznaczały, że nadchodzi dyrektor, a ilekroć usłyszeliśmy taki znak, każdy starał się sprawiać wrażenie mocno zapracowanego.

W hierarchii tej niżej od dyrektora stał *maitre d'hotel*. Nie obsługiwał gościom do stołu (chyba że jakiemuś lordowi lub 1 komuś równie ważnemu), jedynie kierował pracą kelnerów i udzielał pomocy w dostarczaniu posiłków. Na napiwkach oraz korkowym wypłacanym przez producentów szampana (za każdy zwracany korek otrzymywał dwa franki) zarabiał blisko dwieście franków dziennie. Należał zdecydowanie do innej kategorii służby niż pozostały personel hotelowy — jadał na srebrze w osobnym pokoju, obsługiwany przez dwóch młodszych kelnerów odzianych w czyste białe kurtki. Nieco poniżej kierownika sali plasował się szef kuchni, który wyciągał miesięcznie około pięciu tysięcy franków; jadał wprawdzie w kuchni, lecz przy osobnym stoliku, do którego podawał jeden z kucharzy-praktykantów. Niższy szczebel zajmował *chef du personnel*; wprawdzie wyciągał tylko tysiąc pięćset miesięcznie, ale za to nosił czarny surdut i nie wykonywał żadnych prac fizycznych, mógł też zwalniać *plongeurów* i

nakładać kary pieniężne na kelnerów. W kolejności następowali kucharze, zarabiający od trzech tysięcy do siedmiu tysięcy pięciuset franków miesięcznie, dalej kelnerzy, których dzienne wpływy z napiwków osiągały około siedemdziesięciu franków, a oprócz tego otrzymywali niewielką pensję, po nich praczki i pracownice szwalni, następnie praktykanci kelnerscy, którym wprawdzie nie dawano napiwków, ale którzy zarabiali miesięcznie siedemset pięćdziesiąt franków; potem *plongeurzy* z takimi samymi dochodami, pokojówki (zarabiała pięćset albo sześćset franków), powyższą zaś listę zamykali *cafetiers*, bufetowi, których dochody osiągały pięćset franków. My, czyli personel kuchni śniadaniowej, byliśmy najgorszą szumowiną hotelu, pogardzaną i *tutoied* przez wszystkich. Byli również inni pracownicy — biuraliści, zwani powszechnie gońcami, był magazynier, piwniczny, było kilku numerowych i chłopców na posyłki, był człowiek sprawujący pieczę nad lodownią, był nocny strażnik i portier. Różne prace wykonywali przedstawiciele rozmaitych narodowości. Biuraliści, szwaczki i kucharze byli Francuzami, kelnerzy — Włochami i Niemcami (w Paryżu ze świecą nie znajdzie się kelnera-Francuza), wśród *plon-geurów* zaś można było się doszukać wszystkich narodowości europejskich, byli też Arabowie i Murzyni. Rolę „*lingua franca*” spełniał język francuski; po francusku rozmawiali ze sobą nawet Włosi.

Wszystkie działy hotelu miały własne, uboczne dochody. W każdym paryskim hotelu panuje zwyczaj sprzedawania ułomków chleba piekarzom, płacącym osiem sous za funt, oraz resztek z kuchni hodowcom świń — za jakieś śmieszne grosze; zyski dzielono między *plongeurów*. Panowało również złodziejstwo. Wszyscy kelnerzy kradli żywność — rzadko widywałem kelnera, któremu chciałoby się jeść produkty przydzielane gratis przez hotel — kucharze dokonywali jeszcze większych kradzieży w kuchni, my zaś, pracownicy kuchni śniadaniowej, piliśmy nielegalnie herbatę i kawę. Piwniczny podkradał brandy. Oficjalnie kelnerom zabroniono przygotowywania zapasów trunków: każdy musiał pobierać od piwnicznego takie alkohole, jakie zamówili goście. Piwniczny odmierzał je, odlewając łyżeczkę płynu z każdego kieliszka; w ten sposób zbierał sporo dla siebie. Tym, których uznał za godnych zaufania, sprzedawał kradzioną brandy po pięć sous za solidny łyk.

Wśród pracowników było mnóstwo złodziei i jeśli pozostawiło się pieniądze w kieszeni płaszcza, zwykle znikają. Największym złodziejem w całym hotelu był portier, który wypłacał nam zarobki i rewidował nas w poszukiwaniu kradzionego jedzenia. Z moich zarobków, a otrzymywałem miesięcznie pięćset franków, podlec ów przywłaszczył sobie przez sześć tygodni sto czternaście franków. Zażądałem, żeby wypłacano mi dniówkę, toteż co wieczór otrzymywałem od portiera szesnaście franków, nie płacąc mi zaś w niedzielę (za te dni oczywiście również należały mi się pieniądze), odprowadzał do własnej kieszeni sześćdziesiąt cztery franki. Nadto, ponieważ niekiedy musiałem stawić się do pracy właśnie w niedzielę, miałem prawo — choć nie wiedziałem o tym — do dodatku w wysokości dwudziestu pięciu franków. Portier nie wypłacał mi go, zarabiając tym samym kolejne siedemdziesiąt pięć franków. Uświadomiłem sobie, iż jestem oszukiwany, dopiero ostatniego tygodnia, ale ponieważ nic nikomu nie mogłem udowodnić, otrzymałem z powrotem jedynie dwadzieścia pięć franków. Portier stosował podobne sztuczki wobec każdego pracownika, który był na tyle głupi, że pozwolił nabić się w butelkę. O sobie mawiał, że jest Grekiem, ale w rzeczywistości był Ormianinem. Poznawszy go dobrze, zrozumiałem, dlaczego prawdę mówi przysłowie: „Prędzej zaufaj wężowi aniżeli Żydowi, prędzej Żydowi niż Grekowi, ale nigdy nie ufaj Ormianinowi”.

Wśród kelnerów zdarzały się osobliwe postacie. Był na przykład prawdziwy dżentelmen — młodzieniec z uniwersyteckim wykształceniem, który miał wcześniej dobrze płatne zajęcie w biurze handlowym. Zaraził się jednak chorobą weneryczną, stracił pracę i zszedł na psy, ale pamiętam, jak cieszył się, że miał szczęście i został kelnerem. Wielu kelnerów przybyło do Francji nielegalnie bez paszportów, zaś kilku było szpiegami — szpiegdy podejmują się zwykle tej pracy. Pewnego dnia w sali, gdzie jadali kelnerzy, wybuchła straszliwa awantura między Morandim, osobnikiem o zbyt szeroko osadzonych oczach i wyglądzie bandyty, oraz innym Włochem. Poszło im o to, że Morandi odbił tamtemu kochankę. Drugi kelner; cherlak i najwyraźniej tchórzący przed Morandim, zdobył się tylko na ogólnikowe groźby. Morandi kpił zeń. — No, i co mi zrobisz? Spałem z twoją dziewczyną, spałem z nią trzy razy. Była dobra w łóżku. No, i co zrobisz?

— Mogę cię zadenuncjować tajnej policji. Jesteś włoskim szpiegiem.

Morandi nie zaprzeczał. Po prostu wyciągnął brzytwę z bocznej kieszeni i uczynił nią dwa szybkie ruchy w powietrzu, jakby przecinał przeciwnikowi policzki. Na ów widok tamten wycofał się.

Najosobliwszym jednak typem, jakiego poznałem w hotelu, był pewien „dodatkowy” *plongeur*. Zaangażowano go na jeden dzień z gażą dwudziestu pięciu franków, w zastępstwie chorego „Węgra”. Był on Serbem, krępy facetem o zwinnych ruchach, liczącym około dwudziestu pięciu lat; władał sześcioma językami, w tym angielskim. Wydawało się, że zna pracę w hotelu od podszewki: do południa harował niczym niewolnik. Następnie, gdy tylko zegar wybił godzinę dwunastą, nadał się, jął wymigiwać od pracy, ukraść wino, ukoronowaniem zaś wszystkiego była zapalona fajka w ustach, z którą zaczął paradować jakby nigdy nic. Za palenie tytoniu groziły oczywiście drakońskie kary. Wieści o

Serbie doszły do uszu dyrektora, który, kipiąc wściekłością, zszedł do nas, żeby poddać delikwenta przesłuchaniu.

— Dlaczego, do jasnej cholery, palicie w tym pomieszczeniu? — wrzasnął.

— Dlaczego, do jasnej cholery, masz pan taką gębę?

— odparował spokojnie Serb.

Nie potrafię nawet oddać bluźnierstwa, jakie zawierały te słowa. Gdyby *plongeur* odpowiedział w ten sposób szefowi kuchni, ten rzuciłby mu w twarz talerzem gorącej zupy. Dyrektor wycedził natychmiast:

— Zwalniam was! — po czym o godzinie drugiej Serb otrzymał swoje dwadzieścia pięć franków wraz z poleceniem oddalenia się. Nim nas opuścił, Borys zapytał go po rosyjsku, co takiego kombinuje. Przetłumaczył mi potem wyjaśnienie Serba:

— Spójrz, *mon vieux*, jeżeli będę pracować do południa, muszą wypłacić mi dniówkę, prawda? Takie są przepisy. A co za sens pracować, gdy zarobiłem już swoją dniówkę? Powiem ci więc, jak postępuję. Idę do hotelu, zatrudniam się jako „dodatkový” i pracuję jak wół do południa. Potem, gdy wybije dwunasta, zaczynam wyczyniać takie hece, że muszą się mnie pozbyć. Dobrze, co? Najczęściej wylewają mnie o godzinie wpół do pierwszej, dziś wylali o drugiej, ale ja nie dbam o to. Zaoszczędziłem cztery godziny pracy. Jedynym mankamentem jest to, że nie można powtórzyć tego numeru dwukrotnie w tym samym hotelu.

Jak się okazało, Serb wykonał ów trik w połowie paryskich hoteli i restauracji. Domyślam się, że latem łatwo jest nabierać w ten sposób hotelarzy, choć bronią się oni przed podobnymi naciągaczami wszelkimi sposobami, sporządzając czarne listy.

14

Po kilku dniach zdołałem pojąć główne zasady rządzące funkcjonowaniem hotelu. Każdego, kto po raz pierwszy ogląda zaplecze hotelowe w porze największego ruchu, niewątpliwie dziwi panujący tam harmider i nieporządek. Jest to coś tak dalece odmiennego od jednostajnej pracy za ladą sklepową albo przy warsztacie, że początkowo odnosi się wrażenie, iż są to skutki złego zarządzania. Tego bałaganu nie sposób jednak uniknąć, a to z następującej przyczyny. Praca w hotelu nie należy do szczególnie ciężkich zajęć, ma jednak to do siebie, iż następują jej spiętrzenia, na dobitkę zaś nie ma mowy o żadnej ekonomizacji. Nie sposób na przykład usmażyć stek na grillu na dwie godziny przed nadejściem odpowiedniego zamówienia, należy z tym poczekać do ostatniej chwili — przez ten czas gromadzi się mnóstwo innych zaległości — a potem trzeba robić wszystko naraz w szalonym pośpiechu. W rezultacie w porze posiłków każdy pracuje za dwóch, co jest niemożliwe bez zgiełku i kłótni. Te ostatnie są niezbędne przy tej pracy, gdyby bowiem wszyscy nie oskarżali się wzajemnie o lenistwo, nigdy nie można by utrzymać tak wysokiego tempa. Z tego właśnie powodu w porze nasilenia ruchu cały personel szalał i kłął jak banda szewców. W tych godzinach jedynym właściwie czasownikiem, jaki się słyszało, był czasownik *foutre*. Szesnastoletnia dziewczyna zatrudniona w piekarni puszczała takie wiązanki, że łatwo zawstydziliby woźnicę. (Czy Hamlet nie powiedział: „I na przekleństwach czas trawić jak prosta, karczemna dziewczka?!”. Szekspir musiał widzieć pracę pomywaczy). Nikt z nas jednak nie tracił w całym tym młynie głowy, nikt też nie trwoniał czasu: po prostu dopingowaliśmy się nawzajem w celu wykonania w dwie godziny roboty, jaką zwykle wykonuje się w cztery godziny.

Hotel funkcjonuje dzięki temu, że jego personel odczuwa prawdziwą dumę ze swojej pracy, choć jest nieludzka oraz idiotyczna. Jeśli ktoś się leni, inni szybko to odkrywają i zaczynają spiskować, by spowodować, żeby ktoś taki otrzymał wymówienie. Kucharze, kelnerzy i *plongeurzy* ogromnie się od siebie różnią pod względem charakteru, łączy ich jednak poczucie dumy z własnej biegłości w sztuce.

Bez wątpienia najlepszymi fachowcami, a zarazem najmniejszymi służalcami, są kucharze. Wprawdzie nie zarabiają oni tyle co kelnerzy, cieszą się jednak większym aniżeli oni prestiżem i mają pewniejszą pracę. Kucharz nie uważa się za sługę, tylko za biegłego rzemieślnika; nazywają go zwykle „*un ouvrier*”, którym kelner nigdy nie zostanie. Zna on swoją siłę — wie, iż tylko od niego zależy, czy restauracja zdobędzie sobie sławę, czy zejdzie na psy, i że jeśli on sam spóźni się z czymś o pięć minut, wszystko ulega dezorganizacji. Pogardza wszystkimi niekucharzami i uznaje za punkt honoru wymyślanie każdemu będącemu w hierarchii poniżej kierownika sali. Równocześnie, niczym artysta, odczuwa dumę ze swej pracy, wymagającej wielkich umiejętności. Przyrządzanie bowiem potraw nie jest szczególnie trudne, niełatwe jest tylko zgranie wszystkiego w czasie. Od śniadania do lunchu szef kuchni w Hotel X otrzymywał kilkaset zamówień, każdą potrawę kelner musiał podać o innym czasie; jedynie nieliczne szef kuchni przyrządzał własnoręcznie, wydawał tylko odpowiednie polecenia podwładnym, a potem sprawdzał jakość dań przed wysłaniem na górę. Miał fenomenalną pamięć. Bloczki z zamówieniami przypinano pinezkami do tablicy, ale on rzadko kiedy na nie spoglądał: wszystko miał w głowie i z dokładnością co do minuty, gdy tylko potrawa była gotowa, wołał: — *Faites marcher une côtelette de veau* (czy cokolwiek innego), nigdy nie popełniając błędu. Był tyranem jakich mało, lecz również artystą. To z powodu dokładności, nie zaś lepszych umiejętności fachowych, ceni się wyżej kucharzy aniżeli

kucharki.

Inaczej z kelnerami. Również kelner chlubi się swoimi umiejętnościami, polegają one jednak głównie na służalczości. Jego fach wytwarza w nim mentalność nie pracownika, tylko snoba. Przebywa nieustannie w cieniu zamożnych gości, zatrzymuje się przy ich stolikach, słucha ich rozmów, podlizuje się im uśmiechami i dyskretnymi żarcikami. Czerpie przyjemność z wydawania pieniędzy *per procura*. Nadto, zawsze istnieje możliwość, iż on sam również się wzbogaci, albowiem — mimo że większość kelnerów umiera w nędzy, niektórym przez pewien czas nieźle się powodzi. W kilku kawiarniach przy Grand Boulevard można zarobić tyle pieniędzy, iż kelnerzy płacą *patronowi* za to, żeby ich zatrudnił. W rezultacie kelner, nieustannie widząc pieniądze i mając nadzieję samemu wejść w ich posiadanie, zaczyna się w pewnej mierze identyfikować ze swoimi pracodawcami. Dołoży starań, aby podawać do stołu z szykiem, albowiem sądzi, że sam również uczestniczy w posiłku.

Pamiętam, jak Valenti opowiadał mi o jakimś bankiecie w Nicei; przechwalał się, iż bankiet ów kosztował dwieście tysięcy franków, wspominano go zaś miesiącami. — Było to coś bajecznego, *monp'tit, mais magnifique!* O Jezu! Ten szampan, te srebra, te orchidee — nigdy nie widziałem czegoś tak wspaniałego, a niejedno już w życiu widziałem. Ach, coś fantastycznego!

— No dobrze — zauważyłem — ale ty przecież tylko podawałeś tam do stołu?

— Oczywiście. Ale i tak było to coś znakomitego. Oto i morał: nigdy nie współczujcie kelnerowi. Niekiedy, siedząc w restauracji jeszcze pół godziny po zamknięciu lokalu i napychając się jedzeniem, odnosicie wrażenie, iż zmęczony kelner musi was serdecznie nienawidzić. Nic podobnego. Patrząc na was, on wcale nie myśli: „cóż za spasiony bałwan”, tylko: „pewnego dnia, gdy już będę miał pieniądze, będę taki jak on”. Dbaj jedynie o takie przyjemności życia, jakie sam doskonale rozumie i podziwia. Z tego właśnie powodu kelnerzy rzadko bywają socjalistami, nie mają skutecznego związku zawodowego i pracują dwanaście godzin na dobę, a w wielu kawiarniach — po piętnaście godzin przez siedem dni w tygodniu. Są snobami i zupełnie odpowiada im służalczy charakter tej pracy.

*Plongeurzy* to z kolei zupełnie inni ludzie. Wykonują zajęcie nie dające jakichkolwiek perspektyw, zajęcie niesłychanie nużące, a przy tym nie wymagające ani żadnej biegłości, ani głębszego zainteresowania; jest to praca, którą zawsze wykonywałyby kobiety, gdyby tylko były wystarczająco silne. Od *plongeur* oczekuje się zwykle jedynie tego, żeby stale był na nogach oraz żeby nie przeszkadzały mu długie godziny pracy w zaduchu. Nie może on uciec od takiego życia, albowiem nigdy nie zaoszczędzi ani grosza ze swoich zarobków, zaś praca trwająca od sześćdziesięciu do stu godzin tygodniowo nie pozwala mu na przygotowania do zmiany zawodu. *Plongeur* wiąże największe nadzieje tylko ze znalezieniem lżejszego zajęcia, na przykład posady nocnego stróża czy klozetowego.

A jednak również *plongeurzy*, choć stoją na dolnym szczeblu hierarchii, odczuwają coś w rodzaju dumy zawodowej. Jest to duma wołu roboczego — osoby, która wykona dowolną ilość pracy. Jak się wydaje, na tym poziomie można się szcycić już tylko zdolnością do ciężkiej harówki. Każdy *plongeur* żąda, żeby nazywano go *debrouillard*. *Debrouillard* to ktoś, kto nawet wtedy, kiedy każą mu wykonać niemożliwe — on *se debrouiller* — stanie na głowie i da sobie radę. Jeden z kuchennych *plongeurów* w Hotel X, Niemiec, słynął szeroko jako *debrouillard*. Pewnego wieczora stanął w hotelu angielski lord; niebawem kelnerzy wpadli w rozpacz, ponieważ lord ów zażądał brzoskwiń, a żadnych nie znaleziono: była późna noc i sklepy dawno zamknięto. — Zostawcie to mnie — oświadczył ów Niemiec. Wyszedł, a po dziesięciu minutach powrócił z czterema brzoskwiniami. Po prostu ukradł je z restauracji naprzeciw. Oto co znaczy słowo *debrouillard*. Angielski lord zapłacił dwadzieścia franków za sztukę.

Mario, który zajmował się kuchnią śniadaniową, miał typową mentalność wołu roboczego. Liczył się dlań tylko „*boulot*” i Włoch wręcz prowokował, by owej roboty przydzielano mu jak najwięcej. Czternaście lat pracy w podziemiach pozostawiło w nim tyle tylko lenistwa, ile można by go znaleźć w silnikowym tłoku. — *Faut etre un dur* — mawiał, słysząc czyjeś narzekania. Często można usłyszeć przechwałki *plongeurów*: — *Je suis un dur* — zupełnie jakby byli oni żołnierzami, nie zaś posługaczkami w spodniach.

Tak więc każdy pracownik hotelowy miał poczucie honoru, zaś przy nawale pracy wszyscy jak jeden mąż byli gotowi do podjęcia ogromnego, zbiorowego wysiłku. Odwieczna wojna między różnymi działami hotelu również sprzyjała większej sprawności, albowiem każdy dbał tylko o swoje, nie pozwalając innym na próżniactwo i złodziejstwa.

Jest to dobra strona pracy w hotelu. Tę ogromną i skomplikowaną maszynę utrzymuje w ruchu niewspółmiernie mała liczba personelu, ponieważ każdy wykonuje ściśle określone obowiązki, na dobitkę zaś czyni to sumiennie. Istnieje jednak słaby punkt, oto i on — praca wykonywana przez personel jest niekoniecznie tym, za co płaci gość. Hotelowy gość sądzi, iż płaci za dobrą obsługę, tymczasem pracownik uważa, że otrzymuje pensję za *boulot* — który z reguły stanowi tylko namiastkę dobrej obsługi. W rezultacie, mimo iż hotele słyną z tego, że wszystko odbywa się w nich jak w zegarku, jeśli chodzi o rzeczy naprawdę ważne, porównanie nawet z najgorzej prowadzonymi domowymi gospodarstwami wypada dla nich zdecydowanie na niekorzyść.

Weźmy na przykład czystość. Gdyby ktoś zapuścił się na zaplecze Hotel X, zastałby tam przeraźliwy brud. W zakamarkach naszej kuchni śniadaniowej leżały śmiecie sprzed roku, a w pojemniku na chleb roilo się od karaluchów. Kiedyś zaproponowałem Mario, żebyśmy je wytępilli. — Poj co zabijać te biedne stworzenia? — odparł z wyrzutem. Inni pomywacze śmieli się ze mnie, kiedy pewnego razu chciałem umyć ręce, nim dotknąłem masła. Trzeba jednak przyznać, iż wszędzie tam, gdzie uznawaliśmy czystość za element *boulotu*, utrzymywaliśmy ją. Regularnie szorowaliśmy stoły oraz pucowaliśmy do połysku przedmioty z mosiądzu i miedzi, ponieważ nakazano nam to czynić; z drugiej jednak strony nikt nie nakazywał nam utrzymywania prawdziwej czystości, w każdym razie i tak nie mielibyśmy na to czasu. Po prostu wykonywaliśmy swoje obowiązki, a ponieważ pierwszym obowiązkiem była punktualność, oszczędzaliśmy przeto czas tkwiąc w brudzie.

W kuchni panował jeszcze gorszy brud. Powiedzenie, że francuski kucharz pluje do zupy, nie jest bynajmniej metaforą, a jedynie stwierdzeniem faktu. Taki kucharz to wprawdzie artysta pierwszej wody, ale jego artyzm nie ma nic wspólnego z czystością. W pewnej mierze nawet kucharz jest brudny właśnie dlatego, że jest artystą; żeby zaś potrawy wyglądały na półmisku elegancko, podczas ich przyrządzania nie sposób przestrzegać zasad higieny. Gdy na przykład szef kuchni sprawdza, czy stek został dobrze wysmażony, nie posługuje się w tym celu widelcem. Ujmuje mięso w palce, po czym rzuca je z powrotem na patelnię, następnie przejeżdża po nim kciukiem i oblizuje palec, żeby przekonać się o smaku sosu; powtarza te czynności, wreszcie postępuje krok do tyłu i kontempluje danie niczym artysta malarz wydający sąd o obrazie, w końcu zaś miłosnym ruchem kładzie stek na talerz, posługując się przy tym tłustymi, różowymi palcami, z których każdy oblizal tego ranka setki razy. Gdy uzna, że może być ukontentowany ze swojego dzieła, usuwa ślady palców ze steku, po czym wręcza potrawę kelnerowi. Ten zaś oczywiście macza w sosie palce, obrzydliwe, zatłuszczone paluchy, którymi wciąż przygląda ubrylan-towane włosy. Wszędzie w Paryżu, gdzie mięsny posiłek kosztuje powyżej, powiedzmy, dziesięciu franków, konsument może być pewien, że obmacano potrawę tak, jak przed chwilą opisałem. W niedrogich restauracjach sytuacja wygląda inaczej — nikt się tam nie bawi z daniem, które kucharz zdejmuje z patelni widelcem i ciska na talerz, nie pomagając sobie palcami. Ujmując rzecz z grubsza: im posiłki droższe, tym więcej w nich cudzego potu i śliny.

Brud jest nieodłączną cechą hoteli i restauracji, albowiem posiłki muszą być przede wszystkim podawane na czas i wytwornie; ich jakość nie ma wtedy większego znaczenia. Pracownik hotelowy jest zbyt zaabsorbowany przygotowaniem jedzenia, żeby zaprzętać sobie głowę tym, że goście będą je spożywać. Posiłek jest dlań wyłącznie „*une comman-de*”, tak jak dla lekarza umierający na raka pacjent jest po prostu „przypadkiem”. Gość zamawia na przykład grzankę. Musi ją przygotować ktoś, kto tkwi w podziemiach i jest zawalony po uszy pracą. Ów ktoś nie jest przecież w stanie zatrzymać się na chwilę i pomyśleć: — Ta grzanka ma zostać zjedzona — muszę ją tak przyrządzić, żeby nadawała się do jedzenia. — Wie tylko tyle, że grzanka musi wyglądać apetycznie i że musi być gotowa za trzy minuty. Z czoła kapie mu na pieczywo kilka wielkich kropel potu. Cóż to go jednak obchodzi? Po chwili grzanka spada na posypaną czarnymi z brudu trocinami podłogę. Przyrządzić ją od nowa — a po co? Lepiej zetrzeć przylepione trociny. W drodze na górę grzanka ponownie upada: tym razem stroną posmarowaną masłem. Ponownie się ją wyciera — i po krzyku. I tak jest ze wszystkim. W Hotel X jedyne potrawy, które przyrządzano czysto, przeznaczone były dla personelu, no i na stół *patrona*. Wszyscy powtarzali następujące porzekadło: „Trzeba tylko uważać *na patrona*, a jeśli chodzi o gości, to *s'en fout pas malH*. Wszędzie na zapleczu od brudu aż się lepilo — były to jakieś tajemnicze złoża brudu, ciągnące się w formie żyły, niczym wnętrzości w jamie brzusznej, przez wielki, szykowny hotel.

Pomijając brud, na porządku dziennym było oszukiwanie gości przez *patrona* na czym tylko się dało. Surowce, z których przyrządzano dania, były najczęściej nader podłej jakości, choć kucharze wiedzieli, w jaki sposób nadawać potrawom wykwintny wygląd. Mięso było w najlepszym wypadku pośledniego gatunku, co się zaś tyczy warzyw, żadna pani domu nawet by na nie na targu nie spojrzała. Regułą stało się rozcieńczanie śmietanki mlekiem. Herbata i kawa były tuzinkowych marek, a syntetyczny dżem czerpaliśmy z dużych, nie oznakowanych puszek. Borys twierdził, iż wszystkie tańsze marki win rozlewano jako *vin ordinaire*. Ponieważ obowiązywała zasada, że pracownicy muszą płacić za wszystko, co z ich winy uległo zmarnowaniu, zatem to, co nie nadawało się do spożycia, rzadko kiedy wyrzucano. Pewnego dnia kelnerowi z trzeciego piętra spadło pieczone kurczę do szybu naszej windy: wylądowało na dnie, wprost na warstwie odpadków, złożonej z ułomków chleba, podartych papierów — i podobnego śmiecia. Kurczę po prostu wytarliśmy ścierką i ponownie wystaliśmy na górę. W części hotelowej opowiadano sobie obrzydliwe historyjki o używanej pościeli, której nie wysyłano do pralni, tylko zwilżano, prasowano i zanoszono do numerów. *Patron* był tak samo skąpy w stosunku do nas, jak i do gości. W całym ogromnym hotelu nie istniały na przykład takie przedmioty jak szczotka i szufelka; musieliśmy radzić sobie, posługując się miotłą i kawałkiem tektury. Klozety dla personelu wyglądały jakby żywcem przeniesione z Azji Środkowej, ręce zaś mogliśmy myć jedynie w zlewach używanych do płukania naczyń.

Niemniej jednak Hotel X należał do grupy kilkunastu najdroższych hoteli w Paryżu, a jego goście płacili astronomiczne ceny. Zwykła opłata za dobę, bez śniadania, wynosiła dwieście franków. Wina i tytoń sprzedawano po podwójnych cenach sklepowych, choć oczywiście *patron* kupował te produkty po cenach hurtowych. Jeśli gość posiadał jakiś tytuł albo cieszył się sławą milionera, wszystkie opłaty automatycznie rosły. Pewnego ranka jakiś Amerykanin z czwartego piętra, który był na diecie, zażądał na śniadanie jedynie soli i gorącej wody. Valenti wpadł we wściekłość.

— Chryste! — wrzasnął — a moje dziesięć procent? Dziesięć procent od ceny soli i wody! — Za to śniadanie policzył dwadzieścia pięć franków. Amerykanin zapłacił bez zmużenia oka.

Borys twierdził, że to samo dzieje się we wszystkich hotelach paryskich, a przynajmniej w tych wielkich i drogich. Jednakże, moim zdaniem, gości Hotel X było szczególnie łatwo nabić w butelkę, albowiem większość z nich stanowili Amerykanie oraz z rzadka Anglicy — nigdy Francuzi — którzy nie mieli zielonego pojęcia o dobrym jedzeniu. Napychali sobie brzuchy obrzydliwymi amerykańskimi płatkami, na podwieczorek jedli marmoladę, pili wermut po obiedzie, wreszcie zamawiali *poulet a la reine* za sto franków, a potem zalewali go sosem Worcester. Pewien gość przybyły z Pittsburga jadł co wieczór w sypialni posiłek złożony z winogron, jajeczniczy i kakao. Być może nie ma większego znaczenia, czy takich ludzi się oszukuje, czy nie.

15

W hotelu nasłuchiwałem się osobliwych opowieści. Wspominano o narkomanach, o starych rozpustnikach odwiedzających hotele w poszukiwaniu przystojnych chłopców na posyłki, o złodziejstwach i szantażu. Mario opowiadał mi, że w hotelu, w którym niegdyś pracował, pokojówka ukradła amerykańskiej damie bezcenny pierścionek z brylantem. Przez kilkanaście dni cały personel poddawano po pracy rewizji osobistej, a dwóch detektywów przeszukiwało budynek od strychów po piwnice, ale pierścionka nie znaleziono. Pokojówka miała bowiem kochanka w piekarni, który zapiekał go w bułce, gdzie leżał sobie spokojnie aż do chwili, gdy zrezygnowano z dalszych poszukiwań.

Pewnego dnia, gdy ruch był niewielki, Mario opowiedział o sobie następującą historyjkę.

— Wiesz, *mon p'tit*, że tu, w hotelu, żyje nam się świetnie, ale gdy jesteś bez pracy, schodzisz na dziady. Chyba wiesz, co to znaczy być głodnym, co? *Forcement*, inaczej nie zmywałbyś naczyń. Widzisz, ja nie jestem *plongeur*em biedaczną, jestem kelnerem, ale nawet ja nie jadłem kiedyś przez pięć dni. Pięć dni nawet bez okruszynki chleba, Chryste!

Mówię ci, te pięć dni były istnym koszmarem. Jedynym szczęściem w nieszczęściu było to, że zapłaciłem z góry za hotel. Mieszkałem wtedy w brudnym, tanim hoteliku przy rue Sainte Eloise w Dzielnicy Łacińskiej. Hotelik ten nazywał się Hotel Suzanne May od imienia jakiejś sławnej prostytutki z czasów Cesarstwa. Głodowałem i byłem w beznadziejnej sytuacji: nie mogłem odwiedzać kawiarni, których właściciele angażowali kelnerów, ponieważ nie miałem pieniędzy nawet na jednego drinka. Leżałem tylko w łóżku, słabnąc coraz bardziej i gapiąc się tępo na pluskwy biegające po suficie. Wierz mi, stary, za nic w świecie nie chciałbym znów przeżyć czegoś takiego.

Piątego dnia po południu na wpół oszalałem, przynajmniej tak mi się dziś wydaje. Na ścianie mojego pokoju wisiał stary, wypłowiały oleodruk przedstawiający oblicze jakiejś kobiety. Patrząc nań zacząłem się zastanawiać, któż to taki i mniej więcej po godzinie doszedłem do wniosku, iż musi to być święta Eloise, patronka tej dzielnicy. Nigdy wcześniej jakoś nie dostrzegłem tego obrazka, wtedy jednak, kiedy leżałem, gapiąc się nań, przyszedł mi do głowy najosobliwszy w świecie pomysł.

„*Ecoute, mon cher* — powiedziałem sobie — jeśli nic się nie zmieni, zdechniesz z głodu. Musisz coś zrobić. A może spróbujesz pomodlić się do świętej Eloise? Padnij na kolana i poproś ją, żeby zesała ci trochę pieniędzy. W końcu nic ci się nie stanie. Spróbuj!”

Kuku na muniu, co? Ale, jak widzisz, człowieka stać na wszystko, gdy jest głodny. Lecz, jak powiedziałem, w końcu korona mi z głowy nie spadnie. Wstałem więc z łóżka i zacząłem odmawiać modlitwę. Brzmiała ona tak:

„Droga Sainte Eloise, jeśli istniejesz, proszę Cię, ześlij mi trochę pieniędzy. Nie chcę wiele, żeby tylko wystarczyło na chleb i butelkę wina, wtedy powróci mi siła. Wystarczą trzy albo cztery franki. Nawet nie wiesz, Sainte Eloise, jaki będę wdzięczny, jeśli mi pomożesz tylko ten jeden raz. Bądź pewna: jeśli mi coś ześlesz, pierwsze, co zrobię, tał zapalę świeczkę dla Ciebie w Twoim kościele kilka domów dalej. Amen”.

Obiecałem tę świeczkę, bo słyszałem kiedyś, że święci lubią, kiedy składa im się taką ofiarę. Oczywiście zamierzałem dotrzymać obietnicy. Ponieważ jednak jestem ateistą, nie bardzo wierzyłem, że coś z tego wyniknie.

No więc, włożyłem znów do łóżka, a w pięć minut później ktoś załomotał do drzwi. Była to dziewczyna imieniem Maria, duża tłusta chłopka, mieszkająca w hotelu. Nie grzeszyła rozumem, ale miała dobry charakter, toteż wcale nie dbałem o to, że widzi mnie w tak podłym stanie.

Na mój widok wrzasnęła. „*Nom de Dieu!* — a co się z tobą stało? Co robisz w łóżku o tej godzinie? *Ten*

as une minę! Wyglądasz jak śmierć na chorągwi".

Chyba musiałem tak wyglądać. Od pięciu dni głodowałem, większość tego czasu zeszła mi na leżeniu w łóżku, a po raz ostatni myłem się i goliłem trzy dni wcześniej. W pokoju było brudno jak w chlewie.

„Co się stało?” — powtórzyła Maria.

„Stało! — odburknąłem. — Chryste! Głoduję. Nie jadłem od pięciu dni. Oto, co się stało”.

Maria była przerażona. „Nic nie jadłeś od pięciu dni? Ale dlaczego? Czy może nie masz pieniędzy?”

„Pieniędzy! — warknąłem. — Czy sądzisz, że byłbym głodował, gdybym miał pieniądze? Mam przy duszy tylko pięć sous, a wszystkie rzeczy zastawiłem w lombardzie. Rozejrzyj się po pokoju i sprawdź, czy zostało coś, co mógłbym sprzedać albo zastawić. Jeśli znajdziesz jakąś rzecz wartą pięćdziesiąt centymów, powiem, że jesteś mądrzejsza ode mnie”.

Maria zaczęła rozglądać się po pokoju. Szperała tu i tam wśród rozmaitych rupieci i naraz na jej twarzy odmalowało się podniecenie. Zdziwiona, rozdziawiła wielkie jak wrota usta o grubych wargach.

„Ty durniu! — wrzasnęła. — Kretynie! A to co?” Ujrzałem, że trzyma w ręku pusty *bidon* po nafcie, który leżał w kącie pokoju. Kupiłem go wiele tygodni wcześniej, zawierał naftę do lampy, którą miałem, nim zacząłem się wyprzedawać.

„To? — rzuciłem. — To *bidon* po nafcie. O co ci chodzi?”

„Kretynie! Czy nie zapłaciłeś za niego trzech franków pięćdziesięciu centymów zastawu?”

Oczywiście, że tyle zapłaciłem. Zawsze płaci się zastaw za *bidon*; jeśli go oddasz, zwróci ci forszę. Ale wtedy na śmierć o tym zapomniałem.

„Tak...” — zacząłem niepewnie.

„Durniu! — znów krzyknęła Maria. Tak ją to wszystko zirykowało, że zaczęła potężnie tupać nogami; aż zląkłem się, że poprzebija sabotami podłogę. — Durniu! *Tes louf! Tes louf!* Dlaczego nie zejdziesz do sklepu i nie odbierzesz zastawu? I on głoduje, a tu trzy i pół franka jak byk! Kretynie!”

Dziś aż sam się sobie dziwię, że podczas tych pięciu dni głodówki ani razu nie zaświtało mi w głowie, żeby odnieść *bidon* do sklepu. Wart był trzy i pół franka, a ja nigdy o tym nie pomyślałem! Usiadłem na łóżku. — „Szybko! — krzyknąłem do Marii — weź ten *bidon* i sama zejdź. Zanieś go do sklepu spożywczego na rogu — leć, jakby cię ; sto diabłów goniło. No i przynieś jedzenie!”

Nie musiałem powtarzać tego dwa razy. Maria porwała *bidon* i pobiegła na dół, czyniąc taki łoskot sabotami, jakby po schodach biegło stado słońi; po trzech minutach była z powrotem, niosąc pod jedną pachą dwufuntowy bochenek chleba, a pod drugą pół litra wina. Nawet jej nie podziękowałem, po prostu porwałem chleb i zatopiłem w nim zęby. Czy zauważyłeś, jak cudownie smakuje chleb, gdy od dłuższego czasu głodowałeś? Jest chłodny, wilgotny, pulchnutki — przypomina zupełnie kit. Chryste, jakież był arcywspaniały! Co się tyczy wina, opróżniłem butelkę jednym haustem; doznałem uczucia, że trunek wlewa się wprost w moje żyły i zaczyna krążyć po organizmie niczym świeża krew. Ach, poczułem się jak nowo narodzony!

Pożarłem wszystek chleb, nawet nie przerywając ucztę dla zaczerpnięcia oddechu. Maria stała przede mną — podparła się pod boki i patrzyła jak jem. „No i co, chyba czujesz się teraz lepiej?” — zapytała, kiedy skończyłem.

„Lepiej! — zawołałem. — Czuję się wyśmienicie! Pięć minut temu byłem zupełnie innym człowiekiem. A teraz oddałbym wszystko za jedną rzecz — za papierosa”.

Maria wsunęła dłoń do kieszeni fartucha. „Chyba sobie nie zapalisz — westchnęła — bo nie ma już na to forsy. Z twoich trzech i pół franka zostało mi tylko siedem sous. To na nic, najtańsze papierosy kosztują dwanaście sous paczka”.

„No to stać mnie na nie! — wrzasnąłem. — Jezu, co za szczęście! Mam przecież pięć sous — to wystarczy”.

Maria wzięła ode mnie dwanaście sous i w mig znalazła się na schodach. Wtedy właśnie przyszło mi do głowy coś, o czym wcześniej zupełnie zapomniałem. Przecież była ta przekłeta Sainte Eloise! Obiecałem jej świeczkę, jeśli ześle mi pieniądze, no i niech mi ktoś powie, że modlitwa się nie spełniła? Poprosiłem o pieniądze i za chwilę miałem w ręku trzy franki i pięćdziesiąt centymów. Nie mogłem się wykręcić. Musiałem za te dwanaście sous kupić świeczkę.

Zawróciłem Marię. „Nic z tego — westchnąłem — obiecałem Sainte Eloise świeczkę. Będę musiał wydać na nią te dwanaście sous. Głupia sprawa, prawda? Nie mogę kupić papierosów”.

„Sainte Eloise — zdziwiła się Maria. — Jaka Sainte Eloise?”

„Modliłem się do niej o pieniądze i przyrzekłem jej świeczkę — wyjaśniłem. — Modlitwa została wysłuchana, w każdym razie pieniądze się pojawiły. Będę musiał kupić tę świeczkę. Wiem, że to kłopot, ale czuję, że powinienem dotrzymać obietnicy”.

„Ale jakim cudem przyszła ci do głowy Sainte Eloise?” — zdziwiła się Maria.

„Z powodu obrazka — powiedziałem i wszystko jej wyjaśniłem. — Oto on, spójrz” — wskazałem na ścianę.

Maria popatrzyła na oleodruk, a potem, ku mojemu zdziwieniu, wybuchnęła gromkim śmiechem. Śmiała

się coraz głośniej, zataczając się po pokoju i trzymając za obfite boki, jakby miała za chwilę pęknąć. Pomyślałem, że dziewczynie pomieszało się w głowie. Odzyskała mowę dopiero po dwóch minutach. „Ty durniu! — zawołała wreszcie. — *Tes louf. Tes louf!* Czy naprawdę klęczałeś i modliłeś się do tego obrazka? Kto ci powiedział, że przedstawia on Sainte Eloise?”

„Myślałem, że to ona”.

„Ty kretynie! Toż to wcale nie Sainte Eloise. Jak myślisz — kto to?”

„No, kto?” — zdziwiłem się.

„To Suzanne May, której imieniem nazwano ten hotel”. Modliłem się więc do Suzanne May, sławnej prostytutki z czasów Cesarstwa... Ostatecznie byłem jednak zadowolony. Setnie się z Marią ubawiliśmy, a potem rozważyliśmy całą sprawę, dochodząc do wniosku, że nic nie jestem winien Sainte Eloise. To nie ona wysłuchała mojej modlitwy, więc nie musiałem kupować jej świeczki. No i w ten sposób zyskałem paczkę papierosów.

16

Upływał czas, ale nic nie wskazywało na to, że restauracja Auberge de Jehan Cottard zostanie kiedykolwiek otwarta. Któregoś dnia poszliśmy tam z Borysem podczas popołudniowej przerwy i zobaczyliśmy, że w lokalu tym nie dokonano żadnych zmian, z wyjątkiem ozdobienia baru nieprzyzwoitymi rycinami; zauważyliśmy też trzech wierzycieli zamiast, jak poprzednio, dwóch. *Patron* przywitał nas równie uprzejmie, a po chwili zagadnął mnie (swojego przyszłego pomywacza) i pożyczył pięć franków. Po tym incydencie poczułem niezachwianą pewność, że wszystko skończy się na zapowiedziach. *Patron* jednak znów stwierdził kategorycznie, iż otwarcie nastąpi „dokładnie za dwa tygodnie, licząc od dziś”, po czym przedstawił nas kobiecie, która miała być kucharką; była ona bałtycką Rosjanką, mierzyła pięć stóp wzrostu, a w biodrach miała blisko metr. Poinformowała nas, że w lepszych czasach była śpiewaczką, że ma artystyczną duszę, i że uwielbia literaturę angielską, zwłaszcza „La Case de l’Oncle Tom” [*Chata Wujka Toma*].

Po dwóch tygodniach tak dalece przywykłem do monotonnego trybu życia *plongeur*a, iż niemal zapomniałem o wszystkim, co odeń odbiega. Moje życie płynęło utartymi koleinami. Budziłem się nerwowo za kwadrans szósta, nakładałem sztywne od tłuszczu ubranie i szybko wychodziłem z hotelu, nie myjąc twarzy i odczuwając sztywność i ból w mięśniach. Dniało i we wszystkich oknach było ciemno, z wyjątkiem witryn robotniczych kawiarni. Niebo przypominało ogromną płaszczyznę kobaltu, na tle której rysowały się dachy i wieże kościołów, jakby wycięto je z czarnego papieru. Senni sprzątacze zamiatali chodniki trzymetrowymi miotłami, a nad koszami wypełnionymi odpadkami pochylały się całe rodziny nędzarzy. Robotnicy oraz dziewczyny trzymające w jednej ręce kawałek czekolady, a w drugiej rogalik, wchodzili tłumnie do stacji metra. Opodal przejeżdżały zatłoczone robotnikami tramwaje. Trzeba było pobiec na dół, na peron, potem stoczyć walkę o miejsce — w paryskim metrze o godzinie szóstej rano dosłownie walczy się o miejsce — następnie stać nieruchomo w ścisłym kołyszającym się ciżby pasażerów, mając przez cały czas naprzeciw wstrętą, zionącą kwaśnym winem i czosnkiem gębę jakiegoś Francuza. Wreszcie wchodziło się do labiryntu podziemi hotelowych i zapominało o istnieniu światła dziennego — aż do godziny drugiej po południu, kiedy to słońce mocno grzało, zaś ulice kłębiły się od przechodniów i samochodów.

Po pierwszym tygodniu pracy w hotelu podczas popołudniowej przerwy zawsze ucinałem sobie drzemkę; bądź też, gdy miałem pieniądze, odwiedzałem jakieś *bistro*. Z wyjątkiem kilku ambitniejszych kelnerów poświęcających tych kilkadziesiąt wolnych minut na naukę angielskiego, reszta personelu postępowała podobnie jak ja: ponieważ każdy czuł pracę w kościach, nikomu się nic nie chciało. Niekiedy pół tuzina *plongeurów* udawało się gromadą do ohydny burdel przy rue de Sieyes, gdzie wstęp kosztował tylko pięć franków dwadzieścia pięć centymów — czyli dziesięć i pół pensa. Burdel ów zwano lokalem „*le pñx fixe*”; bywalcy opisywali swoje doświadczenia, śmiejąc się przy tym do rozpuku. Było to ulubione miejsce spotkań pracowników hotelowych. Niskie zarobki nie pozwalały *plongeurowi* na ożenek, nie ulega również wątpliwości, iż: stałe przebywanie w podziemiach obniża wymagania.

Praca w tych lochach trwała przez następne cztery godziny, a po fajrancie wychodziło się, ociekając potem, na chłodną ulicę. Paliły się latarnie — paryskie latarnie płoną dziwnym, jakby purpurowym blaskiem — a za rzeką wieża Eiffla rozbłyskiwała od szczytu do podstawy zygzakowatymi liniami światełek przypominających ogromne ogniste węże. Jezdnią płynęły cicho sznury samochodów, zaś pod arkadami spacerowały kobiety, które w słabym świetle wydawały się zachwycające. Niekiedy któraś z nich rzucała spojrzenie Borysowi lub mnie, po sekundzie jednak, dostrzegając nasze zatłuszczone ubrania, pośpiesznie odwracała wzrok. Jeszcze jedna walka o miejsce w metrze, i o godzinie dziesiątej wieczór było się w domu. Czas od godziny dziesiątej aż do północy spędzałem zwykle w niewielkim *bistro* na naszej ulicy; mieściło się w suterenie i schodzili się tam arabscy robotnicy. W lokalu tym często wybuchały bójki i widywałem niekiedy, jak ktoś ciska butelką w przeciwnika (raz skutki okazały się oplakane), z reguły jednak Arabowie walczyli między sobą, nie zaczepiając chrześcijan. Arabski trunek



— *raki*, był tani jak barszcz, zaś *bistra* nigdy nie zamykano, ponieważ Arabowie — szczęśliwi ludzie — potrafili pracować przez cały dzień i pić przez całą noc.

Prowadziłem zatem typowe życie *plongeura* i prawdę powiedziawszy nie było ono wtedy najgorsze. Nie uważałem się za biedaka, albowiem nawet opłaciwszy hotel i odłożywszy sumę niezbędną na tytoń, przejazdy i niedzielne posiłki, pozostawały mi na alkohol cztery franki dziennie, zaś cztery franki to był majątek. Odczuwałem wtedy — trudno mi to opisać — jakieś prymitywne zadowolenie z życia (na podobieństwo, jak sądzę, dobrze karmionego zwierzęcia), z życia, które stało się tak nieskomplikowane. Nic bowiem nie jest bardziej nieskomplikowane niż życie *plongeura*. Jego rytm wyznaczają praca i sen, na myślenie brakuje już czasu, a świat zewnętrzny niemal przestaje istnieć; Paryż *plongeura* kurczy się do wymiarów hotelu, metra, kilku bistr i łóżka. Jeśli *plongeur* zbacza z ustalonej trasy, ląduje zaledwie kilka ulic dalej, zabiera po prostu do lokalu jakąś służącą, która siada mu na kolanach połykając ostrygi i piwo. Gdy *plongeur* ma wolne, wyleguje się aż do południa, potem nakłada czystą koszulę, gra w kości o drinki, a po obiedzie znów wraca do łóżka. Jego rzeczywistością są: *boulot*, alkohol i sen, przy czym najważniejszy jest ten ostatni.

Pewnej nocy, niemal już nad ranem, pod moim oknem popełniono morderstwo. Obudził mnie straszliwy wrzask, a gdy wyrząłem, zobaczyłem człowieka rozciągniętego na bruku; dostrzegłem też sprawców — było ich trzech i właśnie znikali w perspektywie ulicy. Kilku lokatorów zeszło na dół i przekonało się, że mężczyzna jest już martwy, czaszkę roztrzaskano mu kawałkiem rurki. Pamiętam kolor rozlanej krwi, purpurowy niczym wino, gdy zaś wieczorem wróciłem do hotelu, kałuża wciąż stała na bruku i opowiadano, że dzieci ściągały z całej dzielnicy, aby ją obejrzeć. Gdy wspominał ten incydent, uświadamiam sobie, że już po trzech minutach znalazłem się z powrotem w łóżku i spałem kamiennym snem. Tak samo postąpiła również większość mieszkańców ulicy; po prostu upewniliśmy się, że facet został załatwiony, a następnie wróciliśmy pod pierzyny. Byliśmy wszak ludźmi pracy, czyż miało więc sens marnowanie snu z powodu morderstwa?

Dzięki zajęciu w hotelu poznałem prawdziwą wartość snu, tak jak dzięki głodowi poznaje się prawdziwą wartość jedzenia. Sen przestał być zwyczajną koniecznością życiową, stał się natomiast rozwiązłością, raczej rozpustą aniżeli odpoczynkiem. Ustały kłopoty z pluskwami. Mario podał mi na nie skuteczny sposób: po prostu pościel należało obficie posypać pieprzem. Kichałem od tego draństwa, ale pluskwy nie cierpiały pieprzu i wyniosły się do sąsiadów.

17

Ponieważ dysponowałem co tydzień trzydziestoma frankami na trunki, mogłem uczestniczyć w życiu towarzyskim dzielnicy. Pamiętam kilka wesołych sobotnich wieczorów w małym *bistro* na dole Hotel des Trois Moineaux.

W sali o ceglanej posadzce i o powierzchni niewiele ponad piętnaście stóp kwadratowych tłoczyło się dwadzieścia osób, a w powietrzu było aż gęsto od dymu. Panował ogłuszający hałas, ponieważ każdy albo przeraźliwie głośno gadał, albo śpiewał. Czasem szumiał tam tylko jednostajny gwar, niekiedy chór głosów wybuchał słowami pieśni — czy to „Marsylianki”, „Międzynarodówki”, „Madelon”, czy wreszcie „Les Fraises et les Framboises”. Azaya, ogromna, ciężko stąpająca młoda chłopka, która pracowała czternaście godzin na dobę w fabryce szkła, śpiewała piosenkę: *Elle a perdu son pantalon, tout en dansant le Charleston*. Jej przyjaciółka Marinette, chuda, ciemna Korsykanka lekkich obyczajów, tańczyła, ściskając kolana, *danse du ventre*. Starzy państwo Rougiers to wchodzili do sali, to znikali, naciągając innych na kielicha i usiłując snuć każdemu długą i zawiłą opowieść o kimś, kto ich kiedyś oszukał, rzecz zaś dotyczyła stelażu łóżka. R., przypominający wyglądem trupa, milczący jak głaz tkwił w swoim kącie, sącząc spokojnie trunki. Pijany jak bela Charlie ni to tańczył, ni to zataczał się po sali, trzymając w pulchnej dłoni szklankę fałszywego absyntu, podszczypując kobiety w piersi i deklamując wiersze. Niektórzy grali w strzałki i rzucali kości o to, kto postawi następną kolejkę. Hiszpan Manuel przyciągał dziewczyny do baru, dotykał ich brzuchów kubkiem z kośćmi, jednocześnie potrząsając nim — przynosiło to podobno szczęście w grze. Madame F. stała za szynkwasem i pośpiesznie nalewała *chopines* wina przez cynowy lejek, zawsze trzymając w pogotowiu mokrą ścierkę, albowiem każdy mężczyzna w *bistro* usiłował się do niej zalecać. Dwoje siedzących w kącie dzieci, bękartów murarza Louisa, piło z jednej szklanki *sirop*. Wszyscy byli niezmiernie szczęśliwi, przepełnieni niezachwianą pewnością, że świat to fajne miejsce, zaś oni sami — klawi ludziska.

Gwar nie ustawał przez godzinę. Około północy rozległ się przeraźliwy okrzyk: — *Citoyens!* — któremu towarzyszył odgłos padającego krzesła. Robotnik o jasnych włosach i czerwonej twarzy wstawał i zaczynał walić butelką o blat stołu. Cichła wtedy pieśń, a dookoła słyszało się poszep-tywanie: — Sza! Fureux zaczyna swoje! — Fureux był dziwaczną postacią, kamieniarzem z prowincji Limousin, który pracował spokojnie przez cały tydzień, ale w soboty upijał się, a wtedy ogarniał go jakiś szał. Stracił pamięć, nie pamiętał już żadnych wydarzeń sprzed wojny, i alkohol byłby zniszczył go doszczętnie, gdyby nie Madame F. . W sobotnie wieczory, mniej więcej o godzinie piątej po południu, zawsze mówiła:

— Łapcie Fureuksa, nim wyda tygodniówkę — potem zaś, gdy biedaka gdzieś przydybano, odbierała mu pieniądze, pozostawiając tylko tyle, żeby wystarczyło na jednego solidnego drinka. Kiedyś kamieniarz jednak zwiął: gdy pijany w sztok zataczał się po Place Monge, wpadł pod samochód i odniósł poważne obrażenia.

Najosobliwsze było to, iż choć na trzeźwo Fureux mienił się komunistą, po alkoholu doznawał gwałtownego przyływu uczuć patriotycznych. Wieczór rozpoczynał więc jak dobry komunista, jednak po wypiciu czterech lub pięciu litrów wina przeistaczał się w zajadłego szowinistę: denuncjował wtedy szpiegów, wyzywał wszystkich cudzoziemców do walki na pięści i ciskał butelkami, jeżeli w porę mu ich nie odebrano. W tym stadium zamroczenia wygłaszał swoje patriotyczne przemówienie — czynił to zresztą w każdy sobotni wieczór. Zawsze powtarzał to samo — słowo w słowo:

— Obywatele Republiki, czy są tu jacyś Francuzi? Jeśli tak, chciałbym im z tego miejsca przypomnieć — przypomnieć o, w rzeczy samej, chwalebnych dniach wojny. Gdy spogląda się w przeszłość, sięgając myślami do czasów męskiej przyjaźni i bohaterstwa — spogląda się, w rzeczy samej, na owe czasy męskiej przyjaźni i bohaterstwa. Gdy przychodzą na myśl bohaterowie, którzy polegli — przychodzą, w rzeczy samej, na myśl bohaterowie, którzy polegli. Obywatele Republiki, zostałem ranny pod Verdun... Wypowiedziawszy te słowa, zrzucił część odzieży i pokazywał słuchaczom bliznę po ranie, którą otrzymał pod Yerdun. Rozlegał się głośny aplauz. Nie było dla nas nic śmieszniej szego, niż te przemówienia Fureuksa. Dobrze go znano w całej dzielnicy; ludzie przychodzili z innych bistr, żeby pogapić się na tego stukniętego biedaka.

Tymczasem ktoś rzucił hasło, żeby rozdrażnić Fureuksa. Mrugając na innych, głośno wołał o ciszę, a potem prosił kamieniarza o zaśpiewanie „Marsylianki”. Fureux dobrze śpiewał, pięknym basem, a gdy dochodził do słów: *Aux armes, citoyens! Formez vos bataillons!*, patriotyczne głoski aż grały mu w piersiach. Po policzkach spływały mu prawdziwe łzy, był jednak zanadto pijany, żeby dostrzec, iż wszyscy zeń się śmieją. Nim kończył pieśń, dwóch silnych robotników chwyciło go za ramiona i mocno trzymało, Azaya zaś odsuwała się nieco i krzyczała: — *Vive l'Allemagne!* — Twarz Fureuksa purpurowiała na taką zniewagę. Wszyscy goście *bistro* zaczęli krzyczeć chórem: — *Vive l'Allemagne! A bas La France!* — podczas gdy Fureux czynił nadludzkie wysiłki, żeby się wyswobodzić i rzucić na prześmiewców. Lecz oto nagle zabawa się kończyła. Biedak bladł, jego twarz przybierała zbolaty wyraz, opadał z sił i nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, wymiotował na stolik. Następnie Madame F. podnosiła go jak worek i pomagała dowlec się na górę do łóżka. Nazajutrz rano Fureux był cichy i spokojny; kupował sobie w kiosku „L'Humanite”.

Stół wycierano do czysta szmatą, po czym Madame F. przynosiła nowe litrowe butelki wina oraz bochenki chleba i rozpoczynało się wielkie picie. Znow śpiewano piosenki. Pojawiał się wędrowny muzyk z banjo i grał towarzystwu, licząc sobie za każdy numer pięć sous. Pewien Arab wraz z dziewczyną z sąsiedniego *bistro* wykonywali jakiś taniec, przy czym tancerz dzierżył w dłoni malowany drewniany fallus wielkości wałka do ciasta. Co pewien czas hałas zamierał. Przychodziła kolej na zwierzchnia łóżkowe, opowieści o wojnie, o łowieniu brzan w Sekwanie i o tym, jak najsukuteczniej *faire la revolution*. Charlie, który tymczasem zdążył wytrzeźwieć, przekrzykiwał wszystkich i rozprawiał przez pięć minut o swojej duszy. Otwierano drzwi i okna, żeby wpuścić nieco chłodu. Ulica pustoszała, w oddali słychać było samotny wóz z mlekiem, podążający z łoskotem kół wzdłuż Boulevard St Michel. Zimne powietrze chłodziło nam czoła, a tanie afrykańskie wino wciąż znakomicie smakowało; byliśmy nadal szczęśliwi, ale teraz pogrążyliśmy się w zadumie, cichy krzyki, pierzchał gdzieś radosny nastrój. Około godziny pierwszej w nocy opadało z nas szczęście. Doznawaliśmy uczucia, że oto ulatuje radość wieczoru i pośpiesznie wołaliśmy do Madame F. o więcej wina, ale ona rozwadniała je teraz i trunek nie smakował już tak dobrze jak wcześniej. Mężczyźni szukali zaczepki. Całowano namiętnie dziewczyny i wpychano im dłonie za staniki, toteż panienki szybko rejterowały, nie czekając na śmielsze karesy. Wielki Louis, murarz, pijany jak bela, pełzał po podłodze i poszczekiwał udając psa. Drażniło to innych, którzy wymierzali mu kopniaki ilekroć znalazł się w pobliżu. Niektórzy ujmowali sąsiadów pod rękę i rozpoczynali długie, bezładne spowiedzi; wpadali w złość, gdy tamci nie chcieli ich słuchać. Przerzedzało się. Manuel w towarzystwie innego gościa, również amatora hazardu, szli do pobliskiego arabskiego *bistro*, gdzie grano w karty aż do poranka. Charlie nieoczekiwanie pożyczał od Madame F. trzydzieści franków i gdzieś zniknął, zapewne udawał się do burdelu. Mężczyźni dopijali wino, wołali szybko: — *sieurs, dames!* — i szli spać.

O godzinie wpół do drugiej ulatniała się ostatnia kropelka przyjemności, pozostawał wyłącznie ból głowy. Uświadamialiśmy sobie, że bynajmniej nie jesteśmy wspaniałymi obywatelami wspaniałego świata, tylko zgrają podle opłacanych robotników, którzy spili się jak świnie, a na dobitkę — na ponuro. Wprawdzie wciąż łykali resztki wina, czyniąc to jednak machinalnie, nieoczekiwanie od trunku robiło się nam niedobrze. Głowy puchły niczym balony, podłoga zaczynała tańczyć pod stopami, języki i wargi nabierały odcienia purpury. Nie było sensu tkwić w lokalu ani minuty dłużej. Kilku mężczyzn wyszło na podwórkę na tyłach domu, gdzie wymiotowali. Wlekleśmy się do łóżek, rzucaliśmy się w pościel na wpół

ubrani, a potem spaliśmy przez dziesięć bitych godzin.

Na takich rozrywkach schodziła mi większość sobotnich wieczorów. Razem wzięwszy, dwie godziny pełnego i nieskrępowanego szczęścia warte jednak były kaca następnego ranka. Dla wielu mężczyzn z naszej dzielnicy, nieżonatych i pozbawionych perspektyw, to cotygodniowe pijaństwo stanowiło jedyną radość w życiu.

18

Pewnej soboty Charlie opowiedział nam w *bistro* piękną historię. Spróbujcie wyobrazić go sobie, proszę — pijanego, ale na tyle przytomnego, że może wystawiać się logicznie. Wali pięścią w blaszany szynkwias i wrzaskiem prosi o ciszę:

— Cisza, *messieurs et dames*, cisza, błagam was o ciszę! Posłuchajcie tego, co wam zaraz opowiem. Będzie to opowieść, która zapada w pamięć, opowieść pouczająca, jedno ze wspomnień wytwornego i wyrafinowanego życia. Cisza, *messieurs et dames!*

Stało się to wtedy, kiedy akurat popadłem w biedę. Wiecie sami, jak to jest — jakie to niegodziwe, gdy taka tragedia spotyka mężczyznę wyrafinowanego. Nie otrzymałem pieniędzy z domu, przeto zastawiłem w lombardzie wszystko, co miałem do zastawienia i pozostało mi tylko jedno wyjście — wziąć się do jakiejś pracy; pracować zaś, jak sami wiecie, nie miałem najmniejszego zamiaru. W tym czasie zamieszkiwałem wspólnie z dziewczyną — miała na imię Yvonne — wielką jak krowa, głupią chłopką, zupełnie jak nasza Azaya, o złotoblond włosach i tłustych nogach. Oboje nic nie jedliśmy przez trzy dni. *Mon Dieu*, jakie straszliwe przechodziliśmy katusze! Dziewczyna chodziła po pokoju, trzymając się za brzuch i wyjąc jak pies, że umiera z głodu. Czysta zgroza.

Atoli dla inteligentnego mężczyzny nie ma rzeczy niemożliwych. Postawiłem więc sobie pytanie: jak najłatwiej zdobyć pieniądze bez pracy? I natychmiast nasunęła mi się odpowiedź: żeby łatwo zdobyć pieniądze, należy być kobietą. Czyż bowiem każda kobieta nie ma czegoś na sprzedaż? Potem zaś, gdy leżałem na łóżku, dumając nad tym, co bym uczynił, gdybym był kobietą, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Otóż przypomniałem sobie o ist-1 nieniu państwowych szpitali położniczych — wiecie, co to takiego państwowe szpitale położnicze? W tych szpitalach kobiety, które są *enceinte*, otrzymują darmowe posiłki i nikt nie zadaje im żadnych pytań. Instytucje te istnieją w celu zachęcania kobiet do macierzyństwa. Każda może się tam udać i zażądać posiłku, który też natychmiast otrzymuje.

„*Mon Dieu!* — pomyślałem — gdybym tylko był kobietą! Chodziłbym codziennie stołować się do takiego szpitala. Kto bez badania lekarskiego pozna, czy kobieta jest *enceinte*, czy też nie jest?”

Powiedziałem Yvonne: — „Zamknij gębę, nie mogę znieść tych wrzasków. Wymyśliłem, jak zdobyć jedzenie”.

„Jak?” — rzuciła jednym tchem.

„To proste — odpowiedziałem. — Idź do państwowego szpitala położniczego. Powiedz im, że jesteś *enceinte* i poproś o posiłek. Dadzą ci dobry obiad i nikt cię o nic nie zapyta”.

Yvonne była przerażona. — „*Mais, mon Dieu* — zawołała ze zgrozą — nie jestem *enceinte!*”

„No i co z tego? — rzuciłem jej. — Można łatwo coś wymyślić. Przecież potrzebny ci jest tylko Jasiek, może dwa. To inspiracja niebios, *ma chere*. Nie wolno jej zaprzepaścić”.

W końcu udało mi się Yvonne przekonać, po czym pożycziliśmy Jasiek, odpowiednio dziewczynę przygotowałem i zaprowadziłem do szpitala. Przyjęli ją tam z otwartymi ramionami. Otrzymała kapuśniak, ragout wołowe, puree z kartofli, chleb, ser i piwo, następnie pielęgniarki zasypały ją dobrymi radami, jak ma postępować z noworodkiem. Yvonne najadła się tak, że niemal pękła, udało się jej również wsunąć do kieszeni nieco chleba i sera dla mnie. Prowadzałem ją do tego szpitala przez wszystkie następne dni, aż wreszcie otrzymałem pieniądze. Ocaliła nas moja inteligencja.

Wszystko szło dobrze przez rok. Żyłem wtedy nadal z Yvonne. Pewnego dnia spacerowaliśmy po Boulevard Port Royal, opodal koszar. Nagle moja towarzyszka otworzyła szeroko usta, po czym poczerwieniała, zbladła i znów poczerwieniała.

„*Mon Dieu!* — krzyknęła — spójrz tylko, kto nadchodzi. To ta pielęgniarka, która była położną w szpitalu. Jestem zgubiona!”

„Szybko! — syknąłem — wiejemy!” Było jednak za późno. Pielęgniarka rozpoznała Yvonne i z uśmiechem skierowała się wprost na nas. Była potężna i przy kości, nosiła złote pince-nez, a jej czerwone policzki przypominały dwa jabłuszka. Wścibska, nadopiekuńcza baba.

„Czy dobrze się czujesz, *ma petitel* — zapytała słodkim tonem. — A twój dzieciaczek? Czy to był chłopiec, którego tak pragnęłaś?”

Yvonne zaczęła drżeć tak silnie, że musiałem mocno ścisnąć jej ramię. „Nie” — wyjąkała wreszcie.

„O, a więc, *evidement*, urodziłaś dziewczynkę?” Kompletna idiotka, całkiem straciła głowę. „Nie” — wyobraźcie sobie, że znów to powtórzyła!

Pielęgniarka zdziwiła się. „*Comment!* — wykrzyknęła — ani chłopiec, ani dziewczynka! Jak to możliwe?” Sami widzicie, *messieurs et dames*, że był to niebezpieczny moment. Twarz Yvonne przybrała kolor

buraka, widziałem, że za chwilę ta głupia dziewczucha wybuchnie płaczem, jeszcze moment i wyśpiewa wszystko. Bóg jeden wie, czym mogłoby się to skończyć. Ale nie obawiajcie się, zachowałem trzeźwy umysł. Wtrąciłem się do rozmowy i uratowałem sytuację.

„To były bliźnięta” — wyjaśniłem spokojnie.

„Bliźnięta!” — ucieszyła się pielęgniarka. Tak to ją rozradowało, że na oczach wszystkich objęła Yvonne i pocałowała w oba policzki.

„Tak, bliźnięta...”

19

Pracowaliśmy w Hotel X już pięć czy sześć tygodni, aż tu któregoś dnia Borys zniknął bez uprzedzenia. Czekał na mnie wieczorem przy me de Rivoli. Poklepał mnie radośnie po ramieniu.

— Nareszcie wolni, *mon ami!* Jutro rano możesz złożyć wypowiedzenie. Jutro otwiera się Auberge.

— Jutro?

— No, być może końcowe przygotowania zajmą nam tydzień czy dwa. Jednak nareszcie koniec z kuchniami śniadaniowymi! *Nous voila lances, mon ami!* Już wykupiłem z lombardu frak.

Cieszył się tak szczerze, że poczułem pewność, iż coś tu nie gra, na dobitkę zaś wcale nie chciałem porzucać pewnego i dobrego zajęcia w hotelu. Jednakże, ponieważ obiecałem to Borysowi, złożyłem wypowiedzenie i nazajutrz, o godzinie siódmej rano, udałem się do Auberge de Jehan Cottard. Lokal był zamknięty, poszedłem tedy na poszukiwanie Borysa, który raz jeszcze czmychnął z zajmowanego pokoju i wynajął inny, przy rue de la Croix Nivert. Znalazłem mojego przyjaciela w pościeli, spał w najlepsze, a obok leżała dziewczyna, którą poderwał poprzedniego wieczoru i która — jak mi później opowiadał — była „bardzo życzliwego dlań usposobienia”. Co się tyczy restauracji, zapewniał mnie, że wszystko jest w porządku; przed otwarciem trzeba tylko załatwić kilka drobiazgów.

O godzinie dziesiątej udało mi się wyciągnąć Borysa z łóżka, zaś po upływie kilkadziesiąt minut otwieraliśmy restaurację. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, by zorientować się, czym będą owe „drobiazgi”. Ujmując rzecz krótko, sytuacja przedstawiała się tak: od naszej poprzedniej wizyty nic się wewnątrz nie zmieniło. Nie zakupiono kuchni gazowych, nie doprowadzono ani wody, ani elektryczności, nadto trzeba było wykonać rozmaite prace malarskie i stolarskie, wiele przedmiotów wymagało również oczyszczenia. Tylko cud mógł spowodować otwarcie Auberge za dziesięć dni, sądząc zaś po wyglądzie lokalu, diabli mogliby go wziąć nawet bez otwierania. Sprawa była oczywista. *Patronowi* zabrakło gotówki, dlatego też zaangażował personel (było nas czworo), zamiast zatrudnić robotników. Nasza praca niemal nic go nie kosztowała, albowiem kelnerzy nie otrzymują stałej pensji, a choć musiał mi płacić, pozbawiony byłem darmowych posiłków aż do otwarcia. W rezultacie, każąc nam zbyt wcześnie porzucić dotychczasowe zajęcia, oszukał nas na kilkaset franków. Straciliśmy dobre posady nic nie zyskując.

Jednak Borys był pełen nadziei. Chodziło mu tylko jedno po głowie: wreszcie znów otwiera się szansa pracy w zawodzie kelnera i nałożenia fraka. Żeby ów cel osiągnąć, mój przyjaciel gotów był pracować przez dziesięć dni za darmo, z perspektywą ponownego pójścia na bruk, gdyby coś nie wyszło. — Cierpliwości! — powtarzał. — Wszystko się jakoś ułoży. Poczekajmy do otwarcia, a potem się odkujemy. Cierpliwości, *mon ami*.

Musieliśmy wykazać cierpliwość, mijały bowiem dni, a nie było widać nawet przygotowań do otwarcia lokalu. Wysprzątailiśmy piwnice, umocowaliśmy półki, pomalowaliśmy na olejno ściany, odnowiliśmy meble, pobieliiliśmy sufit, położyliśmy lakier na podłodze, jednak najważniejsze prace, czyli doprowadzenie wody, gazu i prądu, nie zostały wykonane, ponieważ *patron* nie miał pieniędzy na uregulowanie należności. Było jasne jak słońce, że facet pozostał niemal bez grosza, gdyż nie chciał wypłacić nikomu nawet niewielkiej kwoty, gdy zaś naciskano go o gotówkę, uciekał się do starego chwytu: po prostu błyskawicznie zniknął. Był kuty na cztery nogi, a jednocześnie zachowywał arystokratyczne maniery, toteż niełatwo było z nim prowadzić interesy. Przygnębieni wierzycciele nachodzili go o każdej porze dnia; informowaliśmy ich zawsze, kierując się poleceniami szefa, że akurat przebywa on w Fontainebleau, w Saint Cloud czy też w jakimś innym, położonym w bezpiecznej odległości miejscu. Tymczasem zaczął mi doskwierać coraz większy głód. Wymawiając pracę w hotelu miałem trzydzieści franków, musiałem więc szybko przejść na dietę składającą się z suchego chleba. Borys zdołał początkowo wydebić od *patrona* sześćdziesiąt franków zaliczki, jednak połowę tej sumy wydał na wykupienie z lombardu fraka, połowę zaś na dziewczynę o życzliwym usposobieniu. Pożyczał codziennie trzy franki od Julesa, drugiego kelnera, przeznaczając je na jedzenie. Niekiedy brakowało nam pieniędzy nawet na tytoń.

Co pewien czas wpadała do lokalu kucharka, żeby sprawdzić, jak postępuje robota: na widok pustej kuchni, bez garnków i patelni, biedna kobiecina zwykle szlochała. Jules, drugi kelner, od początku nie chciał pomagać nam w pracy. Był on Węgrem, niskim, czarniawym, bardzo gadatliwym człowieczkiem o ostrych rysach; nosił okulary i studiował medycynę, ale z braku funduszy musiał przerwać praktykę.

Uwielbiał mówić, podczas gdy inni pracowali. Opowiedział mi wszystko o sobie i swoich przekonaniach. Okazało się, że jest komunistą, jak również wyznawcą rozmaitych dziwacznych teorii (potrafił na przykład, posługując się liczbami, udowodnić, że nie powinno się pracować), nadto, jak większość Węgrów, był także szalenie dumny. Osoby dumne i leniwe nie mogą być dobrymi kelnerami. Jules najbardziej lubił wspominać, jak to kiedyś obraził go czymś gość w restauracji, po czym on, Jules, wylał mu za kołnierz talerz gorącej zupy i nie czekając na wypowiedzenie natychmiast opuścił lokal.

Z każdym dniem Jules okazywał coraz większą wściekłość z powodu podstępu, jaki zastosował wobec nas *patron*. Mówił głośno i z naciskiem, niczym orator. Spacerował po sali, potrząsając pięścią i usiłując skłonić mnie do przerwania pracy.

— Odlóż ten pędzel, głupcze! Ty i ja jesteśmy synami dumnych narodów, nie pracujemy za darmo jak ci przekłęci rosyjscy chłopcy pańszczyźniani. Powiadam ci, że gdy jestem w ten sposób oszukiwany, aż płonę w środku. Bywało tak, że oszukiwano mnie zaledwie na pięć sous, a wtedy rzygałem, dosłownie rzygałem z wściekłości.

Poza tym, *mon vieux*, nie zapominaj, że jestem komunistą. *A bas a bourgeois!* Pytam, czy ktoś kiedykolwiek widział mnie przy pracy, ilekroć mogłem nie pracować? Nikt! No i nie tylko nie zapracowuję się na śmierć tak jak wy, głupcy, ale jeszcze do tego kradnę, po to, żeby pokazać swoją niezależność. Kiedyś byłem zatrudniony w restauracji, której *patronowi* wydawało się, że może traktować mnie jak psa. No i z zemsty znalazłem sposób na podciąganie mleka z baniek, które potem szczelnie zamykałem i nikt niczego się nie domyślał. Mówię ci, chlałem to mleko dniami i nocami. Codziennie wypijałem cztery litry, a dodatkowo pół litra śmietanki. *Patron* wprost wychodził ze skóry, bo nie wiedział, gdzie się podziewa mleko. Rozumiesz, wcale nie zależało mi na mleku, bo nie cierpię tego świństwa, chodziło mi o zasady, wyłącznie o zasady.

Po trzech dniach zaczął mnie straszliwie boleć żołądek, poszedłem więc do lekarza. „Co pan spożywał ostatnio?” - spytał doktor. „Cztery litry mleka dziennie, a do tego pół litra śmietanki” — odpowiedziałem. „Cztery litry! wykrzyknął. — Proszę natychmiast przestać. W przeciwnym wypadku brzuch panu pęknie”. „Nie dbam o to — prychnąłem. — Dla mnie najważniejsze są zasady”. No i nazajutrz *patron* przyłapał mnie na kradzieży mleka.

„Jesteście zwolnieni — powiedział — pracujecie tylko do końca tygodnia”. „*Pardon, monsieur* — przerwałem mu — kończę pracę dzisiejszego ranka”. „Nie — odrzekł — jesteście mi potrzebni aż do soboty”. „Wspaniale, *mon patron* — pomyślałem — zobaczymy, kto się pierwszy zmęczy”. A potem zacząłem tłuc naczynia. Pierwszego dnia rozbiłem dziewięć talerzy, a następnego trzynaście, po czym *patron* był szczęśliwy widząc mnie po raz ostatni.

No, bo nie jestem przecież jakimś rosyjskim *muzykiem*...

Minęło dziesięć dni. Znalazłem się zdecydowanie pod wozem. Skończyły mi się wszystkie pieniądze i zalegałem z opłatą za pokój. Łaziliśmy po ponurej, pustej restauracji, zanadto głodni, żeby zając się pozostałą jeszcze pracą. Jedyne Borys wierzył w otwarcie lokalu. Pragnął za wszelką cenę zostać *maitre d'hotel*, ukuł też teorię, zgodnie z którą fundusze *patrona* zostały zablokowane przezeń w akcjach, i że szef wyczekuje tylko na stosowny moment, żeby je sprzedać. Dziesiątego dnia nie miałem już nic ani do jedzenia, ani do palenia — toteż oświadczyłem *patronowi*, że bez zaliczki na poczet moich przyszłych zarobków nie jestem w stanie dalej pracować. *Patron*, jak zwykle, bez mrugnienia okiem obiecał mi zaliczkę, potem zaś, zgodnie ze swym starym zwyczajem, natychmiast się ulotnił. Poszedłem do domu piechotą, ale w połowie drogi wykoncypowałem, że nie stawię czoła Madame F., domagającej się komornego, toteż noc spędziłem na bulwarowej ławce. Było mi bardzo niewygodnie — poręcz bowiem wrzyna się mocno w ciało — ponadto odczuwałem większy chłód, niż się spodziewałem. Miałem mnóstwo czasu, więc przez kilka długich, nudnych godzin między świtem a porą rozpoczęcia pracy rozmyślałem, jakież to ze mnie głupek, że zdałem się na łaskę tych Rosjan.

Później jednak, rankiem, fortuna się odmieniła. *Patron* doszedł najwyraźniej do porozumienia z wierzycielami, przybył bowiem do lokalu mając kieszenie wypchane pieniędzmi, nakazał wznowienie robót, po czym wreszcie dał mi zaliczkę. Kupiliśmy z Borysem makaronu, do tego kawałek końskiej wątroby, i po raz pierwszy od dziesięciu dni spożyliśmy gorący posiłek.

Przybyli robotnicy, którzy przystąpili do pracy, wszystko jednak odbywało się pośpiesznie i zatrącało nieopisanym dziadostwem. Na przykład na stoliki miało pójść sukno, gdy jednak *patron* dowiedział się, że sukno jest kosztowne, zakupił używane koce wojskowe, cuchnące zastarzałym potem. Oczywiście koce miały zostać ukryte pod obrusami (te ostatnie były kratkowane, miały bowiem pasować do „normandzkiego” wystroju). Ostatniej nocy byliśmy na nogach do godziny drugiej, dokonując końcowych zmian i poprawek. Serwis dostarczono dopiero o godzinie ósmej, a ponieważ naczynia były nowe, musieliśmy je umyć. Sztućce otrzymaliśmy następnego ranka, to samo dotyczyło ścierek, toteż do wycierania serwisu używaliśmy koszuli *patrona* i starej poszwy poduszkowej pożyczonej od kon-sjerżki. Pracowaliśmy tylko ja i Borys, Jules jedynie udawał, że pracuje, zaś *patron* siedział w barze w towarzystwie małżonki oraz grupy rosyjskich przyjaciół, pijąc za pomyślność interesu. Kucharka tkwiła w kuchni,

położyła głowę na stole i płakała, ponieważ powiedziano jej, iż będzie gotować dla pięćdziesięciu osób, zaś garnków i patelni nie wystarczyłoby do przyrządzania posiłków dla dziesięciu gości. Około północy rozegrała się głośna scena z udziałem kilku wierzycieli przybyłych z zamiarem odebrania ośmiu miedzianych rondli, które *patron* otrzymał na kredyt. Przekupiono ich połową butelki brandy. Ponieważ spóźniliśmy się z Julesem na ostatnie metro, musieliśmy spać na podłodze w restauracji. Gdy otworzyliśmy rankiem oczy, natychmiast dostrzegliśmy dwa wielkie szczury, siedzące na kuchennym stole i wyjadające pozostawioną tam szynkę. Uznałem to za zły omen i poczułem niezachwianą pewność, że Auberge de Jehan Cottard zrobi klapę.

20

*Patron* zatrudnił mnie w charakterze kuchennego *plon-geura*; do moich obowiązków należało więc zmywanie, utrzymywanie kuchni w czystości, przygotowywanie jarzyn, parzenie herbaty i kawy, robienie sandwiczów, przyrządzanie mniej skomplikowanych potraw, wreszcie bieganie na posyłki. Otrzymałem zwykłe warunki, to znaczy pięćset franków miesięcznie i wyżywienie; nie wyznaczono mi jednak wolnych dni, obowiązywał mnie też nienormowany czas pracy. W Hotel X część gastronomiczna prowadzona była znakomicie, wydatków nie limitowano, zaś organizacja panowała wzorowa. Dopiero pracując w Auberge ujrzałem, jak to wszystko wygląda w arcypod-łym lokalu. Warto to opisać, albowiem w Paryżu są setki podobnych restauracji, każdy zaś turysta jada niekiedy w którejś z nich.

Nawiasem mówiąc, powinienem dodać, że Auberge nie była tuzinkową, niedrogą restauracją, odwiedzaną przez studentów i robotników. Porządny posiłek kosztował u nas nie mniej niż dwadzieścia pięć franków, nadto posiadaliśmy efektowny, „artystyczny” wystrój, co sytuowało nas na wyższym szczeblu hierarchii gastronomicznej Paryża. W barze wisały nieprzyzwoite ryciny, mieliśmy też normandzkie dekoracje — fałszywe belki na ścianach, lampy elektryczne imitujące świeczniki, „chłopskie” naczynia, nawet archaiczny podnóżek do wsiadania na konia umieszczony przy drzwiach — *patron* zaś oraz kierownik sali byli Rosjanami, a wielu gości utytułowanymi uchodźcami rosyjskimi. Krótko mówiąc, zdecydowanie zadawaliśmy szyku.

Niemniej jednak, to, co ukrywały kuchenne drzwi, zasługiwało doprawdy na miano chlewa. Oto, czym dysponowaliśmy.

Kuchnia mierzyła piętnaście stóp na osiem; połowę tej przestrzeni zajmowały kuchenki i stoły. Wszystkie garnki musiały stać na półkach poza zasięgiem rąk, a ze względu na ciasnotę mieliśmy tylko jeden kubeł na odpadki, który już w południe całkowicie się zapełniał, toteż podłogę pokrywała zwykle półtoracentymetrowa warstwa podeptanego jedzenia.

Mieliśmy tylko trzy palniki gazowe, a ponieważ nie było piekarników, wszystkie pieczenie trzeba było wysyłać do piekarni.

Brakowało też spiżarni. Zastępowała ją na wpół zadaszona szopa na podwórku, pośrodku której rosło drzewo. Mięso, jarzyny — i tak dalej — leżały na gołej ziemi, padając łupem szczurów i kotów.

Nie doprowadzono ciepłej wody. Wodę do zmywania trzeba było podgrzewać w rondlach, a ponieważ trzy palniki gazowe były stale zajęte, większość naczyń zmywało się w zimnej wodzie. Używaliśmy płynnego mydła, że zaś paryska woda jest twarda, tłuszcz ścierało się po prostu gazetami.

Doskwierał nam dotkliwy brak rondli — doszło do tego, że trzeba je było myć natychmiast po użyciu, nie zaś czekać do wieczora. Już sama ta czynność zabierała nam codziennie chyba godzinę.

Z powodu jakiejś fuzerki w instalacji elektrycznej, światło zwykle gasło o godzinie ósmej wieczór. *Patron* przydzielał nam do kuchni tylko trzy świece, ale ponieważ kucharka twierdziła, że trzy jest liczbą nieszczęśliwą, otrzymywaliśmy dwie.

Młynek do kawy pożyczaliśmy z sąsiedniego *bistro*, kubeł na odpadki i miotły należały do konsjerżki. Po pierwszym tygodniu nie odesłano nam z pralni pewnej liczby obrusów, serwet i ścierek, ponieważ nie uregulowaliśmy rachunku. Mieliśmy kłopoty z inspektorem pracy. Inspektor ów odkrył, że wśród personelu nie ma ani jednego Francuza, po czym odbył kilka rozmów na osobności z *patronem*, który, jak sądzę, musiał mu wręczyć łapówkę. Nie przestała nas prześladować firma instalująca elektryczność, której zalegaliśmy z zapłatą, gdy zaś wierzyciele przekonali się, że podajemy im na odczepnego *aperitif*, odwiedzali nas każdego ranka. Byliśmy zadłużeni w sklepie spożywczym i cofnięto by nam kredyt, gdyby nie to, iż żona właściciela (kobieta po sześćdziesiątce i z wąsikami) upodobała sobie Julesa, którego wysyłało codziennie w celu jej ugłaskiwania. Ja także traciłem godzinę dziennie na targowanie się o warzywa w sklepach przy rue du Commerce, tylko dlatego, że *patron* pragnął zaoszczędzić kilka centymów.

Takie oto są rezultaty, gdy otwiera się restaurację nie dysponując odpowiednim kapitałem. W tych straszliwych warunkach wymagano od kucharki i ode mnie przyrządzania najpierw od trzydziestu do czterdziestu posiłków dziennie, a później i do setki. Od początku przekraczało to nasze siły. Kucharka pracowała od godziny ósmej rano do północy, ja zaś od siódmej rano do wpół do pierwszej w nocy — ogółem siedemnaście i pół godziny, niemal bez żadnej przerwy. Aż do godziny piątej po południu nie

mieliśmy ani chwili, żeby sobie przysiąc choćby na minutkę, potem zresztą siadać można było chyba tylko na wiaderku z odpadkami. Borys mieszkał opodal i nie musiał się śpieszyć na ostatnie metro, toteż pracował od godziny ósmej rano do drugiej w nocy — osiemnaście godzin na dobę, siedem dni w tygodniu. Tak długie godziny pracy, acz nieczęsto spotykane, nie są w Paryżu niczym niezwykłym.

Wkrótce przywykłem do swoich obowiązków, przy których praca w Hotel X wydawała się doprawdy wypoczynkiem. Wstawałem o godzinie szóstej rano, nie goliłem się, niekiedy myłem, następnie biegłem co tchu do Place d'Italie i staczałem bój o miejsce w wagonie metra. O godzinie siódmej siedziałem już samotnie w ponurej, wyziębionej i brudnej kuchni: na podłodze poniewierały się obierzyny kartofli, kości i rybnie ogony, stół zaś zawałały sterty zlepionych tłuszczem talerzy — pozostałość z poprzedniego dnia. Nie mogłem od razu ich pozmywać, albowiem brakowało ciepłej wody, nadto musiałem przynieść mleko i zaparzyć kawę; pozostali pracownicy przychodzili o godzinie ósmej i kawa musiała już być gotowa. W kuchni zawsze znajdowało się również kilka brudnych miedzianych rondli. Są one przekleństwem *plongeura*. Trzeba je szorować kredą i zwiniętym łańcuchem, przeznaczając dziesięć minut na każdy rondel, od zewnątrz zaś pucować do połysku specjalnym płynem. Na szczęście sztuka wyrobu tych naczyń zaginęła i stopniowo znikają one z francuskich kuchni, choć jeszcze są do nabycia z drugiej ręki. Gdy zaczynałem zmywać talerze, kucharka polecała mi obierać cebulę, a kiedy brałem się do tego zajęcia, nadchodził *patron* i wysyłał mnie po kapustę. Wracając z kapustą, a tu małżonka *patrona* nakazywała mi udać się do sklepu odległego o pół mili i kupić dla niej pudełko różu; gdy wracałem, oczekiwały już do obrania inne warzywa, a talerze wciąż leżały brudne. W ten oto sposób z powodu złej organizacji pracy zbiegało się jednocześnie wiele zajęć i nieustannie mieliśmy zaległości.

Do godziny dziesiątej praca szła nam jednak stosunkowo nieźle, choć zwijaliśmy się jak w ukropie, nikt też nie i wpadał w złość. Kucharka znajdowała czas na opowieści o swej artystycznej naturze, indagowała mnie, czy moim zdaniem Tolstoj jest *epatant*, siekając zaś mięso, śpiewała pięknym sopranem. Jednak o godzinie dziesiątej kelnerzy zaczęli domagać się lunchu, który jadali wcześniej, a o godzinie jedenastej do lokalu przychodzili pierwsi goście. Nagle każde z nas wpadało w pośpiech i zaczynało się pieklić. Nie przypominało to dzikiej bieraniny połączonej z wrzaskami, tak jak w Hotel X; w kuchni po prostu panował bałagan, irytacja, wszyscy płałaliśmy też sobie małe złościwości. Prawdziwą przyczyną tego stanu rzeczy była niewygodność. W kuchni panowała nieopisana ciasnota, toteż talerze z potrawami musieliśmy stawiać na podłodze, a potem nieustannie uważać, żeby nie nastąpić na nie. Kucharka żywo się krzątała, wciąż trącając mnie szerokim zadkiem. Z jej ust dobywał się nieprzerwany strumień zrzędliwych poleceń:

— Ty idioto do kwadratu! Ile razy ci powtarzałam, że z buraków nie odlewa się wody? Szybko, daj mi dojść do zlewu! Odlóż te noże, bierz się za kartofle. Gdzieś podział moje sitko? Zostaw te kartofle. Przecież kazałam ci chyba odszumować *bouilloni* Zdejmij tę wodę z kuchenki. Zmywanie nieważne, pokrój ten seler. Nie! Nie tak, głupcze. Patrz, o, tak! Uważaj — wykipi ci groch! Bierz się do roboty i natychmiast oprav te śledzie. To ma być czysty talerz? Wytrzyj go fartuchem. Postaw sałatkę na podłodze. No, świetnie, postawiłeś ją tak, że na pewno w nią wejdę! Uważaj, groch kipi! Zdejmij mi ten rondel! Nie, nie ten — tamten. Połóż to na ruszcie. Wyrzuć te kartofle. Nie, nie marnuj czasu, wyrzuć je na podłogę. Wgnieć je butem. Posyp teraz trochę trocin, podłoga wygląda jak tafla lodowa. Patrz, ty głupcze, przypalił się stek! *Mon Dieu*, dlaczego taki idiota jest *plongeurem*! Do kogo ta mowa? Czy wiesz, że moja ciotka była rosyjską hrabiną? — i tak dalej, i tak dalej.

Trwało to bez przerwy aż do godziny trzeciej, tyle że około godziny jedenastej kucharka przechodziła zwykle *crise de nerfs* i zaczynała płakać rzewnymi łzami. Od godziny trzeciej do piątej kelnerzy mieli nieco więcej luzu, co nie dotyczyło jednak kucharki, ja zaś pracowałem jak opętany, ponieważ na stole oczekiwała na swoją kolej sterta brudnych talerzy, a jeśli się chciało zdążyć ze zmywaniem, choćby pewnej ich części, do obiadu, należało się śpieszyć jak diabli. Samo zmywanie trwało dwukrotnie dłużej niż powinno, a to z powodu prymitywnych warunków — suszarka była zawsze załadowana, woda letnia, ścierki przemoczone, a zlew zatykał się co godzina. O piątej kucharka i ja ledwie trzymaliśmy się na nogach: pracowaliśmy przecież z pustym brzuchem od godziny siódmej rano, bez chwili odpoczynku. Siadaliśmy ciężko — ona na pojemniku z odpadkami, ja na podłodze, wypijaliśmy po butelce piwa i składaliśmy sobie przeprosiny za obraźliwe słowa rzucone rano. Podtrzymywała nas na siłach wyłącznie herbata. Zawsze stał na ogniu czajnik i podczas pracy wypijaliśmy jej całe litry.

O godzinie wpół do szóstej znów zaczynał się młyn i klótnie, tym razem jednak atmosfera była bardziej napięta niż poprzednio, ponieważ wszyscy aż padali na twarz ze zmęczenia. O godzinie szóstej kucharka przeżywała znowu *crise de nerfs*, następny przypadał na godzinę dziewiątą — doznawała ich z regularnością zegarka. Waliła się wtedy na pojemnik z odpadkami, zaczynała histerycznie łkać i pokrzykiwać, iż nigdy, ach, przynigdy nie sądziła, że czeka ją taki upadek; jej nerwy tego nie wytrzymają — dodawała; ponadto studiowała muzykę w Wiedniu, ma na utrzymaniu złożonego chorobą męża — i tak dalej, i tak dalej. W innych okolicznościach współczuliśmy biedaczce, ale ponieważ wszyscy byliśmy zmęczeni, jej zawrodoenie doprowadzało nas do szału. Jules stał w drzwiach i małpował jej

placz. Żona *patrona* gderwała, zaś Borys i Jules żarli się przez cały dzień, gdyż Węgier się lenił, a mój przyjaciel, jako kierownik sali, rościł sobie prawo do większego udziału w napiwkach. Dosłownie drugiego dnia po otwarciu wzięli się w kuchni za łby — poszło im o dwufrankowy napiwek — aż kucharka i ja musieliśmy ich rozdzielać. Jedyłą osobą, która nigdy nie zapomniała o nienagannych manierach, był nasz *patron*. Przebywał w Auberge w tych samych godzinach co my, tyle że nie miał nic do roboty, restauracją bowiem faktycznie zarządzała jego żona. Z wyjątkiem zamawiania żywności, *patron* miał tylko jedno zajęcie: stanie w barze, palenie papierosów i zadawanie arystokratycznego szyku — opanował to wszystko do perfekcji.

Kucharka i ja potrafiliśmy zwykle wykroić dla siebie nieco czasu na posiłek między godziną dziesiątą a jedenastą wieczór. O północy gruba Rosjanka przygotowywała po kryjomu zawiniątko z jedzeniem dla męża, utykała je w fałdach ubrania i opuszczała restaurację, narzekając jęklonie, że te straszliwe godziny pracy w końcu ją kiedyś zabiją, i zapowiadając, że nazajutrz rano składa wymówienie. Jules także wychodził o północy, najczęściej po kłótni z Borysem, który aż do drugiej nad ranem musiał obsługiwać gości w barze. Między północą a godziną wpół do pierwszej wprost wychodziłem ze skóry, żeby skończyć zmywanie. Nigdy nie miałem czasu na porządne wykonanie tej czynności, toteż po prostu wycierałem serwetkami tłuszcz z talerzy. Co się tyczy odpadków na podłodze, wcale ich nie uprzątałem, tylko co najwyżej wmiatałem te najohydniejsze pod kuchenki.

O godzinie wpół do pierwszej nakładałem płaszcz i szybkim krokiem wychodziłem z lokalu. W przejściu opodal baru zatrzymywał mnie jak zwykle uprzejmy *patron*. — *Mais, mon cher monsieur* — jakież pan zmęczony! Proszę, niechże pan wyświadczy mi łaskę i przyjmie tę oto szklaneczkę brandy. Wręczał mi ją tak wytwornym gestem, jakbym nie był *plongeur*, tylko rosyjskim księciem. Wszystkich nas traktował podobnie. Była to cała rekompensata za siedemnaście godzin pracy.

Ostatni pociąg metra jechał z reguły niemal pusty — był to ogromny plus, albowiem można było usiąść i podrzemać przez kwadrans. Do łóżka szedłem zwykle o godzinie wpół do drugiej. Niekiedy ów ostatni pociąg mi uciekał; musiałem wtedy spać na podłodze w restauracji, ale nie miało to większego znaczenia, ponieważ zasnąłbym nawet na bruku.

21

Sprawy szły tym trybem przez około dwa tygodnie. Tempo pracy powoli rosło, gdyż lokal odwiedzało więcej gości aniżeli zwykle. Wynajmując pokój opodal restauracji, mógłbym dziennie zyskać godzinę więcej dla siebie, nie miałem jednak kiedy zmienić mieszkania — czy też choćby ostrzec się, przejrzeć gazetę lub nawet całkowicie rozebrać się do snu. Jednakże po dziesięciu dniach zdołałem wykroić kwadrans na napisanie listu do zamieszkałego w Londynie przyjaciela B.: poprosiłem go o znalezienie jakiegokolwiek zajęcia — jakiegokolwiek, bylebym mógł spać dłużej niż pięć godzin. Po prostu nie byłem w stanie pracować siedemnaście godzin na dobę, choć znam wiele osób, dla których to fraszka. Gdy człowiek jest przepracowany i rozczuła się nad sobą, szybko powraca do równowagi, kiedy pomyśli o tysiącach osób zatrudnionych w paryskich restauracjach: ludzie ci pracują przez tyle właśnie godzin, zaś na dobitkę mają w perspektywie nie tygodnie takiej harówki, lecz całe lata. W *bistro* opodal mojego hotelu poznałem dziewczynę, której dzień pracy rozpoczynał się, jak rok długi, o godzinie siódmej rano, a kończył o północy, wliczając w to przerwy na posiłki. Pamiętam, że pewnego dnia zaprosiłem ją na tańce, a ona tylko się na to roześmiała i oświadczyła, że od kilkunastu miesięcy oddała się od miejsca zamieszkania nie dalej niż na najbliższy róg ulicy. Chorowała na gruźlicę i umarła mniej więcej wtedy, kiedy opuszczałem Paryż.

Minął zaledwie tydzień, a wszystkich nas ze zmęczenia opanowała nerwica, co nie dotyczyło jedynie Julesa, który stale wymigiwał się od pracy. Kłótnie, początkowo sporadyczne, wybuchały teraz nieustannie. Każdy zrzędził bez żadnej przyczyny, jednak co kilka minut utyskiwania zamieniały się gwałtownie w potok ordynarnych wyzwisk. Zdejmij ten rondel, idioto! — wrzeszczała kucharka (była bardzo niskiego wzrostu i nie mogła dosięgnąć półki z rondlami). Sama go sobie zdejmij, ty stara kurwo — odpowiadałem. Wyglądało na to, że takie „odżywki” wynikały spontanicznie z panującej w kuchni atmosfery.

Wadziliśmy się o niewiarygodnie śmieszne drobiazgi. Przedmiotem wiecznych kłótni był na przykład pojemnik na odpadki — to znaczy spieraliśmy się, gdzie ma stać: albo koło mnie, co oznaczało, że przeszkadza kucharce, albo obok niej, czyli między moim stanowiskiem a zlewem. Pewnego dnia kucharka zrzędziła bez końca, aż powodowany czystą złośliwością podniosłem pojemnik i ustawiłem go na środku, gdzie musiała się o niego potknąć.

— Ty krowo — rzuciłem — sama go sobie przesuć.

— Biedna, niemłoda kobiecina — pojemnik był dla niej zbyt ciężki — usiadła więc na krześle, swoim zwyczajem położyła głowę na stole i zanosła się płaczem. A ja zacząłem z niej szydzić. Tak oto chroniczne zmęczenie wpływa na nasze manieri.

Po kilku dniach kucharka przestała wspominać o Tolstoju i swojej artystycznej naturze, nie



rozmawialiśmy bowiem ze sobą, porozumiewając się jedynie w sprawach zawodowych; to samo dotyczyło Borysa i Julesa, ponadto żaden z nich nie odzywał się do kucharki. Nawet Borys i ja ledwośmy ze sobą rozmawiali. Ustaliliśmy wcześniej, że *engueulades* wypowiedziane w godzinach pracy nie liczą się po fajrancie, jednak obrzucaliśmy się takimi wyzwiskami, które niełatwo przychodziło nam zapomnieć — na dokładkę, nie istniało dla nas żadne „po pracy”. Jules stawał się coraz bardziej leniwy i podkradał bez przerwy jedzenie — jak nam to wyjaśniał, z poczucia obowiązku. Nazywał nas *jaunes* —

łamistrajki — gdy odmawialiśmy uczestnictwa w kradzieży. Odnaczał się szczególną zajadłością. Wyznał mi kiedyś chętnie, że czasem przed podaniem gościom zupy wyżyma nad talerzem brudną ścierkę tylko po to, aby zemścić się na burżuju.

Kuchnia zarastała brudem, a szczury nabierały coraz więcej śmiałości, choć kilka schwytałismy w pułapkę. Spoglądając na ohydne pomieszczenie, na surowe mięso spoczywające wśród odpadków na podłodze, na rozrzucone, lepiałe się rondle, na pokryty warstwą tłuszczu zatkany zlew, zastanawiałem się, czy istnieje gdzieś restauracja tak brudna jak nasza. Pozostała trójka twierdziła jednak, że widywała znacznie bardziej zapuszczone miejsca. Jules spoglądał na brudy dookoła z prawdziwą rozkoszą. Popołudniami, gdy miał niewiele do roboty, stawał w drzwiach kuchni i szydził z nas za to, że tak ciężko harujemy.

— Ty baranie! Po co myjesz ten talerz? Wytrzymaj go o spodnie. Co cię obchodzą goście? Przecież nie widzą, co się tu dzieje. Nigdy nie pracowałeś w restauracji? Dzielisz kurczę, a ono spada ci na podłogę. Przepraszasz gościa, kłaniasz się, odchodzisz, a za pięć minut wracasz innymi drzwiami — z tym samym kurczęciem. Tak wygląda praca w restauracji — i tak dalej.

Dziwne, ale mimo całego tego brudu i niekompetencji, Auberge de Jehan Cottard cieszyła się powodzeniem. Przez pierwsze dni naszymi gośćmi byli wyłącznie Rosjanie, przyjaciele *patrona*, potem zaczęli zaglądać do nas Amerykanie oraz inni cudzoziemcy — nie widzieliśmy tylko Francuzów. Jednak pewnego wieczoru wszystkich ogarnęło niebывałe podniecenie, ponieważ pojawił się pierwszy przedstawiciel tej nacji. Zapomnieliśmy na chwilę o kłótniach, jednocząc wysiłki w celu przygotowania dlań smacznego obiadu. Borys wszedł do kuchni na palcach, podniósł rękę i wskazał kciukiem za siebie, po czym konspiracyjnie szepnął:

— *Sh! Attention, un Francais!*

Po chwili przybiegła żona *patrona* i również wyszeptwała:

— *Attention, un Francais!* Nałóżcie mu podwójną porcję jarzyn.

Gdy Francuz jadł, uchyliła okratowane drzwi kuchni i uważnie obserwowała wyraz jego twarzy. Następnego dnia Francuz ów powrócił w towarzystwie dwóch rodaków. Oznaczało to, że zaczęliśmy zdobywać sobie dobrą markę; o złej klasie lokalu najlepiej świadczy to, iż odwiedzają go wyłącznie cudzoziemcy. Być może o sukcesie Auberge częściowo zdecydowało zakupienie przez *patrona* (raz jeden błysnął rozumem przy wyposażaniu lokalu) ostrych noży. Sekret powodzenia każdej restauracji stanowią oczywiście ostre noże. Bardzo mnie to ucieszyło, zburzyło bowiem jedno z błędnych przekonań, w którym dotychczas tkwiłem — to mianowicie, że Francuzi potrafią ocenić dobre jedzenie po wyglądzie. Albo, być może, byliśmy istotnie całkiem niezłą restauracją według paryskich norm; jeśli tak, to trudno nawet wyobrazić sobie lokale podłe.

Po kilku dniach od wysłania listu do B. otrzymałem odeń odpowiedź i wiadomość, że mógłby załatwić mi pracę. Chodziło o opiekę nad kimś dotkniętym wrodzonym imbecyлизmem; zajęcie to wydało mi się wspaniałą kuracją wypoczynkową po Auberge de Jehan Cottard. Wyobrażałem sobie, jak włóczę się wiejskimi ścieżkami, ścinając laską osty, jak spożywam pieczeń z jagnięcia i ciasto z syropem oraz jak śpię dziesięć godzin w pachnącej lawendą pościeli. B. przysłał mi piątaka na opłacenie podróży i wykupienie ubrania z lombardu. Gdy tylko przekaz nadszedł, wypowiedziałem pracę z jednodniowym wyprzedzeniem i opuściłem progi restauracji. Ta nagła decyzja wprawiała w zakłopotanie będącego jak zwykle bez grosza *patrona*, który musiał wypłacić mi pobory, minus trzydzieści franków. Postawił mi jednak szklaneczkę koniaku Curvoisier rocznik 1848 i, jak sądzę, uznał, że rachunki między nami zostały tym samym wyrównane. Na moje miejsce zaangażowano Czecha, *plongeura* z dużym doświadczeniem, zaś po kilku tygodniach otrzymała wypowiedzenie biedna, stara kucharka. Słyszałem później, że dzięki obecności w kuchni dwóch znakomitych fachowców, praca *plongeura* została skrócona do piętnastu godzin dziennie. Nikt nie byłby w stanie jeszcze bardziej jej skrócić, chyba tylko zaopatrując kuchnię w nowoczesny sprzęt.

22

Nie roszczęcąc sobie bynajmniej pretensji do nieomylności, chciałbym przedstawić swoje poglądy dotyczące życia paryskich *plongeurów*. W gruncie rzeczy wydaje się to dziwne, że tysiące osób w wielkim nowoczesnym mieście spędza wolne od snu godziny na szorowaniu naczyń w nagrzanym piwnicznych norach. Pytanie, które zadaję, brzmi: dlaczego tak się dzieje, jakim celom to służy, oraz — komu zależy na tym, żeby *zawód, plongeura* nie zaginął; postaram się też wyjaśnić, dlaczego,

rozważając te kwestie, nie przybieram wyłącznie postawy *faineant*, buntownika. Zamierzam poddać analizie społeczne znaczenie życia *plongeura*.

Sądzę, iż należałoby zacząć od tezy, że *plongeur* jest jednym z niewolników współczesnego świata. Nie trzeba oczywiście boleć nad jego losem, albowiem powodzi mu się lepiej niż wielu innym pracownikom fizycznym, nie cieszy się jednak większą wolnością, niż gdyby kupowano go i wystawiano na sprzedaż. Wykonuje lokajską pracę, w której nie ma za grosz sztuki; zarabia tylko tyle, że nie umiera z głodu; ma wolne wyłącznie wtedy, kiedy traci posadę. Małżeństwo jest dlań wykluczone; jeśli się żeni, jego żona również musi pracować. Jego życie może zmienić wyłącznie szczęśliwy zbieg okoliczności, a także pobyt w więzieniu. Obecnie można znaleźć w Paryżu absolwentów uniwersytetów, którzy szorują naczynia przez dziesięć i piętnaście godzin dziennie. Niekoniecznie wchodzi tu w rachubę zwyczajne próżniactwo, albowiem próżniak nie może zostać *plongeuem*; ludzie ci wpadli po prostu w pułapkę takiego rozkładu zajęć, który wyklucza wszelkie myślenie. Gdyby *plongeurzy* zdobyli się na pomysłunek, już dawno założyliby związek zawodowy i zaczęli strajkować o lepsze warunki pracy. Oni jednak nie myślą, ponieważ nie dysponują wolnym czasem: tryb życia uczynił z nich niewolników.

Nasuwa się pytanie, dlaczego to niewolnictwo nie ma końca? Zwykle ludzie milcząco zakładają, że wszelka praca wykonywana jest w pożytecznych celach. Widząc, że ktoś zajmuje się czymś mało sympatycznym, uważają, iż wszystko jest w porządku, wykonuje on bowiem konieczną pracę. Na przykład górnictwo jest ciężką pracą, ale i niezbędną: przecież musimy mieć węgiel. Kanałarstwo jest nad wyraz nieprzyjemnym zawodem, ale przecież ktoś musi pracować w kanałach. Niektórzy muszą jadać w restauracjach, dlatego też inni muszą szorować naczynia przez osiemdziesiąt godzin tygodniowo. Jest to praca służąca wyższym ludzkim potrzebom, a więc praca niewątpliwie niezbędna. Warto jednak przyjrzeć się temu bliżej.

Czy praca *plongeura* istotnie służy tym potrzebom? Żywimy przeświadczenie, że musi to być praca „uczciwa”, ponieważ jest ciężka i niewdzięczna, nadto jesteśmy skłonni poniekąd fetyszyzować pracę fizyczną. Na widok człowieka ścinającego drzewo tylko dlatego odczuwamy pewność, że zaspokaja on społeczną potrzebę, ponieważ używa mieśni; nie przychodzi nam do głowy, że może on ścinać piękne drzewo, aby uzyskać wolne miejsce dla obrzydliwego postumentu. To samo odnosi się chyba również do *plongeura*. Pracuje on na chleb w pocie czoła, z czego jednak bynajmniej nie wynika, iż wykonuje pracę użyteczną; w najlepszym razie dzięki jego wysiłkom inni mogą zażywać zbytku, który bardzo często nie jest żadnym zbytkiem.

Jako przykład tego, co rozumiem pod pojęciem zbytku nie będącego zbytkiem, podam krańcowy przypadek, z gatunku tych, jakich w Europie niemal się nie spotyka. Weźmy otóż hinduskiego rykszarza lub też kuca ciągnącego rykszę. W każdym dalekowschodnim mieście można znaleźć setki rykszarzy, ciemnoskórych biedaków ważących nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów, odzianych jedynie w przepaskę na biodrach. Niektórzy z nich są schorowani, inni liczą sobie pięćdziesiąt lat. Truchtają całe mile w słońcu i deszczu, z opuszczoną głową, ciągnąc ryksze; z siwych wąsów skapują im krople potu. Gdy któryś zanadto zwolni tempo, pasażer nazywa go *bahinchut* [pieprzę swoją siostrę]. Zarabiają trzydzieści, czterdzieści rupii miesięcznie, a po kilku latach takiej pracy wykaszują płuca. Kuca ciągnące ryksze są wychudzone i narowiste: zostały sprzedane właścicielom pojazdów za tanie pieniądze, ponieważ mogły jeszcze przez krótki czas być użyteczne. Woźnica stara się zastąpić paszę biczem. Pracę tych nieszczęsnych istot można opisać za pomocą równania: bicz plus pożywienie równa się energia; najczęściej jest sześćdziesiąt procent bicza i czterdzieści procent pożywienia. Niekiedy kark takiego zwierzęcia jest jedną wielką raną, przez cały bowiem dzień rzemienie wpijają się w nagie mięso. Kuca można wszakże zmusić do pracy, trzeba tylko tak mocno okładać go batem, żeby ból zadawany z tyłu przewyższył ból z przodu. Po kilku latach nawet i bicz nie skutkuje, więc kuc zostaje sprzedany na ubój. Są to przykłady nikomu niepotrzebnej pracy, albowiem te zwierzęta i pojazdy istnieją tylko dlatego, że pewni ludzie Wschodu uważają chodzenie piechotą za czynność, która nie przystoi bogatym. Są one zatem zbytkiem, ale jak dobrze wie każdy, kto kiedykolwiek jechał rykszą — nader mizernym zbytkiem. Zyskuje się dzięki nim tylko nieco na wygodzie, co nijak nie może zrównoważyć cierpień ludzi i zwierząt. To samo dotyczy *plongeura*. Jest on wprawdzie królem w porównaniu z rykszarzem czy też kucem, ale zachodzi tu podobieństwo przypadków. *Plongeur* to niewolnik hotelu albo restauracji, zaś jego niewolnicza praca jest na ogół nikomu nieprzydatna. Zastanówmy się bowiem, po co faktycznie istnieją wielkie hotele i eleganckie lokale? Z założenia istnieją po to, żeby dostarczać zbytku, dostarczają one jednak jedynie jego taniej, lichej imitacji. Niemal wszyscy nie znoszą hoteli. Niektóre restauracje są lepsze od innych, jednak w żadnej nie można zjeść za te same pieniądze tak smacznie jak w domu. To pewne, iż hotele i restauracje muszą istnieć, nie ma jednak potrzeby, żeby zamieniały w niewolników setki osób. Efektem ich pracy nie są bynajmniej usługi niezbędne do życia na co dzień, tylko namiastka mająca uchodzić za zbytek. Tak zwana wytworność oznacza tam ni mniej, ni więcej tylko to, że personel pracuje dłużej, a goście płacą więcej, nikt zaś nie czerpie z tego korzyści z wyjątkiem właściciela, który niebawem kupi sobie willę o boniowanej fasadzie w Deauville. „Wytworny” hotel jest przede wszystkim

miejszem, gdzie setka osób miota się jak w ukropie po to, żeby dwustu gości mogło przepłacać usługi, których zgoła nie potrzebują. Gdyby z hoteli i restauracji wyrugowano cały ów nonsens, zaś praca przebiegała po prostu sprawnie, *plongeurzy* byłoby zatrudnieni nie przez dziesięć czy piętnaście godzin na dobę, tylko przez sześć albo osiem.

Zalóżmy tedy, że praca *plongeur*a jest istotnie najczęściej bezużyteczna. Zgoda, nasuwa się jednak pytanie: dlaczego komuś zależy, aby nigdy nie zabrakło mu zajęcia? Chciałbym tutaj pominąć bezpośrednie przyczyny ekonomiczne i zastanowić się, jaką przyjemność może komukolwiek sprawić fakt, że oto istnieją ludzie zmywający przez całe życie naczynia. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż są osoby — mam tu na myśli dobrze sytuowanych — które delektują się tym stanem rzeczy. Niewolnik, jak orzekł Marcus Kato, powinien pracować, gdy nie śpi. Nie ma większego znaczenia, czy jego praca przynosi jakiś pożytek, czy nie — on musi pracować, albowiem praca sama w sobie jest znakomitym zajęciem, przynajmniej dla niewolników. Zapatrywanie to przetrwało do dziś, zaś jego efektem są setki tysięcy godzin nikomu niepotrzebnej harówki.

Uważam, że praprzyczyną instynktu, który każe jednym ludziom nieustannie zaprzęgać innych do bezużytecznej pracy, jest zwykły strach przed tłumem. Tłum bowiem (jak się wydaje bogatym) składa się ze zwierząt tak dalece prymitywnych, iż gdyby tylko ofiarować im odpoczynek, stałyby się niebezpieczne, lepiej przeto zapewnić im jakieś zajęcie, żeby nie miały czasu na myślenie. Człowiek zamożny — jeśli jest zarazem intelektualnie uczciwy — zapytany, co sądzi o poprawie warunków pracy, odpowie zwykle mniej więcej tak:

„Wiadomo, że bieda jest niemiła, ale ponieważ jest ona czymś tak odległym, lubujemy się w bolesnych rozważaniach, jak bardzo jest niemiła. Niech nikt jednak od nas nie wymaga, żebyśmy próbowali zaradzić biedzie. Współczujemy wam, niższe klasy, tak jak współczujemy parszywemu kotu, ale będziemy walczyć do upadłego przeciwko jakiegokolwiek zmianie waszego położenia. Uważamy, że jesteście bardziej bezpieczni, gdy nic się nie zmienia. Obecny stan rzeczy nam odpowiada, toteż nie podejmiemy ryzyka uwolnienia was od jarzma, choćby tylko w postaci dodatkowej wolnej godziny dziennie. Tak więc, drodzy bracia, skoro istotnie musicie wylewać siódme poty, żebyśmy mogli podróżować do Włoch, wylewajcie te poty i niech was diabli wezmą”.

Ów punkt widzenia dzielają zwłaszcza osoby inteligentne, o wysokiej kulturze, kwintesencję zaś powyższych poglądów można znaleźć w setce esejów. Jedynie garstka takich osób zarabia mniej niż (powiedzmy) czterysta funtów rocznie: ludzie ci stają naturalnie po stronie bogaczy, albowiem wyobrażają sobie, że jakiegokolwiek swobody udzielone niezamożnym stanowią zagrożenie dla ich własnych swobód. Uznając, iż rozwiązaniem jest jakaś nieokreślona marksistowska utopia, człowiek wykształcony woli, aby sprawy biegły dotychczasowym torem. Może nawet nie darzy zbyt wielką miłością swego bliźniego-bogacza, wydaje mu się jednak, że nawet najbardziej wulgarni bogacze są przychylniejsi jego własnym upodobaniom aniżeli biedota, stąd zaś wypływa wniosek, iż najlepiej opowiedzieć się po stronie bogatych. Strach przed rzekomo niebezpiecznym tłumem powoduje, że niemal cała inteligencja żywi konserwatywne zapatrywanie.

Strach przed tłumem jest strachem zabobonnym. Bierze się on z przeświadczenia, że zachodzi jakaś tajemnicza, głęboka różnica między ludźmi bogatymi a biedotą, jak gdyby tworzyli oni dwie różne rasy, Murzynów i białych. Jednak w rzeczywistości żadnych różnic nie ma. Bogaci i biedni różnią się od siebie wyłącznie pod względem dochodów, przeciętny zaś milioner jest nikim innym tylko przeciętnym pomywaczem, który włożył nowy garnitur. Zamieńmy ich miejscami, no i — hokus-pokus — czy zgadniecie, kto jest kim? Każdy kto przestawał z biednymi jak równy z równym, wie o tym bardzo dobrze. Aliści problem tkwi w tym, iż osoby inteligentne i obdarzone dużą kulturą, czyli akurat ci ludzie, od których można by oczekiwać poglądów liberalnych, nigdy nie zadają się z biednymi. Cóż bowiem większość ludzi wykształconych wie o biedzie? Posiadam zbiór poezji Villona, którego wydawca zadał sobie trud opatrzenia wersu „*Ne pain ne\ voyent qu'aux fenestres*” stosownym przypisem; nawet głód jest tak bardzo obcy doświadczeniu człowieka wykształconego. Zabobonny lęk przed tłumem jest naturalnym owocem jego ignorancji. Człowiek wykształcony wyobraża sobie hordę podludzi, której trzeba tylko dnia bezczynności, żeby splądrowała mu dom, spaliła jego księgozbiór, zaś jego samego wysłała do obsługiwania maszyny albo sprzątnięcia wychodków. — Wszystko — myśli ktoś taki — każda niesprawiedliwość, byleby tylko trzymać ten tłum na smyczy. — Nie dostrzega jednak, że ponieważ nie ma żadnej różnicy między zbiorowością bogaczy i biedoty, nie ma mowy o spuszczeniu kogokolwiek ze smyczy. Tłum już i tak zyskał wolność, no i — w osobach bogaczy — wykorzystuje obecnie swoją siłę do wznoszenia ogromnych kombinatów nudy, na przykład „wytwornych” hoteli.

Podsumujmy. *Plongeur* jest niewolnikiem, a na dobitkę niewłaściwie wykorzystywanym niewolnikiem, wykonującym idiotyczną i najczęściej nikomu niepotrzebną pracę. Prawdziwą przyczyną tego, że nigdy nie brakuje mu pracy, jest niewyraźne przeświadczenie, iż gdyby dysponował wolnym czasem, mógłby się stać niebezpieczny. Osoby zaś wykształcone, które powinny opowiedzieć się po jego stronie, nie pragną żadnych zmian, ponieważ ani trochę go nie znają — dlatego też odczuwają przed nim lęk.

Wszystko to dotyczy *plongeura*, albowiem rozważam tę akurat kategorię pracowników, powyższe wnioski odnoszą się jednak również do innych, niezliczonych zawodów. Zastrzegam, że przedstawiam wyłącznie własne opinie na temat podstawowych faktów z życia *plongeura* (pozostawiając bez odpowiedzi nasuwające się natychmiast pytania natury ekonomicznej); niewątpliwie poglądy moje są w znacznej mierze banałami. Przedstawiam je po prostu jako garść refleksji, jakie opadły mnie, gdy pracowałem w hotelu.

23

Skoro tylko pożegnałem Auberge de Jehan Cottard, położyłem się do łóżka i spałem pół doby bez jednej godziny. Następnie po raz pierwszy od dwóch tygodni umyłem zęby, wziąłem kąpiel i poszedłem do fryzjera, wreszcie zaś wykupiłem ubranie z lombardu. Zafundowałem sobie dwa wspaniałe dni nieróbstwa. Zaszedłem nawet w najlepszym garniturze do Auberge, gdzie oparty o bar zamówiłem butelkę angielskiego piwa za pięć franków. Osobliwe uczucie: być gościem tam, gdzie jeszcze niedawno harowałem niczym niewolnik. Borys zmartwił się, że opuściłem restaurację właśnie wtedy, kiedy obaj byliśmy *lances* i otwierały się możliwości zarobienia sporych pieniędzy. Od tamtej pory odezwał się do mnie raz: napisał, że zarabia sto franków dziennie, a ponadto ma dziewczynę, która jest *tres serieuse* i nigdy nie śmierdzi czosnkiem.

Przez cały dzień łąziłem po ulicach dzielnicy, żegnając się ze wszystkimi znajomkami. To właśnie wtedy Charlie opowiedział mi o śmierci starego skąpca Roucolle'a, który mieszkał niegdyś w sąsiedztwie. Bardzo możliwe, iż Charlie jak zwykle łągał, ale opowieść była ciekawa.

Roucolle zmarł w wieku siedemdziesięciu czterech lat, na rok czy dwa przed moim przyjazdem do Paryża, gdy jednak się tam znalazłem, wciąż rozprawiano na jego temat. Wprawdzie nigdy nie dorównał Danielowi Dancerowi

[Daniel Dancer (1716-1794) to znany angielski skąpiec, urodzony i zamieszkały w Pinner. Wielkimi skąpcami byli również jego dziadek i ojciec, lecz jemu udało się zgromadzić znaczniejsze niż oni bogactwa, stąd też cieszył się większym rozgłosem. Odziedziczywszy rozległe i żyzne grunty orne oraz majątek Waldos, osiadł na nim wraz z siostrą (odznaczającą się również wielkim skąpstwem), która prowadziła mu dom. Dancer doprowadził swoje skąpstwo niemal do absurdu, np. większość jego gruntów leżała stale odłogiem z uwagi na jakoby zbyt wysokie koszty uprawy. Jadał tylko raz dziennie odrobinę chleba i klusek. Jego odzienie stanowiły zwykłe przepaski z materiału, którymi owijał stopy i ciało, choć każdego roku dokonywał zakupu nowej koszuli (zdarzyło się, że po dokonaniu transakcji zaskarżył kupca o oszustwo na kwotę trzech pensów: proces sądowy jednak przegrał). Nie miał żadnych przyjaciół, z wyjątkiem lady Tempest, wdowy po sir Henrym, baroncecie z Yorkshire. Jej właśnie zapisała swój znaczny majątek siostra Daniela; on sam, po licznych procesach z trzema braćmi, otrzymał dwie trzecie spadku, gdyż „utrzymywał siostrę przez trzydzieści lat”. Po jej śmierci przyjął służącego, niejakiego Griffithsa, który dorównywał mu skąpstwem. Obaj mieszkali w popadającym w ruinę domu aż do śmierci Daniela (30.09.1794). Jedyną spadkobierczynią skąpca została lady Tempest, która jednak zmarła wkrótce z zaziębienia, jakiego się nabawiła doglądając śmiertelnie chorego przyjaciela. Daniel Dancer należy do panteonu osobliwych i charakterystycznych postaci angielskich schyłku Oświecenia (*przyp. tłum.*)]

czy też komuś takiemu, był jednak postacią interesującą. Każdego ranka odwiedzał Hale, zbierając rozdeptane warzywa, żywił się pokarmem dla kotów, zamiast bielizny wpychał pod ubranie gazety, palił w piecu boazerią, którą zdzierał ze ścian pokoju, a kiedyś nawet uszył sobie spodnie ze starego worka — a przecież dobrze ulokował pół miliona franków. Bardzo żałuję, że nie zdążyłem go poznać.

Jak wielu skąpców, Roucolle'a spotkał marny koniec, gdy zainwestował pieniądze w ryzykowne przedsięwzięcie. Któregoś dnia w dzielnicy zjawił się Żyd, ruchliwy, mający w sobie coś z biznesmena młodzieniec, który przedstawił starym znakomity plan szmuglowania kokainy do Anglii. Kokainę kupić w Paryżu oczywiście nietrudno, przemyć ją to również prosta sprawa, tyle że zawsze gdzieś po drodze napatoczy się jakaś „wtyczka”, która doniesie o wszystkim celnikom albo policji. Podobno postępują tak często ci sami, co sprzedają kokainę, ponieważ przemyt tego narkotyku znajduje się w rękach dużej organizacji przestępczej, która nie życzy sobie konkurencji. Żyd przysięgał jednak, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Znał sposób na sprowadzenie kokainy wprost z Wiednia innym kanałem, niż zwykle ją przetrucano, ponadto — jak zapewniał — nikomu nie będzie trzeba płacić okupu. Roucolle'a poznał za pośrednictwem młodego Polaka, studenta Sorbony, który zamierzał zainwestować w cały interes cztery tysiące franków, pod warunkiem wszakże, iż Roucolle zainwestuje sześć tysięcy. Za tę sumę mieli nabyć do spółki dziesięć funtów kokainy, która osiągnie w Anglii wartość małej fortuny.

Polak i Żyd wprost wychodzili ze skóry, żeby wydobyć pieniądze ze szponów starego kutwy. Sześć tysięcy franków nie było dużą sumą — w materacu skąpiec przechowywał znacznie więcej — ale niemal umierał na serce, ilekroć miał wydać choćby jednego sou. Polak i Żyd zamęczali go całymi tygodniami, wyjaśniając, krzycząc nań, prawiąc pochlebstwa, wyklócając się, wreszcie niemal żebrząc na kolanach, żeby tylko dał im pieniądze. Starca zżerały jednocześnie chciwość i strach. Aż mu się ciepło w brzuchu robiło na myśl o może nawet pięćdziesięciu tysiącach franków zysku, a jednak nie potrafił zdobyć się na ryzyko. Siadywał w kącie pokoju ukrywając twarz w dłoniach, jęcząc, a niekiedy krzycząc z udreki, często też klękał (był bardzo pobożny) i prosił Boga, żeby dodał mu sił — wszystko na próżno, nie mógł powziąć decyzji. W końcu, powodowany bardziej wyczerpaniem aniżeli czymś innym, nieoczekiwanie skapitulował; rozpruł nożem materac, gdzie miał schowane pieniądze, i wręczył Żydowi sześć tysięcy

franków.

Żyd dostarczył kokainę tego samego dnia i natychmiast się ulotnił. Tymczasem, co nie było dla nikogo zaskoczeniem, po zamieszaniu, jakie rozpętał Roucolle, o aferze rozniosło się po całej dzielnicy. Następnego ranka do hotelu wkroczyła policja i dokonała w nim rewizji.

Roucolle i Polak przechodzili istne katusze. Policjanci byli na parterze i zmiierzali ku wyższym piętrům, przeszukując po drodze każdy pokój, a tu na stole leżała przed nimi wielka paczka kokainy, której nie mieli gdzie schować, oni sami zaś zostali pozbawieni wszelkiej możliwości ucieczki schodami na dół. Polak zaproponował, żeby wyrzucić proszek za okno, ale Roucolle nawet nie chciał o tym słyszeć. Charlie twierdził, iż był świadkiem tej sceny. Opowiadał mi, że gdy usiłował wraz z Polakiem odebrać paczkę staremu, ten przycisnął ją z całej siły do piersi i walczył jak szaleniec, choć miał siedemdziesiąt cztery lata. Niemal umierał ze strachu, wołał jednak pójść do więzienia, niż stracić swoje pieniądze.

Kiedy wreszcie agenci dotarli piętro niżej, ktoś wpadł na pomysł. Sąsiad Roucolle'a posiadał tuzin sporych pudełek zawierających puder, którym handlował: zaproponował więc, żeby przesyłać do nich kokainę, która będzie udawać kosmetyk. Puder wysypano pośpiesznie za okno, na jego miejscu znalazła się kokaina, same zaś pudełka ustawiono niewinnie na stole, jak gdyby nie było nic do ukrycia. Po kilku minutach do pokoju wkroczyła policja. Funkcjonariusze opukali ściany, sprawdzili kanał komina, opróżnili szuflady, dokładnie obejrzelili klepki podłogowe, potem zaś, gdy mieli już wychodzić nie znalazłszy niczego podejrzanego, inspektor spostrzegł pudełka na stole.

„*Tiens* — powiedział — obejrzymy je sobie. Jakoś ich nie zauważyłem. Hm, co zawierają?”

„Puder” — odparł Polak najbardziej spokojnym tonem, na jaki mógł się zdobyć. Jednak w tej samej chwili Roucolle wydał głośny trwożny jęk, co natychmiast zaalarmowało policjantów. Otworzyli jedno z pudełek i wysypali zawartość na stół: inspektor powąchał proszek i orzekł, że jest to kokaina. Roucolle i Polak zaczęli przysięgać na wszystkich świętych, że to tylko puder, lecz bezskutecznie; im gwałtowniej protestowali, tym bardziej rosła podejrzliwość policjantów. Aresztowano obu i odprowadzono na posterunek w asyście połowy mieszkańców dzielnicy.

Na posterunku zostali przesłuchani przez komisarza, a tymczasem wysłano do analizy pudełko z kokainą. Charlie mówił mi, że trudno nawet opisać przedstawienie, jakie urządził Roucolle. Łkał, modlił się, składał sprzeczne oświadczenia, jednocześnie oskarżając Polaka — czynił przy tym tyle hałasu, że słychać go było na całej ulicy. Policjanci z trudem powstrzymywali się od śmiechu. Po upływie godziny zjawił się konstabl z zarekwirowanym pudełkiem i wiadomością z laboratorium. Śmiał się w kułak.

„To nie kokaina, *monsieur*” — wykrztusił.

„Co takiego, nie kokaina? — zdziwił się komisarz. — *Mais, alors* — więc cóż to jest?”

„Puder”.

Roucolle i Polak zostali natychmiast zwolnieni, całkowicie oczyszczeni z zarzutów, ale obaj byli wściekli. Żyd ich oszukał. Później, gdy podniecenie opadło, okazało się, że nabrał on w ten sposób dwóch innych mieszkańców dzielnicy.

Polak i tak nie posiadał się z radości, że może dać nogę, choć stracił cztery tysiące franków, ale biedny stary Roucolle był całkowicie załamany. Szybko położył się do łóżka, po czym przez resztę dnia i przez pół nocy sąsiedzi słyszeli, jak wali pięściami, mamrocze coś pod nosem albo ryczy na cały głos:

„Sześć tysięcy franków! *Nom de Jesus Christ!* Sześć tysięcy franków!”

W trzy dni później doznał jakiejś zapaści, a po dwóch tygodniach już nie żył — Charlie twierdził, że pękło mu serce.

Do Anglii wracałem trzecią klasą przez Dunkierkę i Tilbu-ry: najtańszą i nie najgorszą trasą wiodącą przez Kanał. Ponieważ wymagano osobnej opłaty za kabinę, nocowałem w salonie, w towarzystwie większości pasażerów trzeciej klasy. W swoim dzienniku odnalazłem zapis z tamtego dnia:

*W salonie spało dwudziestu ośmiu mężczyzn, szesnaście kobiet. Ani jedna kobieta nie umyła rankiem twarzy. Większość mężczyzn udała się do toalety; kobiety wyjmowały po prostu saszetki i przykrywały pudrem brud. Pyt.: Drugorzędna cecha płciowa?*

Na pokładzie spotkałem parę Rumunów, jeszcze niemal dzieci, udającą się do Anglii, żeby spędzić tam miodowy miesiąc. Zadawali mi niezliczone pytania dotyczące Anglii, a ja powiedziałem im kilka grubych kłamstw. Tak mi było przyjemnie powracać w rodzinne strony, że uznałem Anglię za rodzaj rajy. O tak, w Anglii jest sporo rzeczy, które cieszą serce powracającego do ojczyzny: łazienki, fotele, sos miętowy, dobrze przyrządzone młode kartofle, chleb razowy, marmolada, piwo warzone z prawdziwego chmielu — wszystko to jest wspaniałe, jeżeli tylko ma się pieniądze. Anglia jest doskonałym krajem, pod warunkiem że człowiek może sobie na nią pozwolić, a ponieważ miałem się opiekować łagodnym imbecylem, byłem przekonany, że stać mnie będzie na wiele. Przeświadczenie, że nie będę ubogi, uczyniło mnie żarliwym patriotą. Im więcej pytań zadawali Rumuni, tym goręcej wychwalałem Anglię: jej klimat, krajobrazy, sztukę, literaturę, prawa — wszystko co angielskie było doskonałe.

— Czy architektura angielska jest dobra? — zapytali Rumuni.

— Wspaniała! — odpowiedziałem. — Musicie państwo koniecznie obejrzeć londyńskie pomniki! Paryż

to miasto wulgarne: w połowie pretensjonalność, w połowie slumsy. Tymczasem Londyn...

W chwilę później statek przepływał obok falochronu w Tilbury. Pierwszym budynkiem, jaki ujrzeliśmy na brzegu, był duży hotel, z gatunku ogromniastych landar, całych w sztukateriach i wieżyczkach, sterczących nad angielskimi wybrzeżami niczym głowy pacjentów wychylające się spoza ogrodzenia zakładu dla psychicznie chorych. — To zbudowano według projektów architektów francuskich — zapewniłem moich Rumunów, milczących przez grzeczność i wpatrujących się szyderczo w hotel; nawet później, gdy pociąg wjeżdżał do Londynu przez położone we wschodniej części miasta skupiska slumsów, wciąż wychwalałem piękno angielskiej architektury. Ponieważ wracałem do starych kątów i nie przewidywałem, żeby doskwierał mi brak pieniędzy, wszelkie komplementy pod adresem Anglii wydawały się zbyt słabe.

Udałem się do biura B., jednak pierwsze słowa, jakie usłyszałem od mojego przyjaciela, sprawiły, że moje plany legły w gruzy. — Przykro mi — oznajmił — ale twoi pracodawcy wyjechali za granicę i zabrali ze sobą tego kalekę. Ale za miesiąc wrócą. Chyba do tego czasu jakoś dasz sobie radę?

Dopiero na ulicy przyszło mi do głowy, żeby pożyczyć od niego trochę pieniędzy. Miałem przed sobą miesiąc oczekiwania, a w kieszeni dokładnie dziewiętnaście szylingów sześć pensów. To, co usłyszałem, dosłownie mnie zamurowało. Przez dłuższy czas nie mogłem podjąć żadnej decyzji. Cały dzień łąziłem po ulicach, zaś wieczorem, nie mając zielonego pojęcia, jak w Londynie zdobyć tani nocleg, skierowałem swe kroki do hotelu „rodzinnego”, gdzie opłata wynosiła siedem szylingów i sześć pensów. Po uregulowaniu rachunku pozostało mi dwanaście szylingów.

Rankiem ułożyłem sobie plan. Prędzej czy później i tak będę zmuszony poprosić B. o pożyczkę, nie byłoby jednak uczciwie zrobić to już teraz; tymczasem muszę jakoś przebiedować. Doświadczenie mnie nauczyło, że nie warto zastawiać w lombardzie najlepszego garnituru. Wszystkie rzeczy oddam przeto do przechowalni kolejowej, z wyjątkiem nieco gorszego garnituru, który postaram się wymienić na jakieś niedrogie ubranie, na dodatkę powinienem jeszcze otrzymać funta. Jeśli mam utrzymać się przez cały miesiąc za trzydzieści szylingów, muszę nosić na grzbiecie podłą odzież — zaiste, im podlejszą, tym lepiej. Czy trzydzieści szylingów wystarczy mi na przeżycie miesiąca, nie miałem pojęcia, ponieważ nie znałem Londynu tak dobrze jak Paryża. Być może będę żebrać albo zajmować się uliczną sprzedażą sznurowadeł, przypomniałem też sobie artykuły, jakie czytywałem w niedzielnych wydaniach gazet, opisujące żebraków, którzy zaszywali w fałdy ubrania dwa tysiące funtów. W każdym razie, ponieważ powszechnie wiadomo, że w Londynie nikt nie głoduje, uznałem, iż nie mam się czego obawiać.

W celu sprzedania odzieży udałem się do dzielnicy Lambeth, gdzie mieszka biedota i gdzie pełno jest sklepów ze starzyzną. Właściciel pierwszego okazał się uprzejmy, jednak obojętny, właściciel drugiego — chamowaty, trzeciego — głuchy jak pień, choć może tylko udawał. Czwarty był zwalistym młodym blondynem o różowej skórze, przypominającej barwą plasterek szynki. Popatrzył na garnitur, który miałem na sobie, i z grymasem lekceważenia spróbował palcami materiału.

— Lichota — powiedział — straszna lichota. (Garnitur był uszyty z porządnego materiału). — Ile pan chcesz za to?

Wyjaśniłem, że chciałbym otrzymać jakieś stare ubranie i jak najwięcej gotówki. Podumał przez chwilę, po czym zdjął z wieszaka jakieś brudne łachmany i rzucił je na ladę. — A pieniądze? — spytałem, licząc na funta. Właściciel złożył usta w ciup, po czym wyciągnął s z y 1 i n g a i położył go obok łachów. Nie wdawałem się w kłótnię — wprawdzie zamierzałem, jednak gdy tylko otworzyłem usta, blondyn wyciągnął dłoń, jakby chcąc zabrać szylinga z powrotem; zrozumiałem, że sprawa jest beznadziejna. Pozwolił mi się przebrać w małym pokoiku na zapleczu.

Otrzymany komplet składał się z płaszczu niegdyś ciemnobrązowego, drelichowych spodni, szalika i maciejówki; zatrzymałem własną koszulę, skarpety i buty, jak również grzebień i brzytwę. Mając na grzbiecie takie ubranie, doznaje się osobliwego uczucia. Wprawdzie nosiłem już wcześniej zniszczoną odzież, zupełnie nie przypominała ona jednak tych łachmanów — nie były one jedynie znoszone i workowate, cechował je również nie bardzo potrafię to nazwać — jakiś „brak szyku”, a na dobitkę pokrywała patyna zastarzałego brudu, słowem było to więc coś innego aniżeli zwykła lichota. Takie ubrania widuje się na sprzedawcach sznurowadeł albo na włóczęgach. W godzinę później, idąc ulicą Lambeth, dostrzegłem, jak z przeciwka zbliża się w moim kierunku jakiś obdartus, najwidoczniej tramp, gdy jednak popatrzyłem uważniej, okazało się, że to moje własne odbicie w szybie wystawowej. Twarz oblepiał mi już brud. Brud nadzwyczaj szanuje ludzi dobrze ubranych: pozostawia ich w spokoju, jeśli jednak nie ma się kołnierzyka, atakuje dosłownie zewsząd.

Przebywałem na ulicy aż do późna w nocy, ani na chwilę nie przerywając marszu. Ze względu na ubiór nieco się obawiałem, że policja może aresztować mnie za włóczęgostwo, nie odważyłem się też zagadnąć nikogo, miarkując, że każdy dostrzeże różnicę między moją wymową a strojem. (Jak się później okazało, nic takiego nie miało miejsca). Dzięki mojemu nowemu ubraniu znalazłem się natychmiast w innym świecie. Zachowanie wszystkich dookoła jakby uległo gwałtownej przemianie. Pomogłem straganiarzowi ustawić wózek. — Dzięki, koleś — powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu.

Nikt nigdy nie nazwał mnie wcześniej kolesiem — sprawiło to dopiero ubranie. Po raz pierwszy zauważyłem też, jak z powodu ubrania ulega zmianie stosunek kobiety do mężczyzny. Na widok mężczyzny źle ubranego kobietę przebiega dreszcz zupełnie szczerego obrzydzenia, jakby spostrzegła kocie ścierwo. Ubranie to potęga. Mając na sobie odzienie włóczęgi, niezmiernie trudno, przynajmniej pierwszego dnia, oddalić od siebie uczucie całkowitego poniżenia. Podobnego uczucia wstydu, irracjonalnego, acz nad wyraz dojmującego, doznaje się chyba również podczas pierwszej nocy w celi więziennej. Około godziny jedenastej wieczorem zacząłem poszukiwać noclegu. Czytałem kiedyś o noclegowniach (nawiasem mówiąc, nikt nie używa tej nazwy) i sądziłem, że można zanocować tam za cztery pensy czy coś koło tego. Widząc jakiegoś mężczyznę, z wyglądu robotnika, stojącego na krawężniku przy Waterloo Road, przystanąłem i zaczępiłem go. Powiedziałem, że jestem doszczętnie splukany i że szukam jak najtańszego noclegu.

— A tak — wyjaśnił — pójdziesz pan do domu na następnej ulicy, tego z szyldem „Wygodne noclegi dla samotnych mężczyzn”. To całkiem porządną „kip” (w slangu: noclegownia). Stale dają tam w kimę. Tanio, no i czysto.

Dotarłem do wysokiego, podniszczonego budynku; w oknach paliły się słabe światła, niektóre zaś szyby zastąpiono brązowym papierem. Poszedłem wyłożonym kamiennymi płytkami korytarzem. Po chwili u wejścia do podziemi pojawił się blada wy chłopak o sennych oczach. Z piwnicy dochodził jakiś pomruk, owionęła mnie również fala gorącego powietrza i zapachu sera. Chłopak ziewnął i wyciągnął dłoń.

— Nocleg? Kosztuje jeden kawałek, panie szanowny. Zapłaciłem szylinga, po czym chłopak poprowadził mnie rozklekotanymi, ciemnymi schodami do sali sypialnej. Cuchnęło tam słodkawo przeciwkaszlowymi lekarstwami i brudną bielizną, okna wydawały się szczelnie zamknięte; było tak duszno, że zrazu niemal straciłem dech w piersiach. Płonęła świeczka, toteż spostrzegłem, że pomieszczenie liczy około piętnastu stóp kwadratowych i ośmiu stóp wysokości, i że ustawiono w nim osiem łóżek. Sześciu klientów już w nich spoczywało — ujrzałem dziwaczne, bryłowate postacie, ludzie ci poukładali bowiem przy sobie wszystką swoją odzież, a nawet buty. W kącie ktoś obrzydliwie kaszłał. Gdy znalazłem się w łóżku, poczułem, że pościelenie jest twarde jak deska, co zaś się tyczy poduszki, była ona po prostu twardym walcem przypominającym kłoc drewna. Spanie na takiej pryczy wydawało się gorsze niż spanie na stole. Łóżko bowiem nie miało nawet sześciu stóp długości, było też bardzo wąskie, a ponieważ materac tworzył wypukłość, musiałem trzymać się jego skraj, żeby nie wypaść na podłogę. Pościel cuchnęła tak straszliwie potem, że odsunąłem ją jak najdalej od twarzy. Otrzymałem zresztą jedynie prześcieradła i bawełnianą kołderkę, toteż choć było mi pod nią duszno, nie ogrzałem się zbytnio. Przez całą noc dochodziły mnie rozmaite odgłosy. Mój sąsiad z lewej strony, chyba marynarz — mniej więcej co godzina budził się, przeklinał jak szewc i zapalał papierosa. Inny mężczyzna cierpiący na chorobę pęcherza wstawał i sześciokrotnie w ciągu nocy hałaśliwie korzystał z nocnika. Śpiącego w kącie włóczęgę co dwadzieścia minut dręczył napad kaszlu, powtarzający się z tak zadziwiającą regularnością, że oczekiwałem go jak ktoś, kto z napięciem nadśluchuje kolejnego skowytu psa wyjącego do księżycy. Był to wyjątkowo ohydny dźwięk: wstrętne bulgotanie połączone z odgłosami torsji, zupełnie jakby nieszczęślikowi wykręcano kiszki. Gdy w pewnej chwili tramp ów zapalił zapałkę, ujrzałem, że jest on starcem o szarej, zapadniętej twarzy przypominającej oblicze trupa, i że zawinął sobie spodnie dookoła głowy, tworząc z nich dziwaczny szlafmycę — nie potrafię tego wytłumaczyć, ale ów widok napełnił mnie obrzydzeniem. Ilekroć starzec kaszlał, z sąsiedniego łóżka dobywał się senny głos:

— Zamknij się! Na z...aną litość Boską, zamknij się!

Spałem wszystkiego nie więcej niż godzinę. Rankiem zbudził mnie niewyraźny widok jakby czegoś dużego i brązowego, co zmierzało w moim kierunku. Otworzyłem oczy i o kilka centymetrów od twarzy ujrzałem stopę przeklinającego w nocy marynarza. Była ciemnobrązowa, nawet brunatna, bardzo przypominająca stopę Indianina — pokrywała ją bowiem gruba warstwa brudu. Ściany pomieszczenia szpecił liszaj, zaś pościel, nie prana przez trzy tygodnie, kolorem niemal przypominała świeżą umbrę. Wstałem, ubrałem się i poszedłem na dół. W piwnicy stał rząd miednic, a na wałkach zawieszono dwa zeszyte końcami, śliskie z brudu ręczniki. Miałem w kieszeni kawałeczek mydła i zamierzałem się umyć, gdy jednak dostrzegłem kożuch na powierzchni wody — gęsty, lepki i czarny jak smoła — zdecydowałem, że pozostanę brudny. Razem wzięwszy, warunki panujące w noclegowni nie odpowiadały słowom z szyldu: „czysto i tanio”. Jak się jednak potem przekonałem, było to dość typowe schronisko.

Przekroczyłem rzekę, po czym szedłem długo na wschód, aż wreszcie znalazłem się w jadłodajni przy Tower Hill. Była to zwykła londyńska jadłodajnia, jakich w mieście tysiące, a jednak po Paryżu wydawała mi się dziwnie obca. W niewielkiej dusznej sali stały ławki z wysokimi oparciami, modne w latach czterdziestych ubiegłego wieku, menu wypisano na lustrze za pomocą kawałka mydła, potrawy roznosiła jakaś czternastolatka. Robotnicy jedli z zawiniętych w gazety paczuszek, pili też herbatę z ogromnych kubasów, które stawiali bezpośrednio na stole: naczynia te przypominały porcelanowe

puchary. W kącie siedział samotny Żyd: pochylił głowę nad talerzem i z nieczystym sumieniem pożerał łapczywie boczek.

— Czy mogę prosić o herbatę i chleb z masłem? — zagadnąłem dziewczynkę.

Wlepiła we mnie zdziwiony wzrok. — Nie ma masła, jest tylko margaryna — rzuciła zaskoczona. Powtórzyła następnie zamówienie używając słów, które w Londynie są tym, czym w Paryżu nieśmiertelny *coup de rouge*: — Duża herbata i dwie kromki!

Na ścianie obok mojej ławki widniał napis: „Zabrania się kraść cukier”; spostrzegłem, że pod spodem jakiś gość-poeta dopisał:

*Kto ukradnie cukier, Ten dostanie w ....*

ale ktoś inny zadał sobie trud i wyskrobał ostatnie słowo. To była cała Anglia. Herbata-z-dwiema-kromkami-chleba kosztowała trzy i pół pensa, pozostało mi więc osiem szylingów i dwa pency.

Osiem szylingów wystarczyło mi na trzy dni i cztery noce. Po fatalnych przeżyciach w schronisku przy Waterloo Road [niewytłumaczalnym, acz dobrze znanym faktem jest to, że pluskwy można znacznie częściej spotkać w południowej aniżeli w północnej części Londynu. Z jakiegoś powodu nie przekroczyły dotychczas rzeki w większych ilościach (*przyp. aut.*)] podążyłem w kierunku wschodnim i spędziłem następną noc w domu noclegowym przy ulicy Pennyfields. Była to typowa noclegownia, podobna dziesiątkom innych w Londynie. Mieściła jednocześnie od pięćdziesięciu do stu mężczyzn, prowadził ją zaś „zarządca”, czyli pełnomocnik właściciela, instytucje te są bowiem dochodowe i znajdują się w posiadaniu zamożnych osób. W sali sypialnej było nas piętnastu albo dwudziestu, łóżka znów okazały się zimne i twarde, jednak pościel została uprana nie dawniej niż przez tydzień, co niewątpliwie stanowiło zaletę. Opłata wynosiła dziewięć pensów lub szylinga (w sypialni szylingowej łóżka stały oddalone od siebie o sześć stóp, nie zaś o cztery), pieniądze trzeba było wpłacić do godziny siódmej wieczór, w przeciwnym wypadku lądowało się na ulicy.

Na dole znajdowała się kuchnia dostępna bezpłatnie wszystkim lokatorom, do których dyspozycji oddano też pewną ilość garnków, czajników oraz widelców służących do przypiekania bułek na ogniu. Stały tu dwa duże piece wyłożone cegłą klinkierową, w których jak rok długi płonął ogień. Doglądali tego ognia, sprząтали kuchnię i ślali łóżka kolejno sami lokatorzy. Jeden z nich, o długim schroniskowym stażu, przystojny i przypominający Normandczyka robotnik portowy imieniem Steve, znany był pod przydomkiem „kierownik”, ponadto pełnił rolę arbitra w sporach oraz honorowego wykidajły.

Podobało mi się w tej kuchni. Była to nisko sklepiona i nisko położona piwnica, gorąca i pełna odurzającego dymu pochodzącego ze spalanego koksu; jedyne oświetlenie stanowił ogień, toteż w zakamarkach pełzały ciemne, zwiewne cienie. Na zawieszonych u sufitu sznurkach schły podarte, świeżo wyprane łachy. Obok palenisk krzatali się przy garnkach oświetleni czerwonym blaskiem mężczyźni, w większości robotnicy portowi; niektórzy paradowali zupełnie nago, ponieważ uprali przyodziewek i czekali, aż wyschnie. Wieczorami grywano w napoleona, rzucano strzałkami do tarczy i śpiewano piosenki — „Jestem facetem skrzywdzonym przez rodziców” należała do najpopularniejszych szlagierów. Podobnie inna, o wraku okrętu.

Niekiedy późnym wieczorem kilku lokatorów przynosiło zakupione niedrogo wiaderko małży: dzielono je między wszystkich. Wszyscy zresztą dzielili się jedzeniem, panował też zwyczaj dostarczania go tym, którzy akurat pozostawali bez pracy. Maleńki, błydy, zasuszony człeczyna, najwyraźniej na dogorywku, o którym mawiano: „Biedny Brown, leczył się u do doktorów i ciachali go trzy razy”, był stale karmiony przez towarzyszy niedoli.

Dwaj albo trzej lokatorzy schroniska byli emerytami. Dotychczas nie zdawałem sobie sprawy z tego, że są w Anglii ludzie, których jedynym źródłem utrzymania jest emerytura w wysokości dziesięciu szylingów tygodniowo. Wszyscy ci starcy otrzymywali tylko emerytury. Jeden z nich okazał się rozmowny, zapytałem go więc, jak udaje mu się przeżyć. Odpowiedział:

— Wiesz pan, noclegi kosztują mnie dziewięć pensów, to wynosi razem pięć szylingów i trzy pency tygodniowo. Sobotnie golenie kosztuje trzy pency — daje to pięć szylingów i sześć pensów. Powiedzmy, że raz na miesiąc się strzygę za sześć pensów — to znów trzy i pół pensa tygodniowo. Zostaje mi coś koło czterech szylingów i czterech pensów na żarcie i fajki.

Nie wyobrażał sobie innych wydatków. Żył się wyłącznie chlebem z margaryną i herbatą — pod koniec tygodnia jadał już wyłącznie suchy chleb i pił herbatę bez mleka — nosił ubrania pochodzące, jak sądzę, z dobroczynności. Wyglądał na zadowolonego z życia, bardziej niż jedzenie cenił sobie łóżko i ciepło kuchni. Jednak przy dochodach w wysokości dziesięciu szylingów tygodniowo wydawanie pieniędzy na golenie budzi grozę i podziw.

Przez cały dzień włóczyłem się ulicami, docierając aż do Wapping na wschód, i aż do Whitechapel na zachód. Po Paryżu miasto wydawało mi się dziwne; wszystko dookoła było znacznie czystsze, spokojniejsze i bardziej ponure. Tęskniłem za turkotem tramwajów, za zgiełkliwymi i tętniącymi życiem zaułkami, za hałaśliwie przechadzającymi się po placach żołnierzami. Ludzie byli tu lepiej ubrani, zaś



ich twarze urodziwsze, łagodniejsze i podobne do siebie, pozbawione tego ostrego, indywidualnego wyrazu jak u Francuzów oraz malującej się na nich złośliwości. Widziałem mniej pijaństwa, mniej brudu, atmosfera była mniej wybuchowa, bardziej leniwa. Na każdym rogu ulicy stały grupki może nieco niedożywionych mężczyzn; przy życiu utrzymywała ich jednak herbata-i-dwie-kromki-chleba — posiłek, który londyńczyk przetyka co dwie godziny. Oddychało się tutaj jakby zdrowszym powietrzem aniżeli w Paryżu. Była to kraina dzbanków do herbaty oraz urzędów pośrednictwa pracy, tak jak Paryż jest krainą bistr oraz firm niemiłosiernie eksploatujących robotników.

Tłum przedstawiał interesujący widok. Kobiety ze wschodniego Londynu są przystojne (być może dzięki domieszce obcej krwi), zaś na Limehouse roiło się od przybyszów ze Wschodu — Chińczyków, bengalskich marynarzy, Drawi-dów handlujących jedwabnymi szalikami; dostrzegłem nawet kilku sikhów, którzy Bóg jeden wie, skąd się tam wzięli. Tu i ówdzie odbywały się uliczne zgromadzenia. Przy Whitechapel człowiek zwany „Śpiewającym Ewangelistą” podejmował się zbawić od piekła każdego za opłatą sześciu pensów. Przy East India Dock Road odprawiali nabożeństwo członkowie Armii Zbawienia: śpiewali: „Czy jest tu ktoś niby ów Iotr, Judasz?” na melodię piosenki „Co zrobimy z pijanym marynarzem?”. Przy Tower Hill dwóch mormonów usłowało przemawiać do zgromadzonych słuchaczy. Wokół podwyższenia kłębił się tłum mężczyzn, wrzeszcząc i przerywając mówcom. Ktoś oskarżał ich o poligamię. Kulawy brodac, niewątpliwie ateista, usłyszał słowo „Bóg” i, rozsierdzony, jął zasypywać mormonów kłopotliwymi pytaniami. Wokół wrzało od podnieconych głosów.

— Drodzy przyjaciele, gdybyście tylko pozwolili nam skończyć...! — Dobrze mówią, dać im skończyć. Nie pyszczyć, nie pyszczyć! — Nie, nie, najpierw odpowiedzcie na moje pytanie. Czy potraficie pokazać mi Boga? Wpierw p o k a z c i e mi go, to uwierzę. — Ej, zamknij się pan i nie przeszkadzaj im. — To ty sam zamilcz! P...eni poligamiści! — No, poligamia ma wiele plusów. Może na przykład wyciągnąć te zaj...ne baby z zakładów przemysłowych. — Drodzy przyjaciele, gdybyście tylko... — Nie, nie, tylko się nie wykręcajcie. Czy widzieliście Boga? Dotykaliście go? Witaliście się z nim? — Och, nie kłóćmy się; na litość Boską, nie kłóćmy się! — i tak dalej, i tak dalej. Słuchałem przez dwadzieścia minut, pragnąc dowiedzieć się czegoś o mormonizmie, ale skończyło się tylko na krzykach. Tak to zwykle bywa na zgromadzeniach ulicznych.

Przy Middlesex Street, w tłumie zapełniającym targ dostrzegłem, jak brudna i wynędzniała kobieta wlecze za ramię pięcioletniego brzdąca. Wtykała mu do ust blaszaną trąbkę. Dzieciak darł się wniebogłosy.

— Baw się! — wrzeszczała matka. — Co ty sobie myślisz, po co cię tu przyprowadziłam, kupiłam trąbkę i inne rzeczy? Chcesz dostać w tyłek? Ty przebrzydły, mały szczeniaku, bawisz się, czy nie?!

Z wylotu trąbki skapnęło kilka kropli śliny. Matka i dziecko zniknęli w tłumie, oboje wrzeszczeli. Po Paryżu wszystko to wydawało się bardzo dziwne.

Ostatniej nocy, jaką spędziłem w schronisku przy Pen-nyfields, wybuchła kłótnia między dwoma lokatorami. Incydent ów był zaiste godny pożalowania. Jeden z emerytów, liczący sobie około siedemdziesiątki, nagi do pasa (prał bowiem akurat ubranie), obrzucał gwałtownymi przekleństwami niskiego, krępego dokera, który stał tyłem do ognia. W świetle płomieni widziałem wyraźnie twarz staruszka, niemal płakał z rozpacz i wściekłości. Musiało zająć coś poważnego.

*Stary emeryt:* — Ty ...!

*Doker.* Zamknij mordę, stary ..., bo sam ci ją zamknę!

*Stary emeryt:* — Tylko spróbuj, ty ... Jestem od ciebie o trzydzieści lat starszy, ale mam jeszcze dość siły, żeby tak ci dać w ryja, że z miejsca padniesz!

*Doker.* — Myślisz, że nie zdążyłbym walnąć cię w japę, ty stary ...?

Przygadywali tak sobie przez pięć minut. Pozostali lokatorzy siedzieli obok, niezbyt zadowoleni, usiłując nie zwracać uwagi na toczącą się kłótnię. Robotnik sposepniał, ale staruszek wpadał w coraz silniejszą furję. Podskakiwał w kierunku przeciwnika, z głową wysuniętą do przodu, pokrzykując z najbliższej odległości i prychając przy tym zajadle, niczym kocur siedzący na murze. Próbował zdobyć się na odwagę i wymierzyć cios, jednak ostatecznie dał za wygraną. Wreszcie wybuchnął potokiem wyzwisk: — Jesteś ..., tak, jesteś ...! Włóż sobie to do twojej parszywej mordy i wy cmokaj, ty ...! Niech to ..., nim z tobą skończę, zdrowo cię natłukę. Tak, jesteś ..., jesteś ..., ty skurwysynu. Dostaniesz łomot, ty ...! Tak, jesteś ..., ty..., ty..., ty..., ty... CZARNY SUKINSYNU!

Wypowiedziawszy te słowa, opadł na ławkę, ukrył twarz w dłoniach i zaszlochał. Robotnik portowy, widząc, że ludzie są przeciw niemu, wyszedł z kuchni.

Później usłyszałem, jak Steve wyjaśnia przyczynę kłótni. Okazało się, że chodziło o żywność wartą szylinga.

Staruszek zapodział gdzieś swój zapas chleba i margaryny, toteż nie miał nic do jedzenia na następne trzy dni, z wyjątkiem tego, co otrzymałby od sąsiadów. Robotnik portowy, który pracował i był dobrze odżywiony, szydził z biednego emeryta, stąd też ich kłótnia.

Gdy pozostał mi już tylko szyling i cztery pensy, postanowiłem spędzić noc w schronisku przy Bow,

gdzie opłata wynosiła jedynie osiem pensów. Prowadziło tam wejście jak do sutereny, po czym szło się korytarzem aż do nisko położonej, dusznej piwnicy o powierzchni liczącej dziesięć stóp kwadratowych. Dziesięciu mężczyzn, w większości robotników, siedziało w ostrym blasku ognia. Była północ, jednak synek „zarządcy”, blady, niespokojny pięciolatek, bawił się na kolanach lokatorów. Stary Irlandczyk pogwizdywał do zamkniętego w maleńkiej klatce ślepego gila. Dostrzegłem też inne śpiewające ptaki — drobne i wyblakłe stworzenia, które całe życie spędziły w podziemiach. Robotnicy przywykli do oddawania moczu wprost w palenisko, żeby oszczędzić sobie chodzenia na podwórze do klozetu. Siedząc przy stole poczułem jakiś ruch koło stopy: spojrzałem w dół i ujrzałem posuwające się powoli po podłodze stadko ciemnych owadów; były to karaluchy.

W sali sypialnej stało sześć łóżek, a pościel, na której wypisano wielkimi literami: „Skradzione ze schroniska nr ... Bow Road”, przeraźliwie śmierdziała. W sąsiednim łóżku leżał wiekowy człeczyna, żebrak malujący kredkami na chodniku, o tak dziwnie wygiętym kręgosłupie, iż grzbiet tego biedaka wystawał z łóżka, zbliżając się na pół metra do mojej twarzy. Mężczyzna był nagi i oznaczony dziwnymi cętkami brudu, niczym marmurowy błat stołu. W nocy wszedł do sali jakiś pijak i z wymiotował na podłogę opodal mojego legowiska. Pluskwy też łążyły — wprawdzie nie były tak złośliwe jak paryskie, ale na tyle liczne, że człowiek nie mógł zasnąć. Schronisko było doprawdy ohydny miejscem. Z drugiej jednak strony, zarówno „zarządca”, jak i jego żona okazali się zaciętą parą; zawsze chętnie zaparzyli herbatę o każdej porze dnia i nocy.

26

Rankiem, po zapłaceniu za nieśmiertelną herbatę-z--dwoma-kromkami i zakupieniu połowy uncji tytoniu, pozostało mi pół pensa. Nie poprosiłem dotychczas B. o pieniądze, toteż nie było rady, musiałem udać się do darmowej noclegowni dla bezrobotnych. Nie bardzo wiedziałem, jak się tam dostać, ale przypomniałem sobie, że w Romton znajduje się taka instytucja, więc skierowałem tam swoje kroki; przybyłem na miejsce o godzinie trzeciej lub czwartej po południu. Jakiś stary, pomarszczony Irlandczyk — od razu widać, że włóczęga — opierał się o ściankę zagrody dla świń na miejscowym targowisku. Przystanąłem obok, po czym poczęstowałem go tytoniem. Otworzył pudełko i ze zdumienia wybałuszył oczy:

— Na Boga! — wykrzyknął — przecież to klawy tytuń, wart ze sześć pensów! Skądś go, u diabła, wytrzasnął? Musisz być krótko na trasie.

— Cóż to, jak jesteś na trasie, to nie możesz mieć tytoniu? — zaoponowałem.

— Ale skąd. Znajdzie się i tytuń, znajdzie. Spójrz tylko. Irlandczyk wyciągnął zardzewiałą puszkę, w której niegdyś znajdowały się kostki zupy Oxo. Ujrzałem dwadzieścia, może trzydzieści niedopałków zebranych z chodnika. Staruszek powiedział, że rzadko mu się trafia inny tytuń; jeśli ma się dobre oko — dodał — codziennie można zebrać w Londynie z chodników dwie uncje tytoniu.

— Przyłazłeś pewnie z jakiejś londyńskiej noclegowni, hę? — zapytał.

Potwierdziłem, licząc na to, że uzna mnie za swego, następnie zapytałem, jakie warunki panują w Romton. Zaczął udzielać wyjaśnień:

— To kakaowa noclegownia. Są herbaciane, kakaowe i zupkowe. W Romton, dzięki Bogu, nie karmią zupką, przynajmniej nie dawali jej, jakem tam był ostatnim razem. Kiedy stamtąd wyszedłem, zdażyłem zajść do Yorku i obejść całą Walię.

— Co to jest „zupka”? — przerwałem mu.

— Zupka? Gar gorącej wody, a na dnie trochi cholerniej mączki owsianej, to jest zupka. Zupkowe noclegownie są zawsze najgorsze.

Rozmawialiśmy pod chlewikiem godzinę albo dwie. | Irlandczyk okazał się przemiłym staruszkim, tyle tylko, że ] cuchnął, co jednak nie było zaskakujące, zważywszy na ilość chorób, na które cierpiał. Okazało się (opisał mi dokładnie swoje objawy), że poczynając od głowy, a kończąc na stopach, dokuczały mu następujące przypadłości: jego wyłysiałe ciemię zaatakowała egzema, był krótkowzroczny, ale nie nosił szkieł, dolegał mu chroniczny bronchit, plecy bolały go nie wiadomo dokładnie od czego, cierpiał też na niestrawność, na zapalenie cewki moczowej i na żyłaki; miał bolesne guzy na wielkich palcach u nóg oraz płaskostopie. Był jedną wielką chorobą, ale od piętnastu lat trudnił się włóczęgostwem.

Około godziny piątej zaproponował: — A może byś się napił herbatki? Tę budę otwierają dopiero o szóstej.

— Chybabym się napił.

— Znam jedno takie dobre miejsce, gdzie dają za darmo herbatę z bułką. Niekiepska herbatka. Jak człek zje i wypije, zmuszają go do klepania mnóstwa cholernych pacierzy, ale niech to diabli! Czas i wtedy szybko leci. Pójdziemy razem.

Zaprowadził mnie do niewielkiego, krytego blachą baraczku, usytuowanego przy bocznej uliczce i przypominającego spory namiot służący na wsi graczom w krykieta. Oczekiwało tam około dwudziestu

pięciu włóczęgów. Kilku okazało się starymi, brudnymi wyjadaczami we włóczęgowskim fachu, jednak większość stanowili przyzwoicie wyglądający młodzieńcy z północy kraju, zapewne bezrobotni górnicy albo tkacze. Po chwili otwarto drzwi i dama w błękitnej jedwabnej sukni, nosząca okulary w złotej oprawce, a na szyi krzyż, zaprosiła nas do środka. Wewnątrz stało trzydzieści lub czterdzieści twardych krzesel, fisharmonia, na ścianie zaś wisiała niezwykle krwawa litografia przedstawiająca Ukrzyżowanie. Zdjęliśmy niezręcznie czapki i zajęliśmy miejsca. Dama rozdała kubki z herbatą oraz bułki, a gdy jedliśmy i popijaliśmy, przechadzała się po sali, zwracając się do nas dobrotliwym tonem. Mówiła o sprawach religijnych — o tym, jak to Jezus Chrystus zawsze okazuje serce takim prostym biedakom jak my; o tym, jak szybko mija czas w kościele oraz jak włóczęgę może wielce podnieść na duchu regularna modlitwa. Rzygać się nam chciało. Siedzieliśmy pod ścianą, mnąc czapki w dłoniach (włóczęga bez czapki na głowie czuje się nieprzyzwoicie obnażony), rumieniąc się i usiłując coś mamrotać, ilekroć dama zwracała się bezpośrednio do któregoś z nas. Nie ulegało wątpliwości, że kierują nią dobre intencje. Zbliżyła się do jednego z młodzieńców z północy i częstując go bułką, powiedziała tak:

— A ty, chłopcze, kiedy ostatnio klęczałeś i rozmawiałeś z Ojcem w Niebiosach?

Biedaczysko nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa, ale odpowiedzi udzielił jego brzuch, burcząc haniebnie na widok jedzenia. Chłopak tak się zawstydził, że ledwo zdołał przełknąć bułkę. Tylko jeden włóczęga potrafił rozmawiać z damą jej własnym tonem: był to żwawy, czerwono nosy facet, przypominający kaprała zdymisjonowanego za pijaństwo. Nie słyszałem jeszcze nikogo, kto tak bezczelnie jak on powtarzałby słowa: „kochany Pan Jezus”. Oczywiście musiał się tego nauczyć w więzieniu.

Wypiliśmy herbatę; zauważyłem, że włóczędzy patrzą po sobie ukradkiem. Porozumiewali się wzrokiem — czy nie można by wyjść, nim zacznie się modlitwa? Ktoś poruszył się na krześle — bynajmniej nie zamierzał wychodzić, łypnął tylko okiem w kierunku drzwi, jakby pragnąc dać innym do zrozumienia, że może by i warto opuścić salę. Dama jednym spojrzeniem powstrzymała jego zapędy. Rzekał jeszcze słodszy tonem:

— Chyba j e s z c z e nie powinniście wychodzić. Schronisko otwierają dopiero o godzinie szóstej, a więc mamy czas, żeby uklęknąć i powiedzieć kilka słów naszemu Panu. Myślę, że wszystkim wam będzie potem lżej na duchu, prawda?

Czerwono nosy włóczęga okazał się gorliwym pomocnikiem: przesunął fisharmonię na miejsce i rozdał nam modlitewniki. Wykonując tę ostatnią czynność, stanął tyłem do damy, uznał też rozdawanie książeczek za świetną zabawę i robił to tak, jak rozdaje się karty do gry, szeptał więc do każdego: — Trzymaj, stary, ale ci się trafiła ku...sko dobra karta! Cztery asy i król! — i tak dalej.

Zdjęliśmy czapki i uklękliśmy wśród brudnych kubków, po czym zaczęliśmy mamrotać, że nie uczyniliśmy tego, co powinniśmy byli uczynić, ale uczyniliśmy to, czego nie powinniśmy byli czynić, i że jesteśmy przepelnieni ze psuciem. Dama modliła się bardzo gorliwie, jednak przez cały czas wszystkich nas bacznie obserwowała, upewniając się, czy aby na pewno odmawiamy pacierze. Ilekroć odwróciła wzrok, szczerzyliśmy do siebie zęby i mrugaliśmy jeden do drugiego, opowiadając szeptem pieprzne dowcipy, po to tylko, aby pokazać sobie, że mamy to wszystko gdzieś; dowcipy te stawały nam jednak trochę w gardłach. Nikt, z wyjątkiem czerwono nosyego włóczęgi, nie był aż tak dalece skupiony, żeby odpowiadać na słowa modlitwy, choćby tylko półgłosem. Lepiej poszło nam ze śpiewem, tyle tylko, że pewien stary włóczęga znał jedynie melodię hymnu „Naprzód, chrześcijańscy żołnierze” i niekiedy do niej wracał, co wprowadzało zamęt w nasz chór.

Modlitwa trwała pół godziny, po czym wymieniwszy u wejścia uściski dłoni, pośpiesznie oddaliliśmy się do baraku. — No i — powiedział ktoś, gdy było wiadomo, że dama nas nie usłyszy — no i po wszystkim. Już myślałem, że te p...one pacierze nigdy się nie skończą.

— Ale zżarłeś bułkę — odpowiedział inny włóczęga i musiałeś za nią zapłacić.

— Chyba paciorkiem, nie? Ech, za frajer nic się nie dostanie. Nie chcą człowiekowi dać nawet kubka herbaty za dwa pensy, jeśli nie padnie za to na p...one kolana.

Rozległ się pomruk aprobaty. Najwyraźniej włóczędzy nie byli wdzięczni za herbatę. A przecież była to doskonała herbata, tak różniąca się smakiem od zwykłej herbaty podawanej w byle jadalni, jak doskonałe bordeaux różni się od sikacza zwanego klaretem kolonialnym; każdy wypił ją z przyjemnością. Jestem również pewien, że podano ją nam kierując się życzliwością, bez zamiaru upokorzenia kogokolwiek; uczciwie mówiąc, powinniśmy zatem odczuwać wdzięczność — a jednak jej nie odczuwaliśmy.

Mniej więcej za kwadrans szósta dotarliśmy z Irlandczykiem do schroniska. Ujrzałem ponury, szarozółty sześcian z cegieł, stojący w narożniku terenu należącego do przytułku. Z powodu maleńkich okratowanych okienek oraz oddzielającego go od drogi wysokiego muru z żelaznymi bramami przypominał do złudzenia budynek więzienia. Na otwarcie oczekiwała już długa kolejka obdartych

mężczyzn. Widziało się tam najrozmaitsze typy w różnym wieku: najmłodszym był szesnastolatek o świeżej twarzy, najstarszym zaś skurczony w sobie, bezzębny siedem-dziesięciopięcioletni dziadyga. Niektórzy włóczędzy, starzy wyjadacze, wyróżniali się tym, że nosili laski, menażki z puszek po konserwach, oraz tym, że mieli twarze pociemniałe od pyłu; inni byli pozostającymi bez pracy robotnikami, dostrzegłem też kilku robotników rolnych, zredukowanego urzędnika w kołnierzyku i krawacie oraz dwóch stuprocentowych imbecyli. Cała ta leżąca pokotem na trawie gromada przedstawiała odrażający widok; włóczędzy ani nie wyglądali na łotrów, ani też nie wydawali się groźni, tworzyli po prostu obrzydliwą, szkaradną zgraję, złożoną niemal wyłącznie z obdartusów, na dobitkę, co było widać nawet z daleka, niedożywionych. Zachowywali się jednak przyjaźnie i nie zadawali żadnych pytań. Wielu częstowało mnie tytoniem — to znaczy niedopałkami papierosów.

Oparliśmy się o ścianę, zapaliliśmy sobie, a potem włóczędzy zaczęli opowiadać o schroniskach, w których ostatnio przebywali. Z ich gadaniny wynikało, że schroniska różnią się od siebie, każde ma jakieś wady i zalety, o czym należy pamiętać przemierzając kraj. Doświadczony włóczęga zawsze potrafi wymienić cechy każdego schroniska w Anglii; na przykład w A wolno palić, ale za to w celach są pluskwy; w B mają wygodne łóżka, ale cięć wydziera mordę; w C pozwalają wyjść wczesnym rankiem, ale herbata nie nadaje się do picia; w D personel okrada klientów z pieniędzy — jeżeli ktoś je ma — i tak bez końca. Istnieją wytyczone przez włóczęgów i masowo uczęszczane szlaki: położone przy nich schroniska oddalone są od siebie o dzień marszu. Usłyszałem, że najlepsza trasa to Barnet-St Albans, ostrzegano mnie przed Billericay i Chelmsford, jak również przed Ide Hill w hrabstwie Kent. Zebrani twierdzili, że najlepsze schronisko w Anglii znajduje się w londyńskiej Chelsea; ktoś, kto je wychwalał, powiedział, że tamtejsze koce przypominają raczej koce więzienne, aniżeli schroniskowe. Latem włóczędzy rozchodzą się po okolicach wiejskich, zimą zaś usiłują przebywać jak najbliżej dużych miast, ponieważ jest tam cieplej i można bardziej liczyć na dobroczynność. Muszą jednak stale wędrować, albowiem nie wolno przebywać w tym samym schronisku, lub też w dwóch tych samych londyńskich schroniskach, częściej niż raz w miesiącu, pod groźbą tygodniowego aresztu.

Kilka minut po godzinie szóstej brama się otworzyła i zaczęliśmy wchodzić gęsiego do środka. Na dziedzińcu znajdowało się biuro, gdzie pracownik schroniska wpisywał do rejestru nasze nazwiska, zawody i wiek, jak również nazwy miejscowości, skąd przybywaliśmy i do których zmierzaliśmy — ta ostatnia informacja służy władzom do nadzorowania ruchu włóczęgów. Podałem swój zawód jako „malarz”; malowałem przecież niegdyś akwarelami — kto w końcu nimi nie malował? Urzędnik zapytał również, czy ktoś ma przy sobie pieniądze — wszyscy odpowiadali przecząco. Wchodzenie do schroniska z kwotą większą niż osiem pensów jest sprzeczne z przepisami, zaś każdą niższą kwotę należy przy wejściu oddać na przechowanie. Z reguły jednak włóczędzy wolą przeszmyglować swoje pieniądze, zawiązując je ciasno w węzełku, żeby nie brzęczały. Zwykle wkładają takie zawiniątka do torebki z herbatą i cukrem, którą każdy włóczęga zawsze nosi za pazuchą, albo wsuwają je między „papiery”. „Papiery” uważane są za świętość i nikt nigdy ich nie przeszukuje.

Po zarejestrowaniu się w biurze urzędnik zwany Funkcyjnym (do jego obowiązków należy nadzór nad włóczęgami i zwykle jest on ubogim pensjonariuszem domu, w którym nędzarzy zatrudnia się przy rozmaitych pracach) w towarzystwie dozorczy — potężnego, bez ustanku wrzeszczącego gburą w granatowym mundurze, traktującego włóczęgów jak stado bydła — zaprowadził nas do schroniska. Mieściła się w nim wyłącznie umywalnia oraz ubikacja, spać zaś mieliśmy w tworzących długi podwójny rząd kamiennych celach, których naliczyłem może i setkę. Był to nagi, ponury, kamienny, pobielany wewnątrz wapnem budynek, którego nie trzymał się brud. Gdy ogarnąłem dom spojrzeniem, natychmiast zgadłem, jaki panuje w nim zapach; istotnie, cuchnęło tam płynnym mydłem, roztworem dezynfekującym Jeyesa [„Jeyes Fluid Outdoor Disinfectant”. Patentowany silny środek dezynfekujący o charakterystycznej woni, stosowany w mieszkaniach, domach oraz w ich otoczeniu, sprzedawany m.in. w puszkach, popularny w Wielkiej Brytanii do dziś (przyp. tłum.)] oraz latryną; w powietrzu wisiał zimny, odstręczający odór więzienny.

Stróż zagnał nas na korytarz, a potem nakazał, żebyśmy po sześciu na raz wchodzili do umywalni, gdzie przed kąpielą mieliśmy zostać poddani rewizji. Szukano pieniędzy i tytoniu, ponieważ w Romton wolno było palić, jeśli się już prze-szmyglowało tytoń, natomiast jeżeli go u kogoś znaleziono wcześniej, ulegał konfiskacie. Stare ćwiki powiedziały nam jednak, że stróż nie obszukuje nikogo poniżej kolan, toteż przed całą procedurą poupychaliśmy tytoń w skarpetki. Następnie, rozbierając się do snu, wsunęliśmy go w fałdy płaszczy, które pozwolono nam zatrzymać, miały bowiem służyć jako poduszki.

Umywalnia przedstawiała odrażający widok. Pięćdziesięciu brudnych, nagich mężczyzn przepychających się łokciami w pomieszczeniu o powierzchni dwudziestu stóp kwadratowych; całej gromadzie musiały wystarczyć dwie wanny oraz dwa sztywne z brudu ręczniki zeszyte końcami i zawieszane na wałkach. Nigdy nie zapomnę smrodu brudnych stóp. Z kąpeli skorzystała mniej niż połowa włóczęgów (usłyszałem opinię, że gorąca woda „osłabia” organizm), wszyscy jednak umyli twarze i nogi oraz uprali ohydne, lepkie skrawki materiału, zwane „owijaczami palców”, którymi włóczędzy owijają sobie palce u nóg. Czysta woda była przydzielana wyłącznie tym, którzy myli całe ciało, toteż wielu musiało dokonać ablucji w wodzie, w której inni myli stopy. Dozorca popychał nas z

miejsca na miejsce, wydzierając mordę, ilekroć widział, że ktoś marnuje czas. Gdy nadeszła moja kolej, zapytałem go, czy przed kąpielą mogę splukać wannę, w której czerniały pasma brudu. Odpowiedział po prostu: — Zamknij p...oną japę i włącz szybko do wody! — Słowa te wystarczająco jasno dały mi do zrozumienia, jakie stosunki panują w schronisku, toteż zamilkłem.

Po kąpeli dozorca zapakował naszą odzież w tobołki i rozdał nam przydzielowe koszule — szare i bawełniane, o wątpliwej czystości, podobne do koszul nocnych, sięgające do połowy ud. Następnie wyprowadzono nas do cel, po czym dozorca oraz Funkcyjny przynieśli nam kolację z domu, gdzie przydzielano włóczęgom pracę. Na każdego z nas przypadał półfuntowy kawał chleba posmarowanego margaryną oraz nieco mniej niż pół litra gorzkiego kakao w blaszanej puszcze. Siedząc na podłodze pochłonęliśmy ten posiłek w ciągu pięciu minut i nieco przed godziną siódmą wieczór zamknięto drzwi cel — miano nie otwierać ich aż do godziny ósmej rano.

Każdemu włóczędze pozwolono dzielić spanie z kolegą, ponieważ cele były dwuosobowe. Nikogo bliżej nie znałem, toteż przydzielono mi do pary innego włóczęgę, chuder-lawego człowieczka, lekko zezującego, o porośniętej szczeczną twarzą. Kamienna cела o wymiarach osiem stóp na pięć i osiem stóp wysokości miała tylko jedno jedyne małe zakratowane okienko, umieszczone wysoko pod sufitem, oraz wziernik w drzwiach — zupełnie jak w więzieniu. Na środku leżało sześć koców, stał nocnik, wzdłuż ściany biegła rura grzejna: więcej nie było nic. Zacząłem się rozglądać, doznając niejasnego uczucia, że czegoś tutaj brakuje. Potem, w przeblysku zdziwienia, zdałem sobie sprawę, o czym zapomniano, i gwałtownie zaprotestowałem:

— Niech to cholera weźmie, a gdzie są łóżka?

— Łóżka? — powtórzył mój kompan zaskoczony. — Nie ma żadnych łóżek! A czegożeś chciał? W tym schronisku trzeba spać na podłodze. Jezu Chryste! Chłopie, jeszcze do tego nie przywykłeś?

Okazało się, że brak łóżek jest czymś zgoła normalnym w schronisku. Zrolowaliśmy więc płaszcze, po czym ułożyliśmy je na podłodze bezpośrednio przy rurze grzejnej, i rozgościliśmy się jak najwygodniej. W celi zrobiło się duszno i smrodliwie, ponieważ jednak nie było aż tak ciepło, żebyśmy mogli wymościć podłogę wszystkimi posiadanymi kocami, musiał wystarczyć nam jeden, który posłużył jako materac. Leżeliśmy w odległości trzydziestu centymetrów od siebie, oddychając sobie w twarz, nasze obnażone nogi i ręce nieustannie się dotykały, zaś po zapadnięciu w sen jeden turlał się na drugiego. Przewracaliśmy się nerwowo z boku na bok, nic to jednak nie pomogło, ponieważ za każdym razem odczuwało się drętwienie, a potem ostry ból, wywołany nie tłumionym przez koc naciskiem ciała na twardą podłogę. Można było zasnąć, ale nie dłużej niż na dziesięć minut.

Okolo północy mój współlokator jął czynić wobec mnie homoseksualne umizgi — jest to coś obrzydliwego, gdy przebywa się w zamkniętej na klucz, mrocznej celi. Człeczyna ów nie był jednak atleą, toteż łatwo powstrzymałem jego zapędy, tyle że oczywiście nie mogłem już usnąć. Przez resztę nocy obaj nie zmrużyliśmy oka, paliliśmy papierosy i prowadziliśmy rozmowę. Opowiedział mi historię swojego życia; był monterem, przed trzema laty stracił pracę. Natychmiast opuściła go wtedy żona, a on od tak dawna nie miał kobiety, że niemal już zapomniał ich wyglądu. Dodał, że homoseksualizm jest rozpowszechniony wśród włóczęgów o bardzo długim stażu.

O godzinie ósmej rano dozorca przeszedł przez korytarz, otwierając drzwi cel i wrzeszcząc: — Wszyscy wychodzić! — Z otwartych drzwi buchnął ciężki, obrzydliwy fetor. Natychmiast też korytarz zaroił się od brudnych postaci w przydzielowych koszulach; włóczędzy człapali do umywalni z nocnikami w dłoniach. Okazało się, że rano wszystkim musiała wystarczyć tylko jedna, wspólna kadź wody i kiedy wszedłem do umywalni, dwudziestu włóczęgów zdążyło już umyć twarze; jednym spojrzeniem ogarnąłem czarny kożuch na powierzchni wody i odszedłem brudny. Gdy opuściliśmy umywalnię, podano nam śniadanie, identyczne jak kolacja z poprzedniego wieczora, oddano ubrania i nakazano udać się na dziedziniec, gdzie oczekiwało nas zajęcie. Polegało ono na obieraniu kartofli przeznaczonych na obiad dla innych nędzarzy, zatrudnionych w barakach opodal, było jednak częścią formalnością — chodziło o to, żeby wypełnić nam pracą czas do przyjazdu lekarza, który miał nas zbadać. Większość włóczęgów jawnie bumelowała. Doktor zjawił się około godziny dziesiątej, trzeba było wtedy znów powrócić do cel, rozebrać się i czekać w korytarzu.

Staliśmy tam w długim dwuszeregu, rozebrani i trzęsący się z zimna. Wątpię, czy ktokolwiek potrafi wyobrazić sobie ten widok: oświetleni z bezlitosną dokładnością promieniami słonecznymi, przypominaliśmy stado wynędzniałych, zdegenerowanych kundli. Włóczęga ubiera się w łachmany, jednak te łachmany skrywają daleko gorsze rzeczy: żeby zobaczyć włóczęgę w całej okazałości takim, jaki jest on naprawdę, należy zobaczyć go rozebranego. Płaskie stopy, wystające brzuchy, zapadłe klatki piersiowe, zwiotczałe mięśnie; u każdego można było znaleźć jakąś odrażającą szpetotę fizyczną. Niemal wszyscy byli niedożywieni, niektórzy najwyraźniej cierpieli na jakieś choroby; dwóch włóczęgów nosiło pasy przepuklinowe, na widok zaś wysuszonego, siedemdziesięcioletniego starca człowiek zachodził w głowę, w jaki sposób mógł on przebyć swoją codzienną porcję kilometrów. Gdyby ktoś popatrzył na nasze twarze, zarośnięte i zmięte po nie przespanej nocy, łatwo mógłby dojść do wniosku,

że jesteśmy świeżo po tygodniowym pijaństwie.

Kontrola lekarska miała na celu jedynie wykrycie przypadków ospy, najmniejszej uwagi nie zwracano na nasz wygląd i stan zdrowia. Młody student medycyny z papierosem w ustach przeszedł pośpiesznie wzdłuż szeregu włóczęgów, oglądając każdego z nas od stóp do głów i nie pytając nikogo, czy jest zdrowy, czy chory. Gdy mój sąsiad z celi się rozebrał, spostrzegłem, że jego klatkę piersiową pokrywa czerwona wysypka, a ponieważ w nocy leżałem oddalony od niego zaledwie o kilkanaście centymetrów, poczułem strach przed ospą. Student medycyny obejrzał jednak krosty i orzekł, że ich przyczyną jest wyłącznie niedożywienie.

Po badaniu ubraliśmy się, po czym ponownie zaprowadzono nas na dziedziniec, gdzie dozorca wyczytał nasze nazwiska, zwrócił każdemu jego własność, wreszcie wręczył bony żywnościowe. Opiewały na sześć pensów i można je było zrealizować w jadalniach położonych wzdłuż tras, które zadeklarowaliśmy poprzedniego wieczora. Ciekawe, że sporo włóczęgów nie umiało czytać, musieli tedy prosić mnie oraz innych „kstałcunych” o rozszyfrowanie napisów na bonach.

Otworzono bramę i w jednej chwili wszyscy się rozeszli. Jakże słodko pachniało powietrze — nawet na bocznej, przedmiejskiej uliczce — po stęchłym, obrzydliwym zaduchu schroniska! Zyskałem kolegę, albowiem podczas obierania kartofli zaprzyjaźniłem się z irlandzkim włóczęgą imieniem Paddy Jaques, stale przygnębionym bladym mężczyzną, który robił wrażenie czystego i porządnego. Wybierał się do schroniska w Edbury i zaproponował, żebyśmy poszli tam razem. Wyruszyliśmy więc w drogę, docierając do celu o godzinie trzeciej po południu. Do przejścia było dwanaście mil, ale szliśmy czternaście mil, ponieważ zabłądziliśmy w dzielnicy wyludnionych północ-nolondyńskich slumsów. Nasze bony były przeznaczone do realizacji w jadalni w Ilford. Obsługująca gości mała dzierlatka, widząc nasze bony i domyślając się, że jesteśmy włóczęgami, potrząsnęła pogardliwie głową i bardzo długo nas ignorowała. Wreszcie postawiła z hałasem na stoliku dwie „duże herbaty” oraz talerz z czterema posmarowanymi tłuszczem z pieczonego mięsa kromkami chleba — posiłek kosztował więc razem osiem pensów. Jak się okazało, w tej jadalni włóczęgę posiadającego bon wartości sześciu pensów oszukiwano na sumę dwóch, trzech pensów; ponieważ nie płacił on pieniędzmi, nie mógł ani zaprotestować, ani pójść gdzie indziej.

## 28

Paddy pozostał moim kompanem przez następne dwa tygodnie, a ponieważ był pierwszym włóczęgą, którego poznałem tak dobrze, chciałem go opisać. Sądzę, że stanowił typ przeciętnego włóczęgi, zaś w Anglii można było spotkać dziesiątki tysięcy jemu podobnych.

Był dość wysoki, liczył sobie około trzydziestu pięciu lat, miał siwiejące jasne włosy oraz wodniste, błękitne oczy. Miał też miłą twarz, choć jego zapadnięte policzki zdążyły przybrać ów trwały, szarawobrudny odcień, którego przyczyną jest dieta złożona wyłącznie z chleba i margaryny. Paddy był ubrany lepiej aniżeli większość włóczęgów, nosił tweedową kurtkę myśliwską i stare spodnie wieczorowe, na których pozostały jeszcze lampasy. Niewątpliwie uważał, że lampasy te stanowią ostatni widomy ślad dawnego poważania, toteż ilekroć się oderwały, nigdy nie zapominał o ich przyszcyciu. W ogóle dbał o swój wygląd, posiadał brzytwę i szczoteczkę do zębów, których to przedmiotów za nic w świecie by nie sprzedał, choć już dawno przehandlował swoje „papiery”, a nawet scyzoryk. Niemniej jednak, każdy widział nawet z daleka, że Irlandczyk jest włóczęgą. W jego powolnym chodzie oraz sposobie garbienia grzbietu było coś głęboko nikczemnego. Widząc, jak się wlecze, instynktownie się czuło, iż raczej przyjmie cios, aniżeli sam go komuś wymierzy.

Paddy wychował się w Irlandii, podczas wojny przez dwa lata był żołnierzem, następnie pracował w wytwórni środków polernicznych, skąd został zwolniony przed dwoma laty. Wstydził się okropnie tego, że został włóczęgą, nabrał jednak włóczęgowskich zwyczajów. Bezustannie przepatrywał chodniki, nie przepuszczając żadnemu niedopałkowi; zbierał nawet puste opakowania od papierosów, z których wyciągał bibułkę z przeznaczeniem na skręty. Kiedy podążaliśmy do Edbury, ujrzał leżącą na chodniku paczuszkę owiniętą w gazetę; rzucił się na zdobycz, odwinął papier, po czym okazało się, że wewnątrz są dwa mocno wygniecione sandwicze z baraniną; nalegał, żebym wziął jednego. Nigdy nie ominął automatu do gry bez targnięcia za rączkę, utrzymywał bowiem, iż urządzenia te często działają wadliwie i zaczynają wtedy wypluwać monety. Z drugiej strony był zbyt tchórzliwy, żeby popełnić przestępstwo. Na przedmieściach Romton dostrzegł stojącą na progu butelkę mleka; najwyraźniej pozostawiono ją tam przez pomyłkę. Zatrzymał się, zerkając pożądlivie na butelkę.

— Chryste! — szepnął — ale się marnuje klawa wyżerka. Przecież ktoś może łatwo wyrzucić tę flaszkę, no nie? Butelka rymnie, a mleko się wyleje.

W jego oczach ujrzałem pragnienie własnoręcznego „wywrócenia” tej butelki. Paddy rozejrzał się po ulicy; była to cicha willowa uliczka i nikogo nie spostrzeżliśmy. Zrezygnowana, ziemista twarz mojego kolegi zapalała tęsknotą do mleka. W następnej jednak chwili Irlandczyk odwrócił się i oznajmił ponuro: — Niech lepiej stoi. Człowiek nigdy nie wychodzi dobrze na kradzieży. Dzięki Bogu niczego jeszcze w

życiu nie zwędziłem.

Na złą drogę nie pozwalał mu zejść strach wywołany głodowaniem. Gdyby miał w żołądku choćby tylko dwa albo trzy solidne posiłki, znalazłby w sobie dość odwagi, żeby ukraść mleko.

Miał dwa tematy do rozmów: wstyd i poniżenie wynikające z tego, że jest się włóczęgą, oraz: gdzie i jak można otrzymać darmowe jedzenie. Gdy zśliśmy powoli ulicami, przez cały czas monologował o tych sprawach płacziwym, przepelnionym litością nad sobą głosem, w którym brzmiał irlandzki akcent:

— Niech piekło pochłonie to nasze parszywe życie, co? Jak tak łazisz po tych cholernych schroniskach, to aż ci się wątroba przewraca. Ale co innego człowiekowi pozostało, no nie? Od dwóch miesięcy nie miałem w gębie nic porządnego, rozlatują mi się buty, i — o Chryste! Może by nam dali herbatę na jakimś zgromadzeniu kościelnym po drodze do Edbury? Często mają tam niekiepską herbatę. Co by człowiek zrobił bez religii, nie? Piłem herbatę na zgromadzeniach baptystów, anglikan i innych czortów. Sam jestem katolikiem. Znaczy się, nie byłem u spowiedzi, ale jestem religijny, jakby się kto pytał. A na tych ich zgromadzeniach zawsze dają kławą herbatkę... — i tak dalej, i tak dalej. Mógł tak pleść przez cały dzień, niemal bezustannie.

Jego ignorancja była bezbrzeżna i zatrwajająca. Zapytał mnie kiedyś na przykład, czy Napoleon żył w czasach Jezusa Chrystusa, czy później. Innym zaś razem, kiedy oglądałem wystawę księgarni, uniósł się gniewem, albowiem tytuł jednej z książek brzmiał: „O naśladowaniu Chrystusa”. Uznał to za bluźnierstwo. — Po jakiego diabła chcą Jego naśladować? — pytał ze złością. Wprawdzie potrafił czytać, ale zdawał się żywić nienawiść do książek. Po drodze do Edbury wstąpiłem do biblioteki publicznej, a choć Paddy nie chciał nic czytać, zaproponowałem mu, żeby również wszedł i rozprostował kości. On wolał jednak czekać na ulicy. — Nie wejdę — zaprotestował — na widok tego cholernego druku aż mnie skręca.

Jak większość włóczęgów, był sknerą nad sknery, jeśli chodzi o zapałki. Gdy go poznałem, miał przy sobie całą ich paczkę, jednak nigdy nie widziałem, żeby zapalił choć jedną zapałkę, kiedy zaś zapaliłem własną, wygłosił kazanie na temat marnotrawstwa. Radził sobie w ten sposób, że prosił obcych o ogień; czasem wolał pół dnia nie zapalić papierosa, byleby tylko nie zmarnować zapałki.

Dominującą cechą jego charakteru była litość nad sobą: Ani na chwilę nie przestawał rozpamiętywać swojego życiowego pecha. Często przerywał milczenie, rzucając uwagi bynajmniej nie a propos: — To straszne, gdy zaczynasz nosić ubrania do lombardu, prawda? — Albo: — Ta herbata, jaką dają w schroniskach, to nie herbata tylko szczyry. — Zupełnie tak, jakby właśnie to było najważniejsze. Na dobitkę, małostkową, niską zawiść budził w nim każdy, kto miał się lepiej niż on — nie chodzi o osoby zamożne, ponieważ dzieliła go od nich zbyt głęboka przepaść, tylko o posiadających zatrudnienie. Pożądał pracy tak żarliwie, jak artysta pożąda sławy. Na widok pracującego starca, wyrzekł płacziwym tonem: — Spójrz tam, na tego z...nego dziada, odbiera pracę młodym i silnym. — Na widok pracującego chłopca słyszałem: — To te młode kutasy zabierają nam chleb. — Wszyscy cudzoziemcy byli dlań „cholernymi przybłędami” — albowiem, zgodnie z jego teorią, ponosili odpowiedzialność za bezrobocie. Na kobiety spoglądał jednocześnie tęsknie i nienawistnie. Młode i ładne były dlań nieosiągalne, toteż udawał, że nie istnieją, ale aż się ślinił na widok prostytutek. Mijały nas dwie stare oblady o szkarłatnych ustach, a twarz Paddy’ego lekko różowieła, kiedy odwracał się i spoglądał za nimi łakomym wzrokiem. — Kurewki! — mamrotał wtedy z lubością, niczym chłopiec przed wystawą sklepu ze słodyczami. Wyznał mi kiedyś, że nie miał kobiety od dwóch lat — to znaczy, odkąd stracił pracę — i że już zapomniał, iż mężczyzna może sięgać wyżej niż do prostytutek. Miał charakter typowego włóczęgi — podły i zawistny, niczym szakał.

Niemniej jednak był dobrym człowiekiem, szczodrym z natury, zdolnym podzielić się z kolegą ostatnią kromką chleba — nieraz rzeczywiście dzielił się ze mną ostatnią kromką. Mógłby też zapewne pracować, gdyby przez kilka miesięcy otrzymywał solidne posiłki. Jednak dwa lata o chlebie i margarynie doprowadziły go do beznadziejnego stanu. Karmił się tą obrzydliwą namiastką jedzenia tak długo, aż jego ciało i umysł uległy degeneracji. Niedożywienie, nie zaś jakaś wrodzona moralna ułomność, zabiło w nim mężczyznę.

29

W drodze do Edbury napomknąłem Paddy’emu, że mam przyjaciela, od którego z pewnością otrzymam pieniądze, i zaproponowałem mu, abyśmy poszli prosto do Londynu, zamiast spędzać jeszcze jedną noc w schronisku. Jednak Paddy dawno tam nie był i, zwyczajem włóczęgów, nie chciał tracić darmowego noclegu. Postanowiliśmy tedy wyruszyć do Londynu następnego ranka. Pozostało mi przy duszy pół pensa, ale Paddy miał dwa szylingi, za co mogliśmy opłacić nocleg i wypić kilka herbat.

Schronisko w Edbury nie różniło się zbyt wiele od schroniska w Romton. Najgorsze było to, że tytoń ulegał tam konfiskacie u wejścia, nadto ostrzeżono nas, iż każdy włóczęga złapany na paleniu zostanie natychmiast usunięty ze schroniska. Według Ustawy o włóczęgostwie, włóczędzy ponoszą odpowiedzialność karną za palenie tytoniu w schronisku — Bogiem a prawdą mogą być ścigani

sądownie właściwie za prawie wszystko, jednak władze oszczędzają sobie zwykle fatygi i nieposłusznych wyrzucają po prostu za drzwi. W Edbury nie musieliśmy pracować, w celach było znośnie. Spaliśmy po dwóch: „jeden na górze, jeden na dole” — czyli jeden na drewnianej półce, a drugi na podłodze; przydzielono nam sienniki wypchane słomą oraz mnóstwo kocy, wprawdzie brudnych, ale nie zarobaczonych. Jedzenie podano takie samo jak w Romton, tyle że zamiast kakao otrzymaliśmy herbatę. Rankiem można było wypić dodatkową porcję tego napoju, ponieważ Funkcyjny sprzedawał go po pół pensa za kubek, oczywiście nielegalnie. Na odchodne wręczono nam po pajdzie chleba z serem — miał to być nasz popołudniowy posiłek.

Po przybyciu do Londynu okazało się, że musimy jakoś zabić osiem godzin, jakie dzielą nas do otwarcia noclegowni. Dziwne, ale przekonałem się na własnej skórze, że człowiek nie dostrzega wielu rzeczy. Byłem przecież w Londynie niezliczoną ilość razy, a jednak dopiero tamtego dnia poznałem jedną z najgorszych cech tego miasta — to, że trzeba płacić nawet za siedzenie. W Paryżu, jeśli nie miałem pieniędzy i nie znalazłem publicznej ławki, mogłem usiąść na chodniku. Bóg jeden wie, czym mogłoby się skończyć siedzenie na chodniku w Londynie — chyba więzieniem. O czwartej po południu staliśmy już pięć godzin i nasze stopy zamieniały się w rozpalone żelazo. Dręczył nas głód, ponieważ przydzielone porcje zjedliśmy natychmiast po opuszczeniu schroniska, ponadto skończył mi się tytoń — Paddy był w lepszej sytuacji, jako że zbierał niedopałki. Próbowaliśmy wejść do dwóch kościołów, lecz były zamknięte. Potem zajrzeliśmy do biblioteki publicznej, ale nie znaleźliśmy wolnych miejsc. Ostatnią deską ratunku, jaką zaproponował Paddy, miało być schronisko Dom Rowtona<sup>10</sup>;

[Rowton Houses, obszerne budynki przeznaczone na niedrogie, acz przyzwoite pensjonaty dla niezamożnych samotnych pracujących mężczyzn, zakładane w Wlk. Brytanii z inicjatywy lorda Montague Williama Lowry-Corry'ego Rowtona (1838-1903), konserwatysty i filantropa, prywatnego sekretarza (w latach 1866-1868 i od 1874) i przyjaciela premiera Disraeliego. Utworzył on w tym celu specjalną fundację, którą wspierał finansowo. Rzeczone domy oferowały lepsze warunki pobytowe niż przeciętne noclegownie — za podobną cenę. Pomyślane były od początku nie jako przedsięwzięcia charytatywne, tylko jako ośrodki zarabiające na swoje utrzymanie dzięki opłatom wnoszonym przez lokatorów. Pierwszy Rowton House powstał w londyńskiej dzielnicy Vauxhall w grudniu 1892 r., następne zakładano w innych miastach brytyjskich i w USA. Obecnie w Londynie istnieje ich sześć (dysponują 5182 miejscami). Ścisła dyscyplina, o której wspomina Orwell, obowiązywała w nich aż do lat osiemdziesiątych XX wieku (przyp. tłum.)]

zgodnie z tamtejszym regulaminem nie wpuszczono by nas do środka przed godziną siódmą, ale liczyliśmy na to, iż uda się nam wślizgnąć niepostrzeżenie. Podeszliśmy do wspaniałej bramy (budynki tych schronisk wyglądają naprawdę imponująco), po czym, jakby nigdy nic, usiłując udawać stałych lokatorów, zaczęliśmy zmierzać w kierunku schodów. Natychmiast zagroził nam drogę pętający się opodal facet o ostrych rysach, niewątpliwie miał tam jakąś władzę.

— Hej, wy, czy spaliście tu ostatniej nocy?

— Nie.

— No to sp...ajcie.

Usłuchaliśmy, a potem staliśmy przez dwie godziny na rogu ulicy. Było to przykre doświadczenie, z którego jednakże odniosłem jakąś korzyść, nauczyło mnie bowiem, żeby nigdy nie używać określenia „szlifbruk”.

O godzinie szóstej poszliśmy do schroniska Armii Zbawienia. Rezerwować łóżka można tam było dopiero o godzinie ósmej wieczór, ponadto nie byliśmy pewni, czy znajdziemy dwa wolne posłania, jednak na szczęście jakiś urzędnik, który zwracał się do nas „bracie”, wpuścił nas do środka, pod warunkiem że zapłacimy za dwie herbaty. Główna sala, pobielona od wewnątrz wapnem, przypominała ogromną halę: ściany były tam tak olśniewająco czyste i tak przeraźliwie nagie, że aż odczuwało się mdłości. Dwustu dość przyzwoicie wyglądających mężczyzn o naznaczonych pokorą twarzach siedziało ciasno na długich drewnianych ławach. Kilku umundurowanych oficerów Armii przechadzało się środkiem. Na ścianie wisiły podobizny generała Bootha [(1829-1912), założyciel i szef brytyjskiej (a potem światowej) organizacji charytatywnej Armia Zbawienia, której wewnętrzna struktura oparta jest na hierarchii stopni wojskowych (przyp. tłum.)], oraz tabliczki z zakazami gotowania, picia alkoholu, używania przekleństw, wszczynania kłótni oraz uprawiania gier hazardowych. Jako przykład wybrałem jedno ogłoszenie, które przepisałem słowo w słowo:

*Ktokolwiek zostanie przyłapany na hazardzie albo na grze w karty, zostanie usunięty ze schroniska i pod żadnym pozorem nie będzie przyjęty ponownie.*

*Za informacje, które pomogą w zdemaskowaniu takich osób, wyznacza się nagrodę.*

*Dyżurni oficerowie proszą wszystkich przebywających w schronisku o pomoc w wysiłkach na rzecz uwolnienia schroniska od OHYDNEGO ZŁA, JAKIM JEST HAZARD.*

„Na hazardzie albo na grze w karty” — brzmi to znakomicie.

Uważam, że choć w schroniskach prowadzonych przez Armię Zbawienia panuje czystość, są one znacznie bardziej ponure, aniżeli nawet najpodlejsze schroniska dla włóczęgów. Niektórzy ich lokatorzy trwają w bezprzykładnej wprost beznadziei — są to przyzwoici, złamani życiem mężczyźni, którzy choć zastawili w lombardzie ostatnie kołnierzyki, jednak nadal usiłują znaleźć jakąś pracę biurową. Schronisko Armii Zbawienia, gdzie jest przynajmniej czysto, staje się dla nich ostatnią ostoją godności.



Przy sąsiednim stoliku siedzieli dwóch cudzoziemców; wprawdzie odziani byli w łachmany, jednak na pierwszy rzut oka można w nich było rozpoznać dżentelmenów. Grali w szachy bez szachownicy, nawet nie zapisując posunięć. Jeden z graczy był ślepy. Słuchając ich rozmowy, dowiedziałem się, że od dłuższego czasu odkładają pieniądze na szachownicę kosztującą pół korony, ale nigdy im się nie udało jej kupić. Tu i ówdzie siedzieli bezrobotni urzędnicy, bladzi i przygnębieni. W jednej z takich grup dostrzegłem wysokiego, chudego, bladego jak śmierć młodzieńca, który coś mówił podnieconym głosem. Walił przy tym pięścią w stół i przechwalał się osobliwym, podekscytowanym tonem. Kiedy oficerowie oddalili się dostatecznie, młodzieniec ów wybuchnął stekiem straszliwych bluźnierstw:

— Powiadam wam, chłopaki, dostanę jutro tę robotę. Nie należę do waszego cholernego rozmodlonego towarzystwa; sam sobie potrafię dać radę. Spójrzcie tylko na tę za...ną wywieszkę na ścianie! „Otrzymacie dary od Pana!” Mnie zawsze dawał gówno. Jeśli kiedykolwiek zaufam temu za...nemu Bogu, niech mi tu kaktus wyrośnie. Zostawcie to mnie, chłopaki. Dostanę tę robotę — i tak dalej, i tak dalej.

Obserwowałem go, poruszony jego obłąkańczą, rozgorączkowaną przemową: wyglądał na histeryka albo być może po prostu zbyt dużo wypił. Godzinę później wszedłem do niewielkiego pokoju obok głównej sali, przeznaczonego na czytelnię. Nie było tam żadnych książek ani prasy, toteż odwiedzała go jedynie garstka lokatorów. Gdy otworzyłem drzwi, ujrzałem tam samotną postać bladego urzędnika na klęczkach: modlił się. Nim zamknąłem drzwi, zobaczyłem jego twarz, na której malowało się cierpienie. Nagle uzmysłowiłem sobie, że człowiek ów głoduje.

Oplata za łóżka wynosiła osiem pensów. Paddy'emu i mnie pozostało pięć pensów, które wydaliśmy w „barze”, gdzie jedzenie było tanie, choć nie tak tanie jak w niektórych po politych schroniskach. Herbata smakowała tak, jakby parzono ją na zmiotkach, które, jak się wydaje, Armia Zbawienia otrzymuje w darze, choć liczy sobie potem za kubek tej herbaty trzy i pół pensa. Napój przypominał pomyje. O godzinie dziesiątej oficer obszedł salę, dmuchając w gwizdek. Wszyscy natychmiast wstali z miejsc.

— Co to znaczy? — zaskoczony zapytałem Paddy'ego.

— To znaczy, że trzeba iść spać. I nie wolno marudzić. Potulnie, niczym stado owiec, dwustu mężczyzn pomaszeroowało pod wodzą oficerów do łóżek.

Sypialnia była ogromną salą na poddaszu, przypominającą izbę koszarową. Stało w niej sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt łóżek. Były czyste i nawet wygodne, ale wąskie, na dobitkę zaś ustawiono je ciasno, toteż leżąc oddychało się w twarz najbliższemu sąsiadowi. Dwaj oficerowie spali na sali, pilnując, żeby po wygaszeniu świateł nikt nie palił ani nie rozmawiał. Paddy i ja niemal nie zmrzyliśmy oka, ponieważ w pobliżu ulokował się ktoś, kto cierpiał na zaburzenia nerwicowe — być może był to uraz w następstwie przebywania w bombardowanych bunkrach — polegające na tym, iż nieszczęśnik ów wykrzykiwał w nieregularnych odstępach czasu „pip!”. Krzyczał donośnym, przenikliwym głosem, przypominało to trąbienie niewielkiego klaksonu. Nikt nie wiedział, kiedy rozlegnie się następny okrzyk, więc oczekiwanie skutecznie powstrzymywało ludzi od snu. Okazało się, że Pip, jak nazywano naszego sąsiada, stale nocował w schronisku i każdej nocy dziesięciu albo dwudziestu mężczyzn nie zasypiało z jego powodu. Przypadek ów może służyć za przykład przeszkody uniemożliwiającej spokojny sen słończonym w gromadę ludziom, tak jak to ma miejsce w schroniskach dla włóczęgów.

O godzinie siódmej rano znowu rozległ się gwizdek, a po chwili oficerowie rozpoczęli obchód sali, potrząsając tymi, którzy nie wstali natychmiast. Od tamtej pory nocowałem w wielu schroniskach Armii Zbawienia i przekonałem się, że choć zachodzą między nimi niewielkie różnice, we wszystkich tych placówkach utrzymywana jest na wpół wojskowa dyscyplina. To prawda, pobyt tam kosztuje niedrogo, ale na mój gust zbyt przypominają one przytułki, w których nędzarzy zatrudnia się przy rozmaitych pracach. W kilku odprawia się nawet, raz czy dwa razy na tydzień, nabożeństwo, w którym udział lokatorów jest obowiązkowy, w przeciwnym wypadku muszą opuścić schronisko. Faktem jest, iż Armia Zbawienia tak dalece przywykła uważać się za instytucję dobroczynną, że nawet nie potrafi prowadzić schroniska dla nędzarzy, które nie cuchnęłoby dobroczynnością.

O godzinie dziesiątej udałem się do biura, gdzie pracował B., i poprosiłem go o pożyczenie funta. Ofiarował mi dwa i zapewnił, że ilekroć znajdę się w potrzebie, mogę nań liczyć, tak więc pozbyliśmy się z Paddym kłopotów finansowych przynajmniej na tydzień. Tamtego dnia łąziliśmy po Trafalgar Square, wypatrując przyjaciela Paddy'ego, który niestety się nie pojawił, noc zaś postanowiliśmy spędzić w schronisku położonym w bocznej uliczce opodal Strandu. Oplata wynosiła tam jedenaście pensów, ale schronisko okazało się mrocznym, wielce podejrzanym lokalem, nadto było ono znanym miejscem schadzek „ciepłych braciszków”. Przypominali oni wyglądem młodych apaszów, jakich widuje się w Paryżu, tyle że nie nosili bokobrodów. Przed kominkiem dobijali targu ubrany mężczyzna i mężczyzna nagi. Byli to sprzedawcy gazet. Ubrany mężczyzna sprzedawał swoją odzież nagusowi. Mówił doń tak: — Proszę bardzo, najlepsze ciuchy, jakie kiedykolwiek miałeś na grzbiecie. Za płaszcz — *tosheroon* (pół korony), dwa szylingi za spodnie, półtora za buty i szylinga za czapkę i szalik. Razem siedem szylingów.

— Diabła tam! Dam ci półtora szylinga za płaszcz, szylinga za spodnie i dwa za resztę. Razem cztery i pół.

— Stary, bierz wszystko za pięć i pół.

— Dobra, ściągaj te szmaty. Muszę wyjść na miasto, żeby sprzedać wydanie wieczorne.

Sprzedający rozebrał się i po trzech minutach nastąpiła zamiana ról: nagi mężczyzna był ubrany, zaś jego towarzysz owinął biodra płachtą „Daily Mail”.

W sali sypialnej panowały mrok i ciasnota, stało w niej piętnaście łóżek. Czulem przenikliwy smród moczu, tak ohydny, że początkowo starałem się oddychać bardzo płytko, żeby nie wypełniać płuc po brzegi tym odorem. Już leżałem, gdy naraz z ciemności wyłonił się jakiś mężczyzna, przechylił się w moją stronę, a potem jął bełkotać głosem na wpół pijackim, wszelako znamionującym inteligencję:

— Cóż widzę, absolwent „public school”, nieprawdaż? (Usłyszał, jak mówiłem coś do Paddy’ego). Nie spotyka się tutaj często takich jak pan. Ja ukończyłem Eton. Wie pan — to już dwadzieścia lat minęło, odkąd śpiewałem o pogodzie i tym wszystkim. — Zaczął nucić drżącym głosem etońską pieśń wioślarską, bynajmniej nie fałszując:

*Piękna pogoda, chwyć za wiosła, Wietrzyk pachnie świeżym sianem...*

— Zamknij p...ny pysk! — rozległy się okrzyki.

— Obskurne indywidua — stwierdził pogardliwie absolwent Eton — wysoce obskurne. To zabawne, żeśmy się tutaj znaleźli, pan i ja, nieprawdaż? Czy wie pan, co mawiają mi moi przyjaciele? Otóż mawiają tak: „M., ty jesteś wyjęty spod zbawienia”. Zupełnie słusznie, ja jestem naprawdę wyjęty spod zbawienia. Zszedłem na psy, ale nie w taki sposób, jak te tutaj sk...syny, które nie potrafią zejść na psy, nawet gdyby chciały. My, faceci, którzy zeszli na psy, powinniśmy chyba trzymać ze sobą. „A w naszych twarzach będzie dalej kwitła młodość” — i tak dalej. Czy mogę zaproponować panu drinka?

Wyjął zza pazuchy butelkę wiśniówki, ale w tej samej chwili stracił równowagę i zwałił się na moje nogi. Paddy, który akurat zdejmował ubranie, chwycił go za tułów i dźwignął do góry.

— Wracaj do wyra, ty stary, głupi sk...nu!

Absolwent Eton poczłapał niepewnie do łóżka i wgramolił się pod kołdrę, nie zdejmując odzieży, a nawet butów.

Kilkakrotnie w ciągu nocy słyszałem, jak mruczy przez sen: — M., jesteś wyjęty spod zbawienia — jak gdyby spodobało mu się to powiedzenie. Rankiem ujrzałem, że chrapie w najlepsze w ubraniu, tuląc do siebie butelkę. Miał około pięćdziesiątki, subtelną, zniszczoną twarz oraz, co zastanawiające, był wcale sztywnie ubrany. Jego wytworne lakierki wystające spod brudnej pościeli przedstawiały dziwaczny widok. Pomyślałem, że wiśniówka musiała kosztować go tyle, co czternaście dni pobytu w schronisku, doszedłem tedy do wniosku, że facet tylko struga nędzarza. Być może odwiedzał schroniska w poszukiwaniu „chłopczyków”.

Łóżka stały od siebie nie dalej niż sześćdziesiąt centymetrów. Około północy obudziłem się i ujrzałem, jak sąsiad usiłuje ukraść mi pieniądze. Udawał tylko sen, podczas gdy jego ręka wsuwała się pod moją poduszkę delikatnie, niczym szczur. Rano zobaczyłem, że sąsiad ów jest garbusem o długich, małych rękach. Powiedziałem Paddy’emu, że zamierzał mnie okraść. Mój kompan roześmiał się tylko.

— Chryste Panie! Musisz się do tego przyzwyczaić. W tych schroniskach aż się roi od złodziei. W niektórych najbezpieczniej jest spać w ubraniu. Kiedyś byłem świadkiem, jak inwalidzie rąbnęli drewnianego kulasa. A znów innym razem widziałem faceta — ważył chyba z dziewięćdziesiąt kilogramów — który przyszedł do schroniska, a miał przy sobie cztery funty i dziesięć szylingów. Włożył tę forszę pod materac. „Teraz — oznajmił — żaden sk...syn nie dotknie moich pieniędzy, bo leżę na nich”. Ale i tak go obrobili. Rankiem ten spaśluch obudził się na posadzce. Czterech facetów wzięło materac za rogi i uniosło go jak piórko. Gość nigdy nie zobaczył swojej forsy.

30

Następnego ranka udaliśmy się raz jeszcze na poszukiwanie przyjaciela Paddy’ego, zwanego Bozo, który był *screeverem*, czyli artystą wykonującym rysunki na chodniku. W świecie Paddy’ego nie istniały adresy, ale mój przyjaciel domyślał się, że Bozo przebywa gdzieś w Lam-beth, ostatecznie jednak znaleźliśmy go przy Bulwarze Królowej Wiktorii, gdzie zajmował skrawek miejsca opodal mostu Waterloo. Klęczał na chodniku, mając na podorędziu pudełko z różnobarwną kredą i z taniutkiego notesu kopiował oblicze Winstona Churchilla. Rysunek nosił cechy całkiem niemałego podobieństwa do oryginału. Bozo był niewysokim, czarniawym, łysiejącym mężczyzną o haczykowatym nosie i kręconych włosach. Miał straszliwie zdeformowaną nogę, której stopa była tak mocno wykręcona piętą do przodu, że aż strach było patrzeć. Z wyglądu przypominał Żyda, jednak on sam gorąco wypierał się izraelskiego pochodzenia. Swój haczykowaty nos określał jako „rzymski”, a ponadto szczycił się podobieństwem do jakiegoś rzymskiego cesarza — chyba do Wespazjana.

Bozo mówił dziwnym akcentem, który niby zatracał londyńskim *cockneyem*, ale był czysty i pełen wyrazu. Wydawało się, iż przyjaciel Paddy’ego czytywał dobrą literaturę, ale nigdy nie zadał sobie trudu,

żeby poprawić gramatykę wypowiedzianych zdań. Pozostaliśmy z Irlandczykiem przez jakiś czas na Bulwarze, gadając o tym i owym, zaś Bozo wyjaśniał nam tajniki swojego fachu. Powtarzam wszystko mniej więcej tak, jak usłyszałem:

— Jestem z tych rysowników, co to, jak mówią, poważnie traktują swą robotę. Nie używam jak inni tablicowej kredy, stosuję barwniki prawdziwe, takie same jak malarze; są one cholernie drogie, zwłaszcza czerwienie. Przez cały dzień wychodzi mi kolorów za pięć szylingów, nigdy zaś nie kosztują mnie one mniej niż dwa szylingi [artyści chodnikowi kupują sproszkowane barwniki i wyrabiają z nich papkę, mieszając ze skondensowanym mlekiem (*przyp. aut*)]. Jestem najlepszy w karykaturach — no, polityka, krykiet i tak dalej. Patrz pan — otworzył notatnik — oto podobizny wszystkich facetów od polityki: wzięłem i przerysowałem je z gazet. Codziennie rysuję coś innego. Gdy na przykład na tapecie był budżet, narysowałem naszego Winstona usiłującego przepchnąć słonia, co miał na tyłku napis „dług”, a pod spodem napisałem: „czy go przepchnie”? [w oryg. „Will he budge it?”. „Budget” to po angielsku „budżet”, ale jako czasownik także: „pchnąć”, „ruszyć z miejsca” (*przyp. tłum.*)] Widzisz pan? Można narysować wszystko, co dotyczy każdej z naszych partii, ale nie wolno chwalić socjalizmu, bo nie pozwala na to policja. Raz narysowałem boa dusiciela z napisem „kapitał”, potykającego królika z napisem „praca”. Przylazł gliniarz, zobaczył rysunek i mówi do mnie tak: „Ścieraj, i to szybko”. Musiałem zetrzeć. Gliny mają prawo przymknąć człowieka za włóczęgostwo i niezdrowo się im sprzeciwiać.

Zapytałem Bożę, ile można zarobić na takich rysunkach. Oto, co mi odpowiedział:

— O tej porze roku, jeśli nie pada, wyciągam ze trzy funty od piątku do niedzieli — wiesz pan, ludziom płacą w piątki. Nie mogę pracować, kiedy leje, bo kolory szybko się wtedy zmywają. Przez cały rok mam z tego przeciętnie funta tygodniowo, ponieważ zimą niewiele można rysować. Podczas wyścigów łodzi na Tamizie [wiosenny wyścig osad wioślarskich studentów Oksfordu i Cambridge] albo finału Pucharu Anglii, zarabiam sporo, nawet cztery funty. Muszę jednak wyciągać im te pieniądze z gardła, nie zarobię ani szylinga, jeśli będę siedział na tyłku i gapił się ludziom w oczy. Zwykle *drop* (datek) wynosi pół pensa, ale nie dostanę nawet tyle, jeśli nie wstawię ludziom jakiejś gadki. Gdy choć raz mi odpowiedzą, robi im się głupio, jeśli nie wrzucą nic do kapelusza. Najlepiej przez cały czas zmieniać jakieś szczegóły na rysunku, bo jak widzą, że rysuję, zatrzymują się i patrzą. Najgorsze jest to, że gdy tylko człowiek wyciągnie kapelusz, parszywce się roziażą. Trzeba mieć wtedy *nobbera* (pomocnika). Rysuję wtedy w najlepsze, zbiera się tłum, a on podchodzi od tyłu, jakby nigdy nic. Nie wiedzą, że to *nobber*. Nagle zdejmuje kapelusz i goście znajdują się między młotem a kowadłem. Nigdy nic nie dostaniesz od elegancików. Najczęściej dają obszarpańcy i cudzoziemcy. Żółtki, czarnuchy i podobne diabły rzuciły mi nawet po sześć pensów. Nie są takimi zakutymi sknerami jak Anglicy. Trzeba też pamiętać, żeby chować pieniądze, zostawiając w kapeluszu tylko jednego pensa. Nikt mi nic nie da, jeśli zobaczy, że zarobiłem już szylinga albo dwa.

Bozo odnosił się z największą pogardą do innych rysowników chodnikowych działających przy Bulwarze Królowej Wiktorii. Nazywał ich pogardliwie „chabeciarza-mi”. W tym czasie idąc wzdłuż Bulwaru można było co chwila natknąć się na *screevera* — pracowali oddaleni od siebie o dwadzieścia pięć jardów, co stanowiło ogólnie przyjętą minimalną odległość. Bozo lekceważąco wskazał na starca z białą brodą stojącego pięćdziesiąt jardów dalej.

— Widzisz pan tego starego głupca? Codziennie od dziesięciu lat rysuje dokładnie to samo. Nazywa te swoje bazgroły „Wierny przyjaciel”. Ma to być pies ratujący tonące dziecko. Ten durny pacykarz rysuje nie lepiej niż dziesięcioletni szczeniak. Nauczył się kopiować ten jeden jedyny motyw, zupełnie jakby składał do kupy układankę. Takich cwaniaków tu nie brakuje. Czasem przychodzą, żeby kraść mi pomysły, ale ja się tym nie przejmuję; te stare sk...syny same niczego nigdy nie wymyślą. Raz jakiś dzieciak wsadził główkę między balustradę mostu Chelsea. Usłyszałem o tym i nim uwolnili bachora, już miałem rysunek. Ja zawsze jestem na czasie.

Bozo wydawał się interesującą postacią i zależało mi, żeby znów się z nim spotkać. Tego samego dnia wieczorem zaszedłem jeszcze raz na Bulwar, żeby go odnaleźć, ponieważ obiecał, że zabierze Paddy'ego i mnie do schroniska w południowym Londynie. Bozo zmył rysunki z chodnika i przeliczył utarg — miał około szesnastu szylingów, z czego, jak stwierdził, dwanaście lub czternaście szylingów czystego zarobku. Poszliśmy w kierunku Lambeth. Bozo kuśtykał powoli, przypominając chodem kraba; szedł niemal bokiem, wlokąc za sobą zmiażdżoną stopę. Poruszał się o dwóch laskach, a pudełko z farbami przewiesił sobie przez ramię. Gdy przechodziliśmy przez most, usiadł w jednej z wnęk na ławce, żeby odpocząć. Milczał przez kilka minut, a ja zauważyłem ze zdumieniem, że patrzy w gwiazdy. Dotknął mojej ręki i wskazał laską w niebo.

— Popatrz pan tylko na Aldebarana! Co za wspaniały kolor! Jak jakaś za...na pomarańcza! Powiedział te słowa tonem krytyka sztuki zwiedzającego wystawę obrazów. Ogarnęło mnie zaskoczenie. Przyznałem się mu, że nie wiem, która gwiazda jest Aldebaranem — mało tego, nie zauważyłem nawet, że gwiazdy są rozmaitych kolorów. Bozo, wskazując najważniejsze konstelacje, zaczął wyjaśniać mi podstawy astronomii. Zdawał się być poruszony moją niewiedzą. Powiedziałem mu

ze zdziwieniem w głosie:

— Widzę, że pan wie sporo o gwiazdach.

— Nie, niedużo. Ale coś niecoś wiem. Dostałem dwa listy od Królewskiego Astronoma [w latach 1675-1972 oficjalny tytuł dyrektora Królewskiego Obserwatorium w Greenwich, od 1972 już tylko honorowy. W roku, w którym rozgrywa się akcja książki, Królewskim Astronomem był Frank Watson Dyson (do 1933), który w 1919 r. potwierdził doświadczalnie przewidziane przez Einsteina zjawisko zakrzywienia biegu promieni światła pod wpływem przyciągania grawitacyjnego (*przyp. tłum.*)] z podziękowaniem za informacje o meteorach. Co jakiś czas wychodzę w nocy na dwór i szukam ich na niebie. Gwiazdy są darmowym spektaklem, oglądanie ich nic nie kosztuje.

— Świetny pomysł! Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

— No, przecież trzeba się czymś interesować. Z tego, że człowiek jest pod wozem, wcale nie wynika, iż cały świat mają mu przesłać herbata-i-dwie-kromki-chleba.

— Ale czy można się czymkolwiek interesować — na przykład gwiazdami — prowadząc takie życie?

— Chodzi panu o rysowanie na chodniku, prawda? Niekoniecznie. Takie zajęcie wcale nie musi nikogo zmienić w cholernego, tępego barana — to znaczy, nie musi, pod warunkiem że człowiek sam tego nie zechce.

— Jednak większość ludzi tępieje.

— Ależ oczywiście. Spójrz pan choćby na Paddy'ego — tego herbatożłopa i starego próżniaka, który potrafi tylko zbierać z ziemi pety. Tak żyje większość podobnych mu facetów. Gardzę nimi. Ale przecież nikt nikomu nie kazał upodobniać się do nich. Gdy człowiek ma jakieś wykształcenie, nie robi mu szczególnej różnicy, jeśli do końca życia pozostanie włóczęgą.

— Przekonałem się, że jest dokładnie odwrotnie — zaprotestowałem. — Wydaje mi się, że gdy ktoś zostanie pozbawiony pieniędzy, nie nadaje się już do niczego.

— Bez przesady. Jeśli ktoś bardzo chce, może żyć tak samo jak wcześniej, nieważne, czy jest się bogaczem, czy nędzarzem. Można żyć książkami i myślami. Trzeba tylko powiedzieć sobie: „Jestem wolnym człowiekiem — o, tutaj” — puknąć się palcem w czoło — i wszystko w porządku.

Bozo kontynuował na tę samą nutę, a ja słuchałem go uważnie. Wydawał się być nader osobliwym *screeverem* i w istocie rzeczy nim był, nadto on pierwszy powiedział mi, że bieda nie jest wielkim nieszczęściem. W ciągu następnych kilku dni często rozmawialiśmy, ponieważ zdarzyło się kilkanaście dni deszczowych, a więc nie mógł wtedy pracować. Opowiedział mi historię swojego życia; była zaiste osobliwa.

Był synem zrujnowanego księgarza, w wieku osiemnastu lat zaczął pracować jako malarz pokojowy, zaś podczas wojny służył trzy lata we Francji i w Indiach. Po wojnie znalazł sobie zajęcie w swoim fachu w Paryżu, gdzie przebywał kilka lat. Francja bardziej odpowiadała mu aniżeli Anglia (pogardzał Anglikami), a w Paryżu powodziło mu się dobrze: odkładał pieniądze, a nawet zaręczył się z Francuzką. Pewnego dnia jego narzeczona zginęła pod kołami omnibusu. Bozo pił przez tydzień, a potem wrócił do pracy, ale czuł się bardzo niepewnie; pierwszego ranka spadł z rusztowania czterdzieści stóp w dół na chodnik i zmiął sobie prawą stopę. Z jakiejś przyczyny otrzymał tylko sześćdziesiąt funtów odszkodowania. Powrócił do Anglii, wydał pieniądze, poszukując jakiegoś zajęcia: usiłował handlować książkami na targu przy Middlesex Street, potem zajął się obnośną sprzedażą zabawek, wreszcie zaczął rysować na chodnikach. Odtąd żył z dnia na dzień, zimą na wpół głodował, często sypiał w noclegowniach bądź też po prostu na Bulwarze Królowej Wiktorii. Kiedy go poznałem, posiadał tylko ubranie, które miał na sobie, przybory malarskie oraz kilka książek. Jego odzież składała się ze zwykłych żebraczych łachmanów, ale nosił kołnierzyk i krawat, czym się szczylił. Kołnierzyk miał rok albo więcej, nieustannie „przecierał się” na szyi, toteż Bozo sztukował go kawałkami materiału, które wycinał z poły koszuli, wskutek czego niemal nic z niej nie pozostało. Z jego kaleką nogą działo się coraz gorzej, zapewne konieczna była amputacja, zaś na jego kolanach, skutkiem klęczenia na chodniku, utworzyła się warstwa skóry o grubości podeszwy buta. Było oczywiste, iż oczekiwała go w życiu jedynie żebranina, a potem śmierć w jakimś przytułku.

Niemniej jednak Bozo niczego się nie bał, niczego nie żałował, nie odczuwał żadnego wstydu i nie rozczulał się nad sobą. Trzymał fason i stworzył sobie własną filozofię. Nie ze swojej winy jest żebrakiem, mawiał, i ani nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia, ani się nie dręczył. Był wrogiem społeczeństwa i gdyby tylko nadarzyła mu się okazja, bez skrupułów popełniłby przestępstwo. Z zasady nie oszczędzał. Latem nie odkładał żadnej sumy, ponieważ nadwyżki zarobków wydawał na alkohol, a kobiety go nie interesowały. Jeśli z nadejściem zimy pozostawał bez grosza, wówczas, jak sam twierdził, społeczeństwo musiało się o niego zatroszczyć. Zawsze chętnie wyciągał każdego pensa od instytucji dobroczynnych, pod warunkiem wszakże, iż nie musiał nikomu za nic dziękować. Unikał jednak dobroczynności kościelnej, mawiał, że słowa stają mu w gardle, jeśli ma śpiewać hymny w zamian za bułki. Przestrzegał również innych zasad: na przykład zawsze szczylił się tym, iż nigdy w życiu, nawet kiedy głodował, nie podniósł z ziemi niedopałka. Uważał, że stoi o klasę wyżej od zwykłych żebraków, których nazywał bandą podłych nikczemników, pozbawionych nawet na tyle honoru, żeby okazywać niewdzięczność.

Mówił niezłe po francusku, przeczytał kilka powieści Zoli, wszystkie sztuki Szekspira, „Podróże Guliwera” i sporo esejów. Potrafił opowiadać swoje przygody w taki sposób, że jego słowa zapadały głęboko w pamięć. Gdy na przykład rozmawialiśmy pewnego razu o pogrzebach, odezwał się tak:

— Czy widział pan kiedykolwiek, jak palą trupa? Ja widziałem, w Indiach. Położyli biednego delikwenta na stos i zaraz potem mała oczy nie wyszły mi z orbit, ponieważ facet zaczął wierzczyć nogami. To tylko jego mięśnie kurczyły się w płomieniach — ale i tak przeżycie było niesamowite. No więc rzucał się tak przez jakiś czas jak śledź na gorących węglach, a potem nabrzmiał mu brzuch i rozerwał się z hukiem, który słyszeć było na pięćdziesiąt jardów. Od tamtej pory stałem się przeciwnikiem kremacji.

Innym razem tak opisał swój wypadek:

— Lekarz mówi do mnie: „Mój panie, spadł pan na jedną nogę. Miałeś pan sakramenckie szczęście, że nie na obie. Gdybyś spadł na obie, złożyłbyś się pan jak jakaś cholerna harmonia, a pańskie kości udowe wylazłyby uszami!”.

Te ostatnie słowa z pewnością nie wyszły z ust doktora, tylko wymyślił je Bozo. W ogóle miał on talent do powiedzonek. Potrafił zachować zdrowy i lotny umysł, toteż nigdy nie złamałaby go bieda. Mógł chodzić w fachmanach, mógł cierpieć chłód, a nawet głodować, ale dopóki miał swoje książki, myśli i meteory, dopóty, jak mawiał, jego umysł pozostanie swobodny.

Był zajadłym ateistą (należał do tych ateistów, którzy nie tyle nie wierzą w Boga, ile odczuwają doń awersję) i z wyraźnym ukontentowaniem twierdził, iż byt ludzkości nigdy się nie polepszy. Powiedział mi, że gdy niekiedy nocuje na Bulwarze, spogląda na Marsa albo na Jowisza i pociesza się myślą, iż również tam są istoty nocujące na jakimś Bulwarze. Miał na ten temat osobliwą teorię. Życie na Ziemi, utrzymywał, jest ciężkie, ponieważ nasza planeta jest uboga w zasoby niezbędne do istnienia. Mars, gdzie panuje surowy klimat i gdzie jest niewiele wody, musi być daleko bardziej ubogi, zaś tamtejsze życie — odpowiednio cięższe niż ziemskie. Podczas gdy na Ziemi za kradzież sześciu pensów idzie się po prostu do więzienia, na Marsie złodziej zostaje przypuszczalnie ugotowany żywcem. To przypuszczenie wprawiało go w dobry humor, sam nie wiem dlaczego. Ale bo też Bozo był wyjątkową osobą.

31

W schronisku, w którym mieszkał Bozo, opłata za nocleg wynosiła dziewięć pensów. W budynku mieściła się obszerna, zatłoczona sala, mogąca pomieścić pięciuset mężczyzn; służyła ona jako punkt spotkań włóczęgów, żebraków oraz drobnych złodziejaszków. Wszyscy byli tam równi, nawet biali i czarni. Spotkałem kilkunastu Hindusów, a kiedy zagadnąłem jednego łamanym językiem hindustani, zwrócił się do mnie: „tum”<sup>16</sup>

[w języku hindustani są dwa zaimki dla drugiej osoby liczby pojedynczej. Pierwszy, „ap”, wyraża więcej szacunku i odpowiada naszemu [francuskiemu] zaimkowi „vous”. Drugi, „tum”, używany jest wyłącznie wobec zżytych przyjaciół, albo kiedy ktoś o wyższej pozycji społecznej zwraca się do osoby stojącej w tej hierarchii niżej; odpowiada on naszemu „tu”. Anglik w Indiach nie dopuściłby do tego, żeby tubylec zwrócił się doń per „tum” (*przyp. red. wyd. ang. pochodzący z francuskiego przekładu książki*)]

— co w Indiach wywołałoby zgrozę. W schronisku jednak nikt nie miał uprzedzeń rasowych. Widywało się tam osobliwe postacie, o osobliwych biografjach. Był na przykład stary „Tatuńcio”, siedemdziesięcioletni włóczęga, utrzymujący się wyłącznie, albo niemal wyłącznie, ze zbierania niedopałków i sprzedaży wykruszonego z nich tytoniu po trzy pensy uncja. Był też „Doktor”, jak się okazało prawdziwy lekarz, którego wykreślono z rejestru medycznego za jakieś naruszenie prawa i który oprócz sprzedawania gazet udzielał porad za kilka pensów. Małeńki majątek ze Wschodniego Bengal, bosi i przymierający głodem, który zszedł ze statku i przez kilka dni błąkał się po całym Londynie, był tak otumaniony i bezradny, iż nie wiedział nawet, w jakim mieście się znajduje — myślał, że w Liverpoolu, dopóki nie wyprowadzono go z błędu. Był wreszcie włóczęga — wysyłający żebraczy listy, przyjaciel Boża; pisywał on dramatyczne prośby o wsparcie, gdyż — jak twierdził — nie ma pieniędzy na pogrzeb żony; ilekroć list przyniósł skutki, facet ów obzerał się w samotności wielkimi pajdami chleba z margaryną. Był on wrednym typem przypominającym hienę. Rozmawiając z nim przekonałem się, iż, jak większość oszustów, wierzy w znaczną część własnych łgarstw. Schronisko to było dla takich osób istną Alzacją [potoczna nazwa położonego w XVII-wiecznym Londynie obszaru należącego do zakonu karmelitów, na mocy prawa azylu mogli tam się chronić przed karą przestępcy. Przywilej ten zniesiono w 1697 r. (*przyp. tłum.*)]

Gdy trzymaliśmy się razem, Bozo opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy dotyczących techniki uprawiania żebractwa w Londynie. Jest ona daleko bardziej skomplikowana, aniżeli można by sądzić. Żebracy tworzą wielce zróżnicowaną grupę, nadto istnieje ostra linia podziału między tymi, którzy po prostu wypraszają datki, a tymi, którzy usiłują zasłużyć na jałmużnę. Pieniądze, jakie można zarobić na rozmaitych „numerach”, także bywają rozmaite. Opowieści z niedzielnych wydań gazet o żebrakach, którzy umierają, pozostawiając zaszyte w portkach dwa tysiące funtów, są oczywiście wierutną bzdurą; niemniej jednak, lepsi żebracy mają dobre dni, kiedy to za jednym razem zarabiają sumę wystarczającą

im na kilkutygodniowe utrzymanie. Najlepiej prosperują uliczni akrobaci i fotografowie. W dobrym miejscu — na przykład obok kolejki po bilety do teatru — akrobata często może zarobić pięć funtów tygodniowo. Mniej więcej tyle samo może zarobić fotograf, ale jest on uzależniony od słonecznej pogody. Fotografowie stosują pewien chytry sposób, żeby interes szedł dobrze. Ilekroć widzą zbliżającą się potencjalną ofiarę jeden z nich ustawia się za aparatem i udaje, że robi zdjęcie. Następnie, kiedy ofiara znajdzie się w pobliżu, wołają tak:

— P'sze bardzo, oto pańskie zdjęcie, szefie, pięknie wyszło. Płaci pan szylinga.

— Ależ ja wcale nie chciałem żadnego zdjęcia — protestuje ofiara.

— Co, nie chciał pan? No tak, ale nam się wydawało, że daje pan znak dłonią. Zmarnowaliśmy kliszę. Jesteśmy stratni na sześć pensów.

Na te słowa ofierze robi się zwykle żal fotografa, daje za wygraną i zgadza się przyjąć zdjęcie. Fotograf sprawdza kliszę i orzeka, iż się prześwietliła, po czym proponuje zrobienie nowego zdjęcia — tym razem gratis. Oczywiście nigdy nie wykonał pierwszego, toteż jeśli klient zdecydowanie odmawia, fotograf nic nie traci.

Kataryniarze, podobnie jak akrobaci, uważani są raczej za artystów aniżeli za żebraków. Pewien kataryniarz imieniem Shorty, przyjaciel Boża, zdradził mi tajniki swojego fachu. On sam wraz z kompanem „mieli na rozkładzie” restauracje i piwiarnie w pobliżu Whitechapel i Commercial Road. Przypuszczenie, że kataryniarze zarabiają na życie na ulicach, mija się z prawdą: dziewięć dziesiątych zarobków uzyskują w restauracjach i piwiarniach — ale tylko podrzędnych piwiarniach, albowiem do eleganckich ich nie wpuszczają. Taktyka Shorty'ego polegała na tym, że zatrzymywał się pod piwiarnią i grał jakąś melodię, a potem jego kompan, który miał drewnianą nogę i mógł wzbudzić współczucie, wchodził do lokalu z kapeluszem w dłoni. Shorty zawsze trzymał się zasady, żeby po otrzymaniu datków zagrać inną melodię, można rzec na bis; chciał przez to pokazać, że jest prawdziwym artystą, a nie żebrakiem, któremu trzeba po prostu coś dać w łapę, żeby sobie poszedł. On i jego kumpel zarabiali do spółki dwa albo trzy funty tygodniowo, ale ponieważ musieli płacić piętnaście szylingów za wynajem katarynki, pozostawało im około funta tygodniowo. Wychodzili do miasta o godzinie ósmej rano, pracowali aż do dziesiątej wieczór, a w soboty jeszcze dłużej.

Screeverzy niekiedy bywają artystami, niekiedy nimi nie są. Bozo zapoznał mnie kiedyś z jednym z nich, który był „prawdziwym” artystą; to znaczy niegdyś studiował sztuki piękne w Paryżu i za najlepszych dni wysyłał swoje obrazy do Salonu. Jego specjalnością było kopiowanie starych mistrzów; zważywszy, iż rysował na chodniku, osiągał znakomite rezultaty. Opowiedział mi kiedyś, jak został ulicznym artystą:

— Żona i dzieci głodowały. Wracałem do domu późnym wieczorem, trzymając pod pachą tekę z rysunkami, które proponowałem handlarzom, zastanawiając się, jakby tu, do jasnej cholery, zarobić kilka szylingów. Nazajutrz, przy ulicy Strand, zobaczyłem, jak jakiś facet kłęczy na chodniku i rysuje, a ludzie rzucają mu monety. Gdy przechodziłem opodal, gość ów wstał i poszedł do piwiarni. „Niech to diabli — pomyślałem wtedy — skoro on może zarabiać na tym pieniądze, mogę i ja”. Pod wpływem impulsu ukląknąłem więc i zacząłem rysować jego kredkami. Bóg jeden wie, dlaczego to zrobiłem, głód musiał pomieszać mi w głowie. Zastanawiające, że nigdy przedtem nie malowałem pastelami, musiałem uczyć się tej techniki w trakcie rysowania. No i ludzie zaczęli się zatrzymywać, usłyszałem opinie, że to, co rysuję, jest niezłe, a kiedy przeliczyłem datki, okazało się, że zarobiłem dziewięć pensów. W tej samej chwili z piwiarni wyszedł tamten gość. „Co k... robisz na moim miejscu?” — wrzasnął. Wyjaśniłem, że jestem głodny i że potrzebuję pieniędzy. „Aha — spuścił z tonu — choć pan ze mną na piwko”. Wypiliśmy po kufelku, a ja od tamtego dnia zacząłem rysować na chodnikach. Mam z tego funta tygodniowo. Za takie pieniądze nie sposób utrzymać sześciorga dzieciaków, ale na szczęście żona też coś niecoś zarabia szyciem.

W moim fachu najgorsze jest zimno, a zaraz potem to, że ludzie przeszkadzają w pracy, co muszę cierpliwie znosić. Początkowo, z braku lepszych tematów, czasem rysowałem na chodniku kopie aktów. Pierwszą wykonałem przed kościołem St Martin-in-the-Fields. Jakis facet w czerni — musiał to być kościelny albo ktoś taki — wyleciał na ulicę, aż się pienił z gniewu. „Czy sądzicie, iż te obsceny w sąsiedztwie Domu Bożego będą tolerowane?” — krzyczał. Musiałem więc zmyć rysunek. Była to kopia „Wenus” Botticellego. Innym razem narysowałem taki sam akt na Bulwarze Królowej Wiktorii. Przechodzący policjant spojrzął na rysunek, a potem, bez słowa, wlaż nań i stał go swoimi wielkimi stopiskami.

Bozo opowiadał mi o policjantach to samo. Gdy się spotykaliśmy, zdarzył się w Hyde Parku przypadek „obrazy moralności”, a interweniujący funkcjonariusze zachowali się dość brutalnie. Bozo narysował wtedy Hyde Park z postaciami policjantów ukrytymi wśród drzew i opatrzył dzieło podpisem: „Zagadka, znajdźcie policjanta”. Podsunąłem mu wtedy myśl, że znacznie mniej dwuznaczny będzie podpis: „Zagadka, znajdźcie obrazę moralności”, ale Bozo nie chciał o tym słyszeć. Oświadczył, że każdy przechodzący policjant może go wtedy przepędzić i utraci miejsce na chodniku.

Poniżej screeverów stoją osoby śpiewające hymny, sprzedające zapałki, sznurowadła albo koperty

zawierające odrobinę lawendy — nazywanej eufemistycznie „perfumami”. Wszyscy ci ludzie trudnią się zwyczajną żebraniną, czerpiąc profity ze swojego nędznego wyglądu i żaden z nich nie zarobi dziennie więcej niż pół korony. Muszą oni udawać, że nie uprawiają żebraniny, ale sprzedają na przykład zapalki, ponieważ tak nakazują absurdalne angielskie przepisy dotyczące żebrania. Zgodnie z nimi, jeśli ktoś zaczepi na ulicy przechodnia i poprosi go o dwa pence, nagabnięty może wezwać policjanta, zaś nagabujący otrzymać siedem dni odsiadki za żebraninę. Jeśli natomiast ktoś brzęczy innym nad głową, wyśpiewując „Bliżej do Ciebie, Boże”<sup>18</sup>, bazgrze kredą na chodniku czy wreszcie wystaje na rogu ulicy z tacą pudełek z zapalkami; krótko mówiąc, jeśli się naprzykrza innym, wówczas uznaje się, iż prowadzi on dozwoloną prawem działalność handlową, nie zaś żebrze. Uliczna sprzedaż zapalek i śpiewanie pieśni religijnych są w istocie rzeczy zalegalizowanym występkiem. Inna sprawa, że niezbyt opłacalnym: w Londynie nie uświadczysz się ani jednego ulicznego śpiewaka czy też sprzedawcy zapalek, który może być pewien swoich pięćdziesięciu funtów rocznie – a jest to licha zapłata za wystawianie na krawężniku osiemdziesiąt cztery godziny tygodniowo, będąc przez cały czas narażonym na muskanie tyłka przez przejeżdżające samochody.

Warto również wspomnieć coś niecoś o społecznym statusie żebraków, gdy bowiem człowiek przebywa w ich towarzystwie i widzi, że nie różnią się od zwykłych ludzi, nie może nie bulwersować go osobliwy stosunek, jaki żywi do tych nieszczęśników reszta społeczeństwa. Zdaje się dominować opinia, iż zachodzi jakaś zasadnicza różnica między żebrakami a zwyczajnymi, „pracującymi” obywatelami. Żebracy tworzą osobną klasę — są oni wyrzutkami, tak jak przestępcy i prostytutki. Osoby żyjące z pracy „pracują”, a żebracy „nie pracują”, są pasożytami, bezwartościowymi do szpiku kości. Przyjmuje się za pewnik, iż żebrak nie „zarabia”, w przeciwieństwie do murarza czy też krytyka literackiego, którzy „zarabiają” na życie. Jest on po prostu naroślą na zdrowym organizmie społeczeństwa, osobnikiem wprawdzie tolerowanym, albowiem żyjemy wszak w czasach cywilizowanych, jednak z natury rzeczy godnym pogardy.

A jednak, gdy przyjrzeć się temu bliżej, nie widać zasadniczej różnicy między środkami utrzymania żebraka a środkami utrzymania niezliczonych szacownych osób. To prawda, twierdzi się, iż żebracy nie pracują, z drugiej jednak strony, czym właściwie jest praca? Praca robotnika polega na machaniu łopatą. Księgowy pracuje sumując liczby. Żebrak pracuje, przebywając na powietrzu w każdą pogodę i chorując przez to na żylaki, chroniczny bronchit — i tak dalej. Żebractwo jest zawodem jak każdy inny, oczywiście całkowicie bezużytecznym, ale przecież wiele poważnych zawodów także jest całkowicie bezużytecznych. Porównanie żebraka z przedstawicielami wielu innych profesji wypada dlań całkiem korzystnie. Jest on uczciwy, czego nie można powiedzieć o sprzedawcach większości patentowanych leków; jest szlachetny w przeciwieństwie do właściciela niedzielnej gazety; jest sympatyczny w porównaniu z domokrażcą sprzedającym towar na raty: krótko mówiąc, jest on wprawdzie pasożytem, ale pasożytem całkowicie nieszkodliwym. Rzadko udaje mu się wyprosić od społeczeństwa kwotę przewyższającą koszty skromnego utrzymania, datki spleca zaś, co powinno go usprawiedliwiać według naszych kryteriów etycznych, nieustannym cierpieniem. Sądzę, że nie istnieją jakiegokolwiek powody, dla których żebrak miałby należeć do osobnej klasy społecznej, czy też takie, które uprawniałyby większość osób do żywienia dlań pogardy.

Zgoda, nasuwa się jednak pytanie: dlaczego żebrakami się gardzi? — albowiem wszędzie żyją oni w pogardzie. Wydaje mi się, że przyczyna jest prosta: żebracy nie potrafią zarobić na przyzwoite życie. Nikogo praktycznie nie obchodzi, czy praca jest potrzebna, czy też nieprzydatna; czy jest ona pożyteczna, czy bezproduktywna — wymaga się tylko jednego: żeby przynosiła zysk. Czyż wszystkie te dzisiejsze dyskusje na temat energii, skuteczności, usług społecznych i całej reszty, są czymś innym niż wezwaniem: „Zarabiaj pieniądze, czyniąc to zgodnie z prawem, i zarabiaj ich dużo”. Najważniejszym kryterium stały się pieniądze. Żebracy nie spełniają wymagań tego kryterium i właśnie za to otaczani są pogardą. Gdyby można było zarobić żebraniną nawet dziesięć funtów tygodniowo, ręczę, iż stałaby się ona natychmiast poważnym zawodem. Żebrak, patrząc realistycznie, jest wyłącznie biznesmenem, zarabiającym na utrzymanie tak, jak to potrafi. On, w przeciwieństwie do większości ludzi, bynajmniej nie sprzedał swojego honoru, on po prostu popełnił błąd, wybierając taką profesję, w której wzbogacenie się jest niemożliwe.

32

Chciałbym teraz poczynić kilka uwag, jak najwięźlejszych, na temat londyńskiego slangu i przeklinania. Oto kilkanaście gwarowych słów (ominałem powszechnie znane) używanych obecnie przez londyńczyków:

*Gagger* — żebrak albo uliczny artysta jakiegokolwiek rodzaju. *Moocher* — ktoś, kto uprawia zwyczajną żebraninę, nie udając, iż coś sprzedaje. *Nobber* — ktoś, kto zbiera datki dla żebraka. *Chanter* — uliczny śpiewak. *Clodhopper* — uliczny tancerz. *Mugfaker* — uliczny fotograf. *Glimmer* — ktoś, kto na żądanie wzywa wolną taksówkę. *Gee* (albo *jee*, wymawia się *dii*) — wspólnik oszusta, udający przechodnia,

który odeń coś kupuje. *Split* — agent policyjny. *Flattie* — policjant. *Didecai* — Cygan. *Toby* — włóczęga. *Drop* — datek wręczony żebrakowi. *Funkum* — lawenda albo inne pachnidło sprzedawane w koperce. *Boozer* piwiarnia. *Slang* — koncesja straganiarza. *Kip* — miejsce do spania albo nocleg. *Smoke* — Londyn. *Judy* kobieta. *Spike* — schronisko dla włóczęgów. *Tosheroon* pół korony. *Deaner* — szyling. *Hog* — szyling. *Sprowsie* — sześć pensów. *Clods* — miedziaki. *Drum* menażka wykonana z puszki od konserw. *Shackles* zupa. *Chat* — wesz. *Hard-up* — tytoń wydłubany z niedopałków. *Stick* lub *cane* — łom włamywacza. *Peter* — sejf. *Bly* — palnik acetylenowo-tlenowy używany przez włamywacza. *Bawi* — ssać lub łykać. *Knock off* — kraść. *Skipper* — sypiać pod gołym niebem.

Mniej więcej połowę tych słów można znaleźć w obszerniejszych słownikach. Ciekawe byłoby ustalenie pochodzenia niektórych, choć w kilku wypadkach, na przykład *słowafimkum* czy też *tosheroon*, jest to niemożliwe. Słowo *deaner* pochodzi zapewne od słowa *denier*. *Glimmer* (wraz z czasownikiem *to glim*) może mieć coś wspólnego z dawnym słowem *glim* — światło, czy też z innym dawnym słowem *glim* — spojrzenie; mamy tu jednak do czynienia z tworzeniem nowych wyrazów, albowiem w obecnym znaczeniu słowo *glimmer* na pewno nie może być starsze od samochodów. *Gee* jest dziwnym słowem, najprawdopodobniej powstało ono z *gee* — koń, zaś dokładniej: koń maskujący obecność myśliwego zasadzającego się na zwierzynę. Nie sposób wyjaśnić pochodzenia wyrazu *screever*. Jego pierwotnym źródłosłowem może być łacińskie *scribo*, acz z drugiej strony angielszczyzna nie zna podobnego słowa od stu pięćdziesięciu lat, język nasz nie mógł go również przejąć bezpośrednio z francuskiego, ponieważ malujący na chodnikach artyści są we Francji nie znani. *Judy* i *bawi* należą do gwary z East Endu,

[obszar w Londynie ograniczony od zachodu dzielnicą City, od południa Tamizą, od wschodu autostradą A102M oraz rzeką Lea, od północy Victoria Park i Hackney Road, w dawnym Londynie zamieszkały w większości przez ludność ubogą, głównie robotniczą; także notoryczne siedlisko zbrodni i występku (działał tu m.in. Kuba Rozpruwacz). Poważnie zniszczony wskutek niemieckich nalotów bombowych podczas II wojny światowej. Obecnie znajdują się tu m.in. nowe, superluksusowe dzielnice mieszkaniowe położone na terenie dawnych nadrzecznych doków („Docklands”) (*przyp. tłum.*)]

nie słychać ich na zachód od Tower Bridge. Słowa *Smoke* używają wyłącznie włóczędzy. *Kip* pochodzi z języka duńskiego. Słowo *doss* było do niedawna używane zgodnie ze swoim właściwym znaczeniem, obecnie jednak, jak się zdaje, wyszło z obiegu.

Londyński slang i londyńska gwara wydają się ulegać szybkim zmianom. Dawny londyński dialekt opisany przez Dickensa i Surteesa

[Robert Smith Surtees (1803-1864), angielski pisarz i publicysta, autor m.in. humorystyczno-realistycznych opowiadań o przygodach londyńskiego sklepikarza, które podobno skłoniły K. Dickensa do napisania *Klubu Pickwicka*. Jego rodzajowe utwory cieszyły się dużą popularnością. Uchodzi za mistrza w tworzeniu komicznych postaci, w której to sztuce ustępował w swoich czasach jedynie Dickensowi. Jego utwory, osadzone w środowisku angielskich sportowców, sportsmenów i myśliwych, podobały się również ze względu na dowcipne i soczyste dialogi (*przyp. tłum.*)]

— w którym zamiast w wymawiało się v, zamiast v — w, i tak dalej — obecnie zanikł bezpowrotnie. Gwara *cockney*, w takiej postaci, w jakiej ją znamy, powstała, jak można się domyślać, w latach czterdziestych ubiegłego wieku (jej nazwa pojawia się po raz pierwszy w książce Hermana Melville'a „Biały kubrak”), a nawet ów *cockney* również się obecnie zmienia; już tylko garstka osób wymawia słowo *face* jako *fjjs*, słowo *nice* jako *naus* — i tak dalej, tak konsekwentnie jak wymawiano je dwadzieścia lat temu. Slang zmienia się wraz z akcentem. Na przykład dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat temu, krzykiem mody był w Londynie „slang rymujący”. Słowa i zwroty zastępowano wtedy takimi, które się z nimi rymowały — zamiast *kiss* mawiano zatem: *hit or miss*, zamiast *feet* — *plates of meat*, i tak dalej. Maniera ta tak dalece się rozpowszechniła, że pisarze kazali przestrzegać jej bohaterom powieści; obecnie jednak jest już niemal martwa

[przetwała w pewnych skrótach, na przykład *use your twopenny* (rusz dwupensówką) zamiast *use your head* (rusz głową). Oto skąd się wzięło słowo *twopenny*: *head* (głowa) — *loaf of bread* (bochenek chleba) — *twopenny loaf of bread* (dwupensowy bochenek chleba) — *twopenny* (dwa pensy) (*przyp. aut.*)]

Być może, iż za dwadzieścia lat wyjdą z użytku również wszystkie słowa, które tu wymieniłem.

Wyzwiska także się zmieniają — albo przynajmniej podlegają modzie. Na przykład dwadzieścia lat temu robotnicy londyńscy nałogowo używali słowa *bloody*. Obecnie całkowicie je zarzucili, choć w powieściach wciąż jeszcze każe się im posługiwać tym epitetem. Żaden londyńczyk z pochodzenia (w wypadku Szkotów czy też Irlandczyków rzecz ma się inaczej) nie użyje obecnie słowa *bloody*, chyba że odebrał jakieś wykształcenie. Wyraz ów praktycznie awansował w skali społecznej i utracił charakter wyzwiska używanego wyłącznie przez klasy pracujące. Rozpowszechnionym ostatnio w londyńskiej gwarze przymiotnikiem towarzyszącym każdemu rzeczownikowi jest *fucking*. Nie ulega wątpliwości, iż słowo to, podobnie jak słowo *bloody*, wejdzie do salonów, zaś jego miejsce zajmie jakieś inne słowo.

Wszystko co dotyczy przeklinania, a zwłaszcza przeklinania w języku angielskim, spowija mgła tajemniczości. Z samej istoty przeklinanie jest tak samo irracjonalne jak magia, bo też i jest ono rodzajem magii. Wiąże się z nim jednak pewien paradoks, oto i on: przeklinając, pragniemy oburzyć słuchaczy i urazić ich uczucia, osiągamy zaś ów cel wspominając o czymś, o czym zwykle się nie mówi



— zazwyczaj odnosi się to do czynności seksualnych. Zastanawiające jest jednak to, że ilekroć jakieś słowo zakorzeni się w roli wyzwiska, wydaje się tracić swoje pierwotne znaczenie; innymi słowy, traci „coś”, co nadało mu charakter przekleństwa. Słowo staje się nim, ponieważ oznacza ono pewną rzecz, ale że nabrało charakteru wyzwiska, przestało być jej odpowiednikiem. Na przykład *fucke*. Londyńczycy nie używają obecnie tego słowa, albo czynią to bardzo rzadko, w jego pierwotnym znaczeniu; wprawdzie mają je na ustach od rana do wieczora, służy ono im jednak już tylko do dopełniania zdań. To samo dotyczy słowa *bugger*, które szybko traci swój pierwotny sens. Można przytoczyć tu podobne przykłady z języka francuskiego, choćby słowo *foutre*, które obecnie jest już tylko zgoła nic nie znaczącym dopełnieniem retorycznym. Słowo *bougre* można również niekiedy usłyszeć w Paryżu, ale ci, którzy go używają, a przynajmniej ich większość, nie mają pojęcia, co oznaczało niegdyś. Jak się zdaje, regułą jest to, iż słowa, które się przyjęły jako przekleństwa, nabrały w pewnej mierze magicznego znaczenia, co powoduje, że stają się one odrębną grupą słów i nie sposób używać ich w potocznej rozmowie.

Słowa obelżywe zdają się podlegać tym samym paradoksalnym regułom, co przekleństwa. Można przypuszczać, iż słowo staje się obelgą, albowiem oznacza ono coś obraźliwego, jednak praktycznie wartość tego wyrazu jako obelgi niewiele ma wspólnego z jego treścią. Na przykład najgorszą obelgą, jaką można rzucić w twarz londyńczykowi, jest słowo *bastard*, które rozumiane dosłownie nie jest bynajmniej żadną obelgą. Kobiecie zaś, czy to w Londynie, czy w Paryżu, można straszliwie ubliżyć, nazywając ją „krową”, co brzmi niemal jak komplement, zważywszy, iż krowy należą do najmilszych zwierząt. Najwyraźniej słowo jest obelgą po prostu dlatego, że traktuje się je jako obelgę, zapominając o jego właściwym znaczeniu — zresztą o tym ostatnim (dotyczy to szczególnie słów obelżywych) i tak decyduje opinia ogółu. Warto prześledzić zmiany, jakim ulega obelga przekraczając granice państw. W Anglii zwrot *Je m'en fous* może pojawić się w druku i nikt nie zaprotestuje. Natomiast we Francji trzeba używać formy *Je m'enf...* Albo jako inny przykład weźmy słowo *barnshoot* — jest to zniekształcone słowo *bahinchut*, pochodzące z języka hindustani. W Indiach jest ono ohydną i niewybaczalną obelgą, ale w Anglii należy do repertuaru łagodnych docinków. Widziałem je nawet w podręczniku szkolnym, padło w jednej ze sztuk Arystofanesa, zaś autor przypisów zastąpił nim bezsensowny szwargot płynący z ust ambasadora Persji. Należy się domyślać, że ów komentator wiedział, co oznacza słowo *bahinchut*. Ponieważ jednak jest ono obcego pochodzenia, utraciło przeto swoje magiczne właściwości, nadające mu charakter obelgi, i mogło ukazać się w druku.

W Londynie można zauważyć jeszcze coś — otóż mężczyźni zwykle nie klną w obecności kobiet. W Paryżu jest zgoła inaczej. Paryski robotnik może i krępowałby się kłać w obecności kobiety, gdy jednak przychodzi co do czego, nie ma żadnych skrupułów; Francuzki także przeklinają do woli. Londyńczycy są w tym względzie bardziej uprzejmi albo też bardziej wrażliwi.

Oto i kilkanaście spostrzeżeń, jakie zanotowałem, zresztą w dosyć przypadkowej kolejności. Szkoda, że nikt ob-znajomiony z tym zagadnieniem nie prowadzi rocznika londyńskiego slangu oraz przekleństw, i nie rejestruje zachodzących zmian. Mogłoby to rzucić interesujące światło na powstawanie słów, ich rozwój oraz wymieranie.

33

Dwa funty otrzymane od B. wystarczyły mi na około dziesięć dni. To, że wystarczyły na tak długo, zawdzięczałem Paddy'emu, który przez całe lata włóczęgi wykształcił w sobie nawyk skąpca i uznawał nawet jeden solidny posiłek dziennie za przeraźliwą ekstrawagancję. Jedzenie przyjęło dlań po prostu postać chleba z margaryną — czyli nieśmiertelnego zestawu herbata-i-dwie-kromki--chleba, który pozwala oszukać głód przez godzinę lub dwie. Paddy nauczył mnie, jak żyć, jak się wyżywić, jak zdobyć spanie, tytoń — i tak dalej — za pół korony dziennie. Udawało mu się zarobić kilka dodatkowych szylingów wieczornym uprawianiem *glimmingu*, czyli wypatrywaniem wolnych taksówek dla gości hotelowych. Było to zajęcie ryzykowne, ponieważ nielegalne, przynosiło jednak nieco grosza, uzupełniając nasze zasoby.

Pewnego ranka spróbowaliśmy otrzymać zajęcie „człowieka-reklamy”. Wyruszyliśmy o godzinie piątej rano, ale w wąskiej uliczce na tyłach jakichś biur już oczekiwało w kolejce trzydziestu lub czterdziestu mężczyzn, zaś po dwóch godzinach oznajmiono nam, iż nie ma już pracy. Nie rozpaczaliśmy z tego powodu, albowiem zajęcie to nie jest godne pozazdroszczenia. „Człowiek-reklama” otrzymuje około trzech szylingów dziennie za dziesięć godzin pracy — na dobitkę ciężkiej pracy, zwłaszcza podczas wietrznej pogody; nie można się też nigdzie zadekować, ponieważ inspektor często sprawdza w czasie obchodu, czy wszyscy są na stanowiskach. Nie koniec na tym: ludzie najmowani są do tej pracy na jeden dzień, czasem na trzy dni, nigdy zaś na tydzień, co powoduje, iż muszą wyczekiwać godzinami każdego ranka, żeby ich ponownie zaangażowano. Z powodu dużej liczby bezrobotnych gotowych podjąć się tego zajęcia „ludzie-reklamy” są bezsilni i nie mogą wywalczyć sobie lepszego traktowania. Przedmiotem pragnień wszystkich „ludzi-reklam” jest rozdawanie ulotek, za co można otrzymać te same

pieniądze. Ilekroć, drodzy Czytelnicy, zobaczycie na ulicy człowieka rozdającego ulotki, zróbcie dobry uczynek biorąc jedną, ponieważ gdy rozda wszystkie, może zejść z posterunku.

Tymczasem prowadziliśmy schroniskowe życie — nędzne, jednostajne życie zdominowane przez przerażającą nudę. Całymi dniami nie mieliśmy nic do roboty, siadywaliśmy wtedy w kuchni, która mieściła się w piwnicy, czytając wczorajszą gazetę albo, gdy nie udało się jej zdobyć, stary numer „Union Jacka”. Łało wtedy jak z cebra i ubranie każdego przybysza parowało, toteż w kuchni cuchnęło diabelnie. Jediną rozrywką była spożywana regularnie herbata-i-dwie-kromki-chleba. Nie mam pojęcia, ile osób w Londynie prowadzi taki tryb życia — zapewne co najmniej tysiące. Co się tyczy Paddy'ego, nigdy od dwóch lat nie powodziło mu się tak dobrze jak wtedy. Gdy przerywał chwilowo włóczęgę, co miało miejsce, ilekroć kapnęło mu skądś kilka szylingów, zawsze oddawał się podobnym zajęciom; włóczęga była dlań czymś nieco tylko gorszym. Słuchając jego płacznego głosu — jeśli akurat nie jadł, zawsze mówił płacznym głosem — człowiek zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, jaką męczarnią musiało być dla tego Irlandczyka bezrobocie. Ludzie nie mają racji, twierdząc, że bezrobotnego martwi jedynie utrata zarobków — wprost przeciwnie, osoba pozbawiona wykształcenia, posiadająca wrodzony nawyk pracy, potrzebuje jej nawet bardziej niż pieniądze. Człowiek wykształcony potrafi się pogodzić z przymusową bezczynnością, która jest jednym z najgorszych nieszczęść, jakie niesie ze sobą bieda. Jednak ktoś taki jak Paddy — nie mający zielonego pojęcia, czym się zająć, żeby zabić wolny czas, gdy nie pracuje — jest tak nieszczęśliwy jak pies na łańcuchu. Właśnie dlatego nie ma sensu udawanie, iż tych, którzy „zeszli na dziady”, należy żałować bardziej aniżeli innych. W istocie rzeczy na prawdziwe współczucie zasługuje ktoś, kto przebywa na bruku od samego początku, apatycznie i bezradnie borykając się z biedą.

Wlokły się monotonne dni — niewiele już pamiętam z tamtego okresu, z wyjątkiem rozmów z Bozo. Pewnego dnia do naszego schroniska wtargnęły osoby parające się dobroczynnością. Akurat nie było nas wtedy z Paddym, a gdy wróciliśmy po południu, z piwnicy dobiegły nas dźwięki muzyki. Zeszliśmy po schodkach i ujrzeliśmy troje dobrze ubranych przybyszów — sądząc z wyglądu należeli do wyższych klas społecznych — odprawiających w naszej kuchni nabożeństwo. Byli tam poważny i czcigodny starszy pan w surducie, dama grająca na przenośnej fisharmonii oraz młodzieniec z cofniętym podbródkiem, dokonujący jakichś manipulacji krucyfiksem. Jak się okazało, weszli oni do nas i rozpoczęli odprawianie nabożeństwa bez żadnego zaproszenia.

Z przyjemnością obserwowałem, jak mieszkańcy schroniska przyjęli intruzów. Nie okazali im najmniejszej nie-grzeczności, po prostu ich ignorowali. Wszyscy obecni w kuchni — a była nas może setka — zawarli milczącą umowę, że będą się zachowywać tak, jakby przybysze nie istnieli. Ci ostatni stali cierpliwie, śpiewając pieśni religijne i udzielając nam napomnień, jednak nie zwracano na nich większej uwagi niż na kilka owadów. Starszy pan w surducie wygłaszał do nas kazanie, z którego nikt nie słyszał ani jednego słowa, wszystko bowiem zagłuszał codzienny gwar piosenek i przekleństw, połączony z brzękiem naczyń. Ludzie jedli i grali w karty o metr od fisharmonii, spokojnie ignorując instrument. Wreszcie cała trójka dała za wygraną i wyniosła się, nie obrzucona wyzwiskami, tylko zlekceważona. Nie ulega wątpliwości, że przybysze pocieszali się myślą, jacy byli dzielni „z własnej woli schodząc do najpodlejszych siedlisk łotrów” — i tak dalej, i tak dalej.

Bozo powiedział mi, iż ludzie ci odwiedzają schroniska kilka razy w miesiącu. Mieli stosunki w policji, toteż „zastępca” nie mógł ich wyprosić. Ciekawe, że jeśli czyjeś dochody spadają poniżej pewnego minimum, inni uznają, iż mają prawo wygłaszać doń kazania i odprawiać mu modły nad głową.

Po dziesięciu dniach dwa funty otrzymane od B. stopniały do kwoty jednego szylinga i dziewięciu pensów. Odłożyliśmy z Paddym osiem pensów na noclegi i wydaliśmy trzy pensy na nieśmiertelną herbatę-z-dwiema-kromkami-chleba; jedzeniem się podzieliłiśmy, toteż nie był to właściwie posiłek, a jedynie środek na pobudzenie apetytu. W południe odczuwaliśmy wilczy głód, ale Paddy przypomniał sobie o kościele opodal stacji King's Cross, gdzie raz na tydzień częstowano włóczęgów darmową herbatą. Akurat przypadał ów dzień, postanowiliśmy więc udać się na miejsce. Bozo nie chciał nam towarzyszyć, choć padał deszcz, a on sam był niemal bez grosza — twierdził, że kościoły nie są w jego stylu.

Przed kościołem oczekiwała setka mężczyzn, brudnych oberwańców, którzy na wieść o darmowej herbacie ścignęli ze wszystkich stron, niczym kanie zlatujące się do ścierwa. Otwarto drzwi, po czym duchowny oraz kilka dziewcząt zapędzili nas na chór. Był to kościół protestancki, posępny i brzydki jak nieszczęście; ściany przyozdobiono tekstami głoszącymi o krwi i ogniu, zbiór zaś hymnów liczył ich tysiąc dwieście pięćdziesiąt jeden; zapoznawszy się z niektórymi, doszedłem do wniosku, że zbiór ów mógłby znakomicie uchodzić za antologię kiepskich wierszy. Po herbacie zapowiedziano nabożeństwo; na dole zajęli już ławki parafianie. Ponieważ był dzień powszedni, wierni nie przybyli zbyt licznie, widziałem przeważnie starsze, żyłaste, przypominające nastroszone ptactwo kobiety. Usiedliśmy na ławkach i otrzymaliśmy herbatę, którą nalano nam do funtowych słoików po dzemie, każdemu z nas przypadło również sześć kromek chleba z margaryną. Gdy tylko posiłek dobiegł końca, kilkunastu włóczęgów,

którzy zajęli miejsca przy drzwiach, czmychnęło, żeby nie uczestniczyć w nabożeństwie; inni pozostali, nie tyle powodowani wdzięcznością, co tchórzostwem.

Na początku zahuczały kilkakrotnie organy, po czym rozpoczęło się nabożeństwo. Natychmiast, niczym na umówiony sygnał, włóczędzy zaczęli się zachowywać w sposób zaiste skandaliczny. Nikomu nawet przez myśl by nie przeszło, że podobne sceny można urządzać w kościele. Wszyscy zgromadzeni na chórze rozparli się w ławkach, rechotali, gawędzili między sobą, wreszcie wychylali się przez balustradę i ciskali w wiernych kulkami z chleba. Musiałem powstrzymać mojego sąsiada, na wpół prośbami, na wpół przemocą, przed zapaleniem papierosa. Włóczędzy uważali nabożeństwo za czystą farsę. Było ono już i tak wystarczająco śmiechu warte — z gatunku tych nabożeństw, w trakcie których wznosi się nagłe okrzyki: „alleluja!” i odmawia nie mające końca, improwizowane modlitwy — jednak to, co wyczyniali włóczędzy, przekraczało wszelkie granice. W gronie wiernych na dole znajdował się jakiś starszy facet — zwany Brat Bootle czy jakoś tak — którego często wzywano, żeby poprowadził z nami modlitwę, ilekroć jednak wstał, włóczędzy zaczynali tupać niczym w teatrze; usłyszałem, że poprzednio facet ów modlił się aż przez dwadzieścia pięć minut, dopóki mu nie przerwał pastor. Kiedy za którymś razem Brat Bootle podniósł się z miejsca, jakiś włóczęga krzyknął: — Stawiam dwa do jednego, że nie wytrwa siedmiu minut! — A wrzasnął tak głośno, że musiał go słyszeć cała kościół. Niebawem zagłuszyliśmy nawet pastora. Co pewien czas ktoś ze wzburzonych wiernych wykrzykiwał w górę „cisza!”, nie robiło to jednak na nikim żadnego wrażenia. Postanowiliśmy ośmieszyć nabożeństwo i nic nie mogło nas powstrzymać.

W kościele rozegrała się osobliwa, niesmaczna scena. Na dole garstka prostodusznych, życzliwych ludzi, usiłujących uczestniczyć w nabożeństwie, zaś na górze setka mężczyzn — których ci sami ludzie przed chwilą nakarmili z premedytacją uniemożliwiająca im to uczestnictwo. Wianuszek brudnych, zarośniętych gęb szczerzył z chóru zęby, kpiąc sobie w żywe oczy z wiernych. Co mogło zdziałać kilkoro starych kobiet i mężczyzn przeciw setce wrogo nastawionych do nich włóczęgów? Bali się nas, my zaś otwarcie znęcaliśmy się nad nimi. Była to nasza zemsta za upokorzenie, jakiego od nich doznaliśmy: nakarmili nas.

Pastor wykazał jednak odwagę. Bez zająknięcia wygłosił grzmiącym głosem długie kazanie o Jozuem, niemal nie zwracając uwagi na śmiechy i rozmowy na górze. Pod koniec jednak, doprowadzony najwidoczniej do ostateczności, wypowiedział donośnie te oto słowa:

— Ostatnie pięć minut tego kazania przeznaczonych jest dla uszu potępionych grzeszników!

Następnie podniósł głowę i nie spuszczał z nas oczu przez pięć minut, na wypadek gdyby zaistniały wątpliwości, kto ze zgromadzonych w kościele ma zostać zbawiony, kto zaś potępiony. Obchodziło nas to jednak tyle, co zeszłoroczny śnieg! Nawet gdy pastor groził nam ogniem piekielnym, zwijaliśmy skręty, a po ostatnim „amen” popędziliśmy schodami na dół, wrzeszcząc ile tylko sił w płucach; wielu z nas umawiało się za tydzień na następną darmową herbatę.

Całe zdarzenie zaintrygowało mnie. Włóczędzy zachowywali się bowiem inaczej, niż zachowują się na co dzień — bez śladu znikła ich nieszczelność, kundla wdzięczność, z jaką zwykle przyjmują jałmużnę z dobroczynności. Wyjaśnienie było proste: licznie przewyższaliśmy wiernych, toteż się ich nie baliśmy. Ktoś, kto przyjmuje pomoc, praktycznie zawsze nienawidzi swojego dobroczyńcy — jest to świadomy, ludzki odruch — gdy zaś czuje za sobą wsparcie pięćdziesięciu lub stu innych, nienawiść tę okazuje.

Tego samego dnia wieczorem Paddy nieoczekiwanie zarobił osiem pensów jako *glimmer*. Kwota ta pokrywała dokładnie koszt noclegu w schronisku, toteż ją odłożyliśmy i aż do godziny dziesiątej wieczór następnego dnia pozostaliśmy głodni. Bozo może i dałby nam coś do jedzenia, zniknął jednak na dobre. Chodniki były mokre od deszczu, poszedł więc do Elephant and Castle, dowiedział się bowiem, że jest tam miejsce do rysowania pod dachem. Miałem na szczęście przy sobie nieco tytoniu, toteż dzień zleciał jako tako.

O godzinie wpół do dziewiątej Paddy zaprowadził mnie na Bulwar Królowej Wiktorii, gdzie jakiś duchowny rozdawał raz w tygodniu darmowe bony na posiłki. Pod mostem Charring Cross oczekiwało pięćdziesięciu mężczyzn, ich postacie odbijały się w lśniących kałużach. Wygląd niektórych włóczęgów był wprost przerażający; sypiali oni pod gołym niebem na Bulwarze, a męty z tamtych okolic są jeszcze gorszą bandą aniżeli klienci schronisk. Pamiętam, że jeden z nich miał na sobie przepasany kawałkiem linki płaszcz bez guzików, złachane spodnie, buty, z których wyłaziły mu palce — i nic poza tym. Miał brodę niczym fakir, zaś klatkę piersiową i ramiona wysmarował sobie jakimś paskudnym, czarnym, przypominającym tran wielorybi mazidłem. Skrawki skóry na jego twarzy, które można było dostrzec spod skorupy brudu i gąszczu rozkudłonego zarostu, były blade jak papier z powodu jakiejś złośliwej choroby. Dosłyszałem, jak włóczęga ów coś mówi: miał niezły akcent — urzędnika czy też pracownika domu towarowego.

Niebawem ukazał się duchowny; na jego widok oczekujący ustawili się w kolejce w takim porządku, w jakim przybyli. Nasz dobroczyńca okazał się sympatycznym, pyzałym, młodym człowiekiem; skonstatowałem z rozbawieniem, że przypomina Charliego, mojego paryskiego przyjaciela. Był

nieśmiały i zakłopotany, rzucił nam tylko krótkie „dobry wieczór”, po czym po prostu przeszedł szybkim krokiem wzdłuż kolejki, wciskając każdemu w dłoń bon i nie czekając na podziękowania. W rezultacie przynajmniej ów jedyny raz okazaliśmy szczerą wdzięczność, każdy twierdził, że ów duchowny to fajny, p...ony facet. Ktoś nawet (jak mi się wydaje, jego słowa usłyszał rozdawca bonów) krzyknął: — Wiecie co, on n i g d y nie zostanie p...onym biskupem! — Co miało być, rzecz jasna, ciepłym komplementem. Bony opiewały na sześć pensów i można je było zrealizować w pobliskiej jadłodajni. Na miejscu przekonaaliśmy się, że właściciel, widząc, iż włóczędzy nie mają wyboru, oszukuje, wymieniając bony na żywność wartości jedynie czterech pensów. Oddaliśmy z Paddym nasze, otrzymując posiłek, który w większości jadłodajni kosztowałby siedem albo osiem pensów. Duchowny rozdał tych bonów na sumę znacznie przekraczającą funta, toteż właściciel musiał oszukiwać włóczęgów na siedem szylingów, albo i więcej, tygodniowo. Takie gnębienie stanowi nieodłączną część życia włóczęgi i ustanie dopiero wtedy, kiedy ludzie zamiast bonów na posiłki zaczną rozdawać pieniądze.

Wróciłem wraz z Paddym do schroniska; choć głód skręcał nam kiszki, postanowiliśmy posiedzieć jeszcze w kuchni, gdzie ciepło ognia zastępowało jedzenie. O godzinie wpół do dwunastej zjawił się Bozo, zmęczony i wymizerowany, ponieważ chodzenie było męką dla jego kalekiej nogi. Nic nie zarobił rysowaniem na chodniku, albowiem wszystkie stanowiska pod dachem zostały zajęte, więc przez kilka godzin zwyczajnie żebrał, cały czas bacząc, żeby nie dostrzegł go policjant. Zebrał w ten sposób osiem pensów — czyli o pensa mniej niż wynosił koszt noclegu. Dawno minęła już pora płacenia; nasz przyjaciel, wykorzystując moment nieuwagi „zastępcy”, zdołał wśliznąć się do środka, w każdej chwili jednak mógł zostać przyłapany i wyrzucony na ulicę, musiałby wtedy spać na Bulwarze. Bozo wyjął z kieszeni swoje rzeczy i zaczął je przeglądać, zastanawiając się głośno, co by tu sprzedać. Zdecydował się poświęcić brzytwę, poszedł więc do włóczęgów zgromadzonych w kuchni i niebawem sprzedał ją za trzy pensy — co wystarczyło na opłatę za nocleg, kubek herbaty i jeszcze pozostało mu pół pensa. Bozo otrzymał herbatę i usiadł przy ogniu, pragnąc osuszyć ubranie. Gdy popijał gorący napój, zauważyłem, że śmieje się sam do siebie, jak gdyby przypomniał sobie dobry dowcip. Zaskoczony zapytałem go, jaki ma powód do śmiechu.

— Śmieszne, a niech to cholera — odparł. — To się nadaje do „Puncha”. Czy pan wie, co zrobiłem najlepszego?

— Co takiego?

— Sprzedałem brzytwę nie ogoliwszy się wcześniej. Ale p...ony głupek ze mnie!

Nie miał nic w ustach od rana, szedł kilka mil, mając kaleką nogę, grzbiet okrywało mu przemoczone ubranie, zaś po wydaniu ostatniej połówki pensa czekał go głód. I w tej sytuacji potrafił się jeszcze śmiać po utracie brzytwy. Nie można go było nie podziwiać.

34

Nazajutrz rano, bez grosza przy duszy, opuściliśmy z Pad-dym schronisko. Skierowaliśmy kroki na południe, podążając Old Kent Road w kierunku Cromley: nie mogliśmy pójść do żadnego schroniska w Londynie, ponieważ Paddy spał ostatnio w jednym z nich i nie chciał ryzykować, korzystając ponownie z noclegu. Mieliśmy do przebycia szesnaście mil po asfalcie, na stopach porobiły się nam pęcherze, byliśmy też głodni jak wilki. Paddy przepatrywał chodniki, odkładając znalezione niedopałki z myślą o następnym pobycie w schronisku. Ostatecznie jego wytrwałość została wynagrodzona, albowiem znalazł pensa. Kupiliśmy duży kawał czerstwego chleba i pożeraliśmy go, nie przerywając marszu.

Po przybyciu do Cromley okazało się, że jest zbyt wcześnie, by udać się na nocleg w schronisku, toteż przeszliśmy jeszcze kilka mil, docierając do niewielkiego skupiska drzew rosnących opodal łąki, gdzie można było usiąść i odpocząć. Miejsce to było stałym karawanserajem łaziorów, o czym świadczyła wygnieciona trawa, przemoczone płachty gazet i zardzewiałe puszki po konserwach. Pojedynczo i dwójkami przybywali inni włóczędzy. Była piękna, jesienna pogoda. Opodal rósł gęsto wrotycz, nawet dziś czuję w nozdrzach jego ostrą woń gryzącą się ze smrodem obszarpańców. Na łące dwoje żrebiąt pospolitej rasy, o sierści barwy nie wypalonej sjeni, białych grzywach i ogonach, skubało trawę przy bramie. Rozciągnęliśmy się na ziemi, spoceni i zmęczeni. Ktoś wyszukał suche patyki i rozpałił ognisko, puszczono w ruch blaszaną „manierkę” i wszyscy napiliśmy się herbaty bez mleka.

Niektórzy włóczędzy zaczęli snuć opowieści. Jeden z nich, Bili, był ciekawą postacią, prawdziwym, krępkim żebrakiem starej szkoły, silnym jak Herkules, zapamiętałym wrogiem każdej pracy. Przechwalał się, że dzięki swojej sile mógłby w każdej chwili *znaleźć* zatrudnienie w charakterze robotnika, po otrzymaniu jednak pierwszej tygodniówki wpadał, jak sam twierdził, w straszliwy ciąg pijacki, a więc go zwalniano. Ilekroć pozostawał bez zajęcia, „sepił”, naciągając przeważnie sklepikarzy. Tak o tym opowiadał:

— Daleko w tym za...nym Kent człowiek nie zajędzie. Kent to parszywa dziura, niech ją cholera weźmie. Za dużo tutaj sepiących. Ci za...ani piekarze prędzej wyrzucą chleb, niż ci go dadzą. Oksford — o, to jest niekiepskie miejsce na sepienie, kławe miejsce. Jakem był w Oksfordzie, to od studentów sepiłem

chleb, boczek, mięso, a co wieczór wciskali mi jeszcze w łapę kilka szylingów na opłacenie kimy. Ostatnio zabrakło mi na to dwóch pensów, więc idę do księdza i chcę wysepić od niego trzy pensy. A on daje mi trzy pensy i za chwilę idzie na policję z pyskiem na mnie, że niby żebrzę. „Zebrałeś, bratku” — mówi do mnie gliniarz. „Skądże — odpowiadam — pytałem tylko tego dżentelmena, która godzina”. Gliniarz zaczyna mnie macać i wyciąga mi spod płaszcza funt miecha i dwa bochenki chleba. „No, a co to jest? — pyta. — Pójdiesz ze mną na posterunek”. Dostałem siedem dni paki. Od tamtej pory nigdy nie sepię u za...anych klechów. Ale, na litość Boską — co to dla mnie tygodniowa odsiadka? — i tak dalej, i tak dalej.

Wyglądało na to, że upływało mu tak całe życie — na „sepieniu”, picu alkoholu i odsiadkach. Opowiadając o swoich przeżyciach, przez cały czas zaśmiewał się, uznając je za coś niebywale zabawnego. Raczej się nie dorobił na żebraniu, albowiem miał na sobie jedynie sztruksowy garnitur, szalik i czapkę — ani skarpetek, ani bielizny. Mimo wszystko był tłusty i wesoły, a nawet zalaatywało od niego piwem, co obecnie zdarza się wśród włóczęgów niezmiernie rzadko.

Dwóch włóczęgów przebywało ostatnio w schronisku w Cromley; uraczyli nas związaną z tym miejscem opowieścią o duchach. Kilka lat temu ktoś miał tam popełnić samobójstwo. Jakiś włóczęga przeszmuglował do celi brzytwę i poderznął sobie gardło. Rankiem, gdy Funkcyjny dokonywał obchodu, okazało się, że ciało samobójcy blokuje drzwi: aby je otworzyć, lokatorzy byli zmuszeni złamać nieboszczykowi rękę. Mszcząc się za to, duch zmarłego nawiedzał celę: każdy, kto spędził w niej noc, umierał w ciągu roku — oczywiście były liczne przypadki takich zgonów. Jeśli przeto drzwi celi nie dają się otworzyć, należy unikać takiego miejsca jak zaraźliwej choroby, ponieważ jest ono nawiedzane przez ducha.

Dwóch innych włóczęgów, byłych marynarzy, również opowiedziało wstrząsającą historię. Jakiś człowiek (przysięgali, że znali faceta) chciał się ukryć na statku płynącym do Chile. Na statek ładowano towary zapakowane do wielkich, drewnianych pojemników; korzystając z pomocy dokera, nieszczęśnik ów ukrył się w jednym z nich. Doker pomylił jednak kolejność ładowania pojemników. Dźwig podniósł ten, w którym ukrywał się blinda, i opuścił pakunek — na samo dno ładowni; potem ułożono na nim setki podobnych. Nikt nie miał pojęcia, co zaszło, aż do końca rejsu, kiedy to odnaleziono rozkładającą się zwłoki uduszonego pasażera na gapę.

Inny włóczęga uraczył nas opowieścią o szkockim bandycie Gilderoyu.

[postać na wpół legendarna. Szkocki (choć niekiedy też irlandzki) słynny rozbójnik z XVIII w., bohater ballad ludowych — niektóre są jeszcze wcześniejsze (XIV i XVII w.), podają też rozmaite, często sprzeczne, szczegóły dotyczące jego osoby. W najsynniejszej pseudonimu tego miał używać niejaki Patrick McGregor, który jakoby obrabował francuskiego kardynała Richelieu, obciął niepostrzeżenie sakiewkę Cromwellowi i powiesił sędziego. Zdradzony przez kochankę, podczas oblawy zamordował ją oraz kilkunastu żołnierzy, po czym (w 1636) został powieszony. Według innych źródeł („Complete Newgate Calendar”), pewien bandyta, niejaki Gilder-Roy, zabił swoją matkę i siostrę, powiesił sędziego i zginął na szafocie w 1658 r. (przyp. tłum.)]

Bandyta ów otrzymał wyrok śmierci przez powieszenie, ale zbiegł, schwytał sędziego, który wydał wyrok, po czym (dzielnym facet!) własnoręcznie powiesił drania. Oczywiście włóczędzy słuchali tej opowieści z ukontentowaniem, zastanawiające jednak było to, że wszystko się im pomieszało. Zgodnie z ich wersją, Gilderoy zbiegł do Ameryki, podczas gdy w rzeczywistości znów go schwymano i skazano na śmierć. Fabułę zmieniono, i to na pewno celowo; podobnie dzieci „poprawiają” opowieści o Samsonie i Robin Hoodzie, wprowadzając do nich szczęśliwe zakończenia, będące czystą fantazją.

Opowieść o Gilderoyu sprawiła, iż włóczędzy zaczęli rozmawiać o historii: jakiś wiekowy starzec utrzymywał, iż „prawo jednego ugryzienia” [chodzi o rzekome staroangielskie prawo, według którego pies mógł bezkarnie ugryźć człowieka tylko raz; po drugim ugryzieniu należało go zabić (przyp. red.)] jest pozostałością z czasów, kiedy to możni panowie zamiast na jelenie polowali na ludzi. Niektórzy śmieli się z tego, jednak starzec upierał się, iż tak właśnie było. Słyszał on także o Ustawach Zbożowych [Corn Laws, restrykcyjne przepisy dotyczące importu i eksportu zboża do i z Wysp Brytyjskich; obowiązywały m.in. w XVIII i w pierwszej połowie XIX w., kiedy to w Anglii odczuwano niedobór zboża spowodowany blokadą napoleońską. Ostatnią zniesiono w 1846r. (przyp. tłum.)] oraz o *ius primae noctis* (był święcie przekonany, iż prawo to obowiązywało), również o angielskiej Wojnie Domowej; twierdził, że była to rewolta ubogich skierowana przeciw bogaczom — być może pomylił ją z rewoltami chłopskimi. Wątpię, czy staruszek ów umiał czytać, z pewnością nie powtarzał on również treści artykułów gazetowych. Strzępy historii, które znał, przekazywały sobie pokolenia włóczęgów, w niektórych wypadkach być może od stuleci. W jego opowieściach tliła się tradycja ustnego przekazu, niczym wąż echo średniowiecza.

Znaleźliśmy się z Paddym w schronisku o godzinie szóstej po południu, opuściliśmy je zaś o dziesiątej rano. Schronisko mocno przypominało budynki w Romton i Ed-bury i nie zauważyliśmy żadnych duchów. Wśród włóczęgów było dwóch młodzieńców o imionach William i Fred, byłych rybaków z Norfolk; obaj byli weseli i lubili sobie zaśpiewać. Mieli w repertuarze piosenkę „Nieszczęsna Bella”, której słowa warto przytoczyć. Przez następne dwa dni śpiewali ją z sześć razy, toteż nauczyłem się jej na pamięć, z wyjątkiem linijki czy dwóch, których treści się domyślałem. Piosenka brzmiała tak:  
*Bella była młoda, serce miała czyste, Oczęta jak chabry i włosy złociste, O, nieszczęsna Bella!*

*Zwiewna była jak motyl, jak ptak świergotała, Lecz niestety, niestety, zbyt ludziom ufała, Miała kawalera, wpadła z nim straszliwie, Skrzywdził ją okrutnik, podlec, niegodziwiec.*

*Dziewczęciem jeszcze była, przeto nie wiedziała, Że świat jest brutalny, a mężczyźni łgają, O, nieszczęsna Bella!*

— *Mój luby — tak rzekła — spełni swą powinność, Ożeni się ze mną, wszak wziął mą niewinność,*

— *Zabrał on ci serce, o dziewczę naiwne, Okrutnik, szubrawiec, podlec, niegodziwiec.*

*Poszła więc do niego, a tu sprawa taka, Łotr spakował manatki, no i dał drapaka. Krzyczy gospodyni: — Precz stąd, diabłaś warta, Nie ma u mnie miejsca dla dziwki z bękartem.*

— *Zranił biedną Bellę, odtrącił zdradliwie, Okrutnik, szubrawiec, podlec, niegodziwiec.*

*Noc całą głębokie śniegi przemierzała, Nikt nigdy się nie dowie, ile wycierpiała, O, nieszczęsna Bella! A gdy poranna zorza niebo wyzłociła, Biada, biada ci, Bello, tyś martwa już była, Zrabował ci młodość, postąpił fałszywie, Okrutnik, szubrawiec, podlec, niegodziwiec.*

*Sami tedy wiecie, że nic się nie zmienia,*

*Owoce grzechu były i będą cierpienia,*

*O, nieszczęsna Bella!*

*Już dziewczyna bez ducha w mogile spoczywa,*

*Mężczyźni powtarzali: — Cóż, tak w życiu bywa.*

*Lecz kobiety nad trumną zanuciły dla niej:*

— *Wszystkiemu winne chłopcy, szachraje i dranie.*

Możliwe, że autorką była kobieta.

William i Fred, ci co śpiewali tę piosenkę, byli parą obwiesiów co się zowie; przez takich jak oni włóczędzy mają jak najgorszą opinię. W jakiś sposób dowiedzieli się, iż Funkcyjny w Cromley dysponuje zapasem starej odzieży przeznaczonej do rozdania będącym w potrzebie lokatorom. Przed wejściem do schroniska William i Fred zdjęli buty, spruli na nich szwy i poodcinali kawałki zelówek, doprowadzając obuwie niemal do ruiny. Zgłosili się do Funkcyjnego z prośbą o dwie pary butów, tamten zaś, widząc, co mają na nogach, dał im prawie nowe. Rankiem byli rybacy nie zdążyli jeszcze na dobre opuścić schroniska, a już przehandlowali dopiero co otrzymane buty za szylinga i dziewięć pensów. Uznali, że za szylinga i dziewięć pensów warto niemal doszczętnie zniszczyć własne obuwie.

Opuściwszy schronisko, wszyscy skierowaliśmy się na południe; człapiącą ociężałą procesją podążaliśmy ku Lower Binfield i Ide Hill. Po drodze między dwoma włóczęgami wybuchła bójka. Pokłócili się poprzedniego wieczora (idiotyczny *casus belli* dotyczył tego, że jeden powiedział drugiemu: „łżesz”, co zostało zrozumiane jako „bolszewik” [gra słów, polegająca na podobnej ich wymowie przez osoby niewykształcone; w oryg. „bull shit” („łgarstwo”, „bzdura”) i „Bolshevik” (*przyp. tłum.*)], które to słowo jest śmiertelnie obraźliwym wyzwiskiem), a teraz postanowili rozstrzygnąć spór pięściami. Kilkunastu włóczęgów pozostało w tyle, żeby obserwować pojedynek. Utkwił mi on w pamięci z jednego powodu — oto pobity człowiek przewrócił się i spadła mu czapka: ujrzałem wtedy, że jest całkiem siwy. Kilku z nas wtrąciło się wtedy i zażegnało bijatykę. Tymczasem Paddy prowadził swoje prywatne śledztwo — dowiedział się, iż powodem kłótni była, jak zwykle, odrobina jedzenia wartości kilku pensów.

Przybyliśmy do Lower Binfield bardzo wcześnie, toteż Paddy wypełnił czas obchodzeniem tylnych wejść domów i wypytywaniem o jakąś robotę. W jednym z domów dano mu do porąbania na opał kilka skrzyń, on zaś powiedział, że jest z kolegą, przyprowadził mnie i rąbaliśmy skrzynie razem. Po skończonej pracy właściciel domu kazał służącej wynieść nam po kubku herbaty. Pamiętam, jak zastrachana kobiecina niosła nam napój, by wreszcie, gdy opadły z niej resztki odwagi, postawić kubki na ścieżce, czmychnąć piorunem z powrotem i zatrzasnąć się w kuchni. Oto jak groźnie brzmi słowo: włóczęga. Zapłacono nam po sześć pensów na głowę; po zakupie trzypensowego bochenka chleba i połowy uncji tytoniu pozostało nam pięć pensów.

Paddy twierdził, iż rozsądniej będzie zagrzebać nasze pięć pensów w ziemi, ponieważ Funkcyjny w Lower Binfield miał reputację tyrańca i mógł nas nie wpuścić do schroniska, gdyby wyszło na jaw, że posiadamy jakieś pieniądze. Zagrzebywanie pieniędzy jest wśród włóczęgów powszechną praktyką. Jeśli decydują się na przemycenie znacznej sumy do schroniska, zwykle zaszywają ją w ubraniu, co oczywiście, gdyby sprawa się wydała, może oznaczać pobyt w więzieniu. Paddy i Bozo opowiadali świetną historię z tym związaną. Otóż pewien Irlandczyk (Bozo twierdził, że był to Irlandczyk, Paddy — że Anglik), bynajmniej nie włóczęga, posiadacz trzydziestu funtów, znalazł się w niewielkiej wiosce, gdzie nie otrzymał noclegu. Zagadnął jakiegoś włóczęgę, który doradził mu, żeby przenocował w miejscowym przytułku. Często się zdarza, iż jeśli ktoś nie ma noclegu, udaje się do przytułku, płacąc za łóżko umiarkowaną cenę. Jednak Irlandczyk postanowił być cwany i nic nie zapłacić, powiedział więc Funkcyjnemu, iż jest zwykłym trampem. Trzydzieści funtów zaszył w fałdach ubrania. Tymczasem włóczęga dostrzegł swoją szansę, po czym tego samego wieczora wziął Funkcyjnego na stronę i poprosił go o pozwolenie opuszczenia schroniska wczesnym rankiem, gdyż — jak tłumaczył — ma umówione spotkanie w sprawie pracy. O godzinie szóstej rano został wypuszczony i wyszedł — tyle że

w odzieży Irlandczyka. Ten ostatni wniósł skargę o kradzież i otrzymał trzydzieści dni paki za wchodzenie do schroniska podstępem.

35

Po przybyciu do Lower Binfield leżeliśmy przez dłuższy czas pokotem na trawie, obserwowani przez wieśniaków stojących przy furtkach swoich gospodarstw. Zjawili się miejscowy pastor z córką: postali przez chwilę, patrząc na nas w milczeniu, jakbyśmy byli rybami w akwarium, po czym odeszli. Było nas kilkadziesiąt osób, w tym William i Fred, obaj z piosenką na ustach, dwaj włóczędzy, którzy wcześniej się pobili, a także złodziejaszek Bili. „Sępił” chleb od piekarzy, toteż miał spory zapas czerstwego pieczywa, które wciskał między płaszcz a gołe ciało. Ku naszemu zadowoleniu częstował nas tym chlebem. Była również w gromadzie kobieta, pierwsza kobieta-tramp, jaką widziałem. Dość tęga, obszarpana, bardzo brudna sześćdziesięciolatka; nosiła długą, zbyt obszerną czarną suknię. Przybierała pozę wielkiej damy, ilekroć zaś ktoś usiadł obok, prychała pogardliwie i przesuwała się dalej. — Dokąd to, p'sze pani? — zapytał ją głośno któryś z włóczędów.

Kobieta prychnęła tylko i popatrzyła w innym kierunku.

— Ejże, p'sze pani — powiedział włóczęga — więcej uśmiechu. Wszyscy jedziemy na jednym wózku.

— Dziękuję wam, człowieku — wycedziła kobieta — jeżeli zechcę zadawać się towarzysko z bandą w ł ó c z ę g ó w, nie omieszkać was o tym powiadomić.

Uśmiechnąłem się, słysząc, jak wymawia słowo „włóczędów”. W jednej chwili ukazała mi się jak na dłoni jej dusza, maleńka, głupiutka babska duszyczka, której nic nie nauczyły całe lata włóczęgi. Owa kobieta była niewątpliwie szacowną wdową, zaś do włóczęgotwa popchnął ją jakiś tragikomiczny zbieg okoliczności.

Schronisko otwierano o godzinie szóstej. Przypadała akurat sobota, toteż mieliśmy być zamknięci w budynku aż do końca weekendu, co jest zwykłą praktyką; nie znam przyczyn takiego postępowania, chyba że w grę wchodzi niewyraźne przeświadczenie, iż niedziela sprzyja popełnianiu niegodziwych czynów. Podczas wpisywania nas do rejestru podałem swój zawód jako „dziennikarz”. Było to wprawdzie bardziej zgodne z prawdą aniżeli „malarz”, ponieważ niekiedy otrzymywałem wierszówkę za pisywanie artykułów do gazet, niemniej jednak palnąłem chyba głupstwo, albowiem narażałem się w ten sposób na dodatkowe pytania. Gdy tylko znaleźliśmy się wewnątrz schroniska i sformowaliśmy kolejkę do rewizji, funkcyjny wywołał moje nazwisko. Był on sztywnym facetem około czterdziestki, miał w sobie coś z wojskowego, jednak nie wyglądał na tak straszliwego tyrana, jak opowiadano, okazał się tylko, jak to były żołnierz, szorstki w obejściu. Rzucił ostro:

— Który z was jest Blank? (Zapomniałem, jakie podałem nazwisko).

— To ja, proszę pana.

— Więc jesteście dziennikarzem?

— Tak, proszę pana — odpowiedziałem, drżąc na całym ciele. Kilka pytań mogło zdemaskować moje kłamstwo, co oznaczałoby może nawet więzienie. Jednak Funkcyjny spojrzał tylko badawczo i zapytał:

— Jesteście dżentelmenem?

— No cóż, chyba tak — odpowiedziałem.

Obrzucił mnie jeszcze raz spojrzeniem. — O, to rzeczywiście masz pan cholernego pecha — rzekł — tak, tak, cholernego pecha. — Po tej rozmowie zaczął mnie niezastulenie wyróżniać, a nawet darzyć jakimś szacunkiem. Nie przeszukiwał mnie, a w umywalni nawet dał mi czysty ręcznik wyłącznie do mojego użytku — był to niesłychany luksus. Taką moc ma dla starego żołnierza słowo „dżentelmen”.

O godzinie siódmej przełknęliśmy już posiłek składający się z chleba i herbaty, po czym wyprowadzono nas do cel. Spaliśmy tam pojedynczo, a ponieważ do pomieszczeń wstawiono gołe, żelazne łóżka, na których leżały sienniki, każdy powinien się porządnie wyspać.

Nic jednak z tego nie wyszło, w każdym bowiem schronisku z czymś zawsze jest nie tak, a wadą schroniska w Lower Binfield było panujące tu zimno. Władze schroniska odcięły dopływ gorącej pary do rur grzejnych, zaś dwa koce, które każdy z nas otrzymał, były z cienkiej bawełny, toteż okazały się prawie bezużyteczne. Wprawdzie była dopiero jesień, lecz panował dojmujący chłód. Przez całą długą, dwunastogodziną noc człowiek przewracał się z boku na bok, zasypiał na dziesięć minut i budził się przemarznięty na kość. Nie mogliśmy palić, ponieważ tytoń, jaki udało się nam przeschmuglować, znajdował się w ubraniach, te zaś mieliśmy odebrać dopiero rankiem. W całym korytarzu rozlegały się jęki, a niekiedy głośne przekleństwa. Nikt, jak sądzę, nie zdołał zasnąć na dłużej niż dwie godziny.

Rano, po śniadaniu i kontroli lekarskiej, Funkcyjny zagonił nas do sali jadalnej, której drzwi zatrzasnął od zewnątrz. Była to sala o ścianach bielonych wapnem i kamiennej posadzce, pomieszczenie niesłychanie ponure ze swymi zbitymi z desek stołami i ławami oraz iście więziennym zapachem. Okna znajdowały się tak wysoko, że nie sposób było wyjrzeć na zewnątrz, jedyną zaś ozdobę stanowił zegar oraz tablica z „Przepisami”. W sali panował taki ścisk, że nikt nie mógł nawet poruszyć łokciem; byliśmy śmiertelnie znudzeni tą niewolą, choć nie minęła jeszcze godzina ósma. Nie było co robić, nie było o

czym rozmawiać, brakowało nawet miejsca, żeby się poruszyć. Jediną pociechę stanowiło to, że mogliśmy palić, albowiem na palenie patrzono przez palce, dopóki kogoś na nim nie złapano. Scotty, niski, kudłaty włóczęga — mówiący dziwnym akcentem, który brzmiał jakby powstał gdzieś pod Glasgow, ale też zajeżdżał londyńskim *cockneyem* — nie miał ani żdźbła tytoniu, ponieważ wypełniona niedopałkami puszka wypadła mu z buta podczas rewizji i została skonfiskowana. Odstąpiłem mu trochę własnego tytoniu i bibułkę. Paliliśmy ukradkiem jak sztubaki, chowając papierosy na każdy odgłos kroków Funkcyjnego.

Większość włóczęgów spędziła w tej niewygodnej, posępnej sali dziesięć bitych godzin. Trudno sobie wprost wyobrazić, jak mogli to wytrzymać. Miałem znacznie więcej szczęścia od innych, ponieważ o dziesiątej Funkcyjny wybrał kilku z nas do rozmaitych zajęć, mnie zaś przypadło najbardziej pożądane, a mianowicie pomoc w kuchni obsługującej baraki, w których innych nędzarzy zatrudniano przy rozmaitych pracach. To, oraz ów czysty ręcznik, zawdzięczałem urokowi słowa „dzentelmen”.

W kuchni nie mieli dla mnie żadnej roboty, toteż dałem nogę i poszedłem do szopy, gdzie przechowywano ziemniaki — razem ze mną znalazło się w niej kilku biedaków, którzy tutaj bumelowali, bo chcieli się urwać z niedzielnego nabożeństwa porannego. W szopie stały jakieś skrzynki, na których można było wygodnie usiąść, wałały się stare numery „Family Herald”, znalazłem nawet egzemplarz książki o Rafflesie — dzentelmenie włamywaczu: pochodziła z tutejszej biblioteki. Obijający się w szopie nędzarze opowiadali interesujące rzeczy na temat życia w przytułku. Powiedzieli mi między innymi, że czymś, czego lokatorzy nienawidzą najbardziej, gdyż stanowi ich zdaniem stygmat dobroczynności, otóż tym czymś jest jednolite przydziałowe ubranie. Gdyby bowiem każdemu pozwolono nosić własne rzeczy, a choćby tylko czapkę i szalik, nikt nie odczuwałby tak dotkliwie tego, że jest biedakiem. Zjadłem taki obiad, jaki otrzymywali zatrudnieni; był to obiad przeznaczony chyba dla boa dusiciela — jeden z najobfitszych posiłków, jaki zjadłem począwszy od mojego pierwszego dnia pracy w Hotel X. Obijający się w szopie nędzarze powiedzieli mi, że w niedziele zawsze obzerają się tak, że aż pękają, a przez sześć pozostałych dni tygodnia chodzą głodni. Po posiłku kucharz zapędził mnie do zmywania i kazał wyrzucać przyniesione z baraków resztki jedzenia. Ilość tych resztek była zadziwiająca, zaś zważwszy na okoliczności, wołająca o pomstę do nieba. Sterty nie dojezonych porcji mięsa, kubły pełne chleba i jarzyn wszystko zsypywano do pojemników na odpadki i jeszcze rzucano na wierzch wyparzone liście herbaty. Wypełniłem po brzegi pięć pojemników pełnowartościowym pożywieniem. Tymczasem pięćdziesięciu moich kompanów-włóczęgów siedziało w schronisku, mając w żołądkach nędzny obiad składający się z chleba z serem i może na dokładkę — bo była niedziela — z dwóch zimnych, gotowanych kartofli. Zdaniem nędzarzy żywność marnowano tam rozmyślnie, zamiast przeznaczyć ją dla głodnych włóczęgów.

O godzinie trzeciej powróciłem do schroniska. Włóczędzy siedzieli tam od ósmej zbici w gromadę, a teraz na wpół umierali z nudów. Skończyło się nawet palenie papierosów, tytoń włóczęgów pochodził bowiem z zebranych niedopałków, a każdy tramp doznaje uczucia głodu papierosowego, jeśli pozbawić go na więcej niż kilka godzin dostępu do chodnika. Większości włóczęgów tak doskwierała nuda, że nawet nie silili się na rozmowę, siedzieli po prostu ciasno na ławkach, a ich zarośnięte gęby co chwila rozdziawiały się jak wrota w szerokich ziewnięciach. W sali śmierdziało *ennui*.

Paddy'emu zebrało się na płaczące narzekania, albowiem bolał go grzbiet od twardego oparcia, ja zaś dla zabicia czasu zacząłem rozmawiać z jakimś włóczęgą o wyglądzie cokolwiek przyzwoitszym niż inni; był to młody stolarz, który nosił kołnierzyk i krawat, a prowadził takie życie, bo — jak tłumaczył — nie miał narzędzi. Zachowywał jakby niewielki dystans wobec pozostałych i uważał się raczej za wolnego człowieka niż za przymusowego klienta schronisk i przytułków. Posiadał także pewne zainteresowania literackie i zawsze nosił przy sobie „Kwintyna Durwarda” Waltera Scotta. Opowiadał mi, że nigdy nie korzysta ze schroniska, chyba że zmusi go do tego głód, a sypiać woli pod żywoplotami i w stogach. Wędrował po południowym wybrzeżu Anglii; niekiedy całymi tygodniami za dnia zebrał, noce zaś przesypiał w plażowych kabinach na kółkach [jeszcze do I wojny światowej służyły one kobietom, które na kąpieliskach nadmorskich schodziły do wody bezpośrednio z nich (często z dziećmi), ukryte przed wzrokiem mężczyzn. Kabinę te wtaczano do morza, na płytką wodę, za pomocą koni (*przyp. tłum.*)].

Rozmawialiśmy o życiu włóczęgów. Stolarz krytykował system, z którego winy przeciętny tramp spędza czternaście godzin na dobę w schronisku, a przez pozostałe dziesięć przymusowo łązikuje i kryje się przed policją. Opowiadał o sobie: otóż przesiedział sześć miesięcy z oskarżenia publicznego, bo nie posiadał narzędzi wartości trzech funtów. Cała ta sprawa — jak twierdził — była idiotyczna.

Powiedziałem mu o marnotrawieniu żywności w kuchni, dodałem też, co o tym myślę. I tu mój rozmówca natychmiast zmienił ton. Spostrzegłem, że rozbudziłem w nim małego hipokrytę, który drzemie w każdym angielskim robotniku. Choć głodował jak inni, od razu znalazł powody, dla których jedzenie musiano wyrzucać, zamiast wydawać je włóczęgóm. Zganił mnie bardzo ostro.

— A co pan myśli — filozofował — przecież muszą tak robić. Gdyby w tych wszystkich schroniskach i przytułkach żyło się zbyt wygodnie, natychmiast znalazłaby się w nich cała szumowina z okolic. Te męty odstrasza tylko podłe jedzenie. Włóczędzy są zbyt leniwi, żeby pracować, w tym cała rzecz. Zachęcać



ich do roboty? Prózna fatyga. Panie, toż to szumowiny.

Wysunąłem argumenty, żeby przekonać go, że nie ma racji, ale stolarz nie chciał słuchać i w kółko powtarzał:

— Nie wolno żałować tych włóczykijów, bo to szumowiny. Nie wolno sądzić ich według tej samej miary, co pana czy mnie. To wszystko szumowiny, po prostu szumowiny.

Zastanawiające, że tak subtelnie stawiał siebie samego wyżej niż „tych włóczykijów”. Był włóczęgą od sześciu miesięcy, wszakże tam, na górze — jak dawał do zrozumienia — Bóg dobrze wiedział, że bynajmniej nim nie jest. Myślę, że znalazłoby się wielu włóczęgów, którzy dziękują Bogu za to, że nie są włóczęgami. Przypominają w tym więźniów wyrażających się zjadliwie o innych więźniach.

Leniwie upłynęły trzy godziny. O szóstej przyniesiono kolację, ale posiłek okazał się zupełnie niejadalny; chleb — już przecież rano prawie do niczego (pokrojono go na porcje w sobotę wieczór) — był tak czerstwy, jak suchary jadane dawniej na okrętach. Na szczęście kromki posmarowano tłuszczem, toteż zeskrobaliśmy go i zjedliśmy, co było lepsze niż nic. Kwadrans po szóstej zapędzono nas do łóżek. Napływali nowi włóczędzy, żeby zaś nie mieszać ze sobą grup trampów przybyłych w różnych dniach (z obawy przed chorobami zakaźnymi), przybyszów rozlokowano w celach, a nas w salach sypialnych. Nasza sala była wielgachna jak stodoła, ustawiono w niej ciasno obok siebie trzydzieści łóżek, zaś za wspólny nocnik służyła wanna. Śmierdziało z niej straszliwie, zaś starsi włóczędzy doznawali napadów kaszlu i nie zmrużyli oka przez całą noc. Ponieważ jednak było nas wielu, w sali zrobiło się ciepło i pospaliśmy sobie.

O dziesiątej rano, po badaniu lekarskim, ruszyliśmy w drogę z pajądą chleba i kawałkiem sera na obiad. William i Fred posiadali szylinga, toteż nabili swoje pajdy na pręty ogrodzenia — powiedzieli, że czynią to w proteście. Było to drugie schronisko w hrabstwie Kent, w którym nie mieli się już po co pokazywać — ale obaj tylko się z tego śmieli. Jak na włóczęgów, były z nich wesołe chłopcy. Imbecyl (w każdej gromadzie włóczęgów zawsze jest jakiś imbecyl) oświadczył, iż czuje się zbyt zmęczony, żeby iść i płatał się w pobliżu bramy, aż wreszcie Funkcyjny musiał go przepędzić kopniakami. Paddy i ja ruszyliśmy na północ, kierując się w stronę Londynu. Większość włóczęgów podążyła do Ide Hill, o którym mawiano, że jest najgorszym schroniskiem w Anglii [byłem tam później i uważam, że nie jest tak źle (*przyp. aut*)].

Znów trafiliśmy na przepiękną jesienną pogodę, na drodze było cicho, nie przejeżdżały żadne samochody. Powietrze pachniało różami, co było odmianą po schroniskowym zaduchu potu, mydła i ścieków. Chyba już tylko my dwaj pozostaliśmy na drodze. Wtem usłyszałem za sobą odgłos szybkich kroków i usłyszałem wołanie. Był to mały Scotty, włóczęga z Glasgow, który zdyszany dobiegł do nas. Z kieszeni wyciągnął zardzewiałą puszkę po konserwach. Uśmiechał się przy tym przymilnie, jak ktoś, kto się odwdzięcza za wyświadczoną mu przysługę.

— Poczęstuj się, stary — powiedział serdecznie. — Jestem ci winien kilka petów. Wczoraj tyś wygrzebał dla mnie fajki. Funkcyjny oddał mi pudełko, jakeśmy wyłazili dziś rano. Jak ty mnie, tak ja tobie, masz, bierz.

I wetknął mi w rękę cztery rozmiękłe, pogniecione, wstrętne niedopałki.

36

Chciałbym wygłosić kilka ogólnych uwag o włóczęgach. Głębsza bowiem refleksja prowadzi do wniosku, że są oni osobiwym produktem społecznym, toteż ich problem zasługuje na rozważenie. Jest to zaiste niezwykle, iż cała horda ludzi, ogółem dziesiątki tysięcy, niczym rój Żydów Wiecznych Tułaczy, przemierza Anglię wzdłuż i wszerz. Jeśli jednak zagadnienie to chcemy zrozumieć, nie posuniemy się ani na krok nie odrzuciwszy pewnych przesądów. Przesady te zakorzenione są w przeświadczeniu, że każdy włóczęga jest, *ipso facto*, szubrawcem. W dzieciństwie mówiono nam, iż włóczędzy to co do jednego szubrawcy, dlatego też trwa w naszych umysłach obraz idealnego, albo też typowego, włóczęgi — jest to budzące obrzydzenie, dosyć groźne indywiduum, które prędzej umrze, niż podejmie pracę albo się umyje, oddaje się wyłącznie żebraniu, picciu alkoholu albo rabowaniu kurników. Ów „strasliwy włóczęga” ma się tak do prawdziwych trampów, jak postać złowieszczonego Chińczyka z zamieszczanych w ilustrowanych pismach opowiadań do Chińczyków z krwi i kości, szkopał jednak tkwi w tym, że obraz ten bardzo trudno wyprzeć z wyobraźni. Już samo słowo „włóczęga” przywołuje na myśl takiego typu. Wiara zaś w jego istnienie zaciemnia realne problemy włóczęgotwa.

Zacznijmy tedy od zasadniczego pytania dotyczącego włóczęgotwa: dlaczego włóczędzy w ogóle istnieją? Dziwne, ale jedynie garstka osób wie, co skłania trampów do włóczęgi. Wiara zaś w istnienie owego „strasliwego włóczęgi” podsuwa przyczyny najbardziej fantastyczne. Niektórzy twierdzą na przykład, że włóczędzy stale uciekają przed pracą, a przy takim trybie życia, jaki prowadzą, łatwiej im żebrać, ponadto, że szukają okazji do popełniania przestępstw, a nawet — choć jest to najmniej prawdopodobne — że po prostu lubią łązikowanie. W podręczniku kryminologii przeczytałem nawet, że włóczęgotwo jest atawizmem, regresem do nomadycznego stadium dziejów ludzkości. Tymczasem

oczywistą przyczynę włóczegostwa nawet i ślepy by dostrzegł. Nie jest ono, rzecz jasna, żadnym nomadycznym atawizmem — jeśli tak było, komiwojażerowie byłiby również dotknięci atawizmem. Tramp oddaje się włóczegostwu bynajmniej nie dlatego, że znajduje w nim upodobanie, tylko z tego samego powodu, z jakiego samochód trzyma się lewej strony jezdni: ponieważ istnieje przepis zmuszający go do tego. Osobnik bezdomny, jeśli nie otrzymuje wsparcia z parafii, może nocować jedynie w schronisku, a ponieważ w każdym schronisku wolno spędzić wyłącznie jedną noc, skłania go to automatycznie do wędrówki. Zostaje zatem włóczęgą, albowiem w świetle prawa może albo się włóczyć, albo głodować. Ponieważ jednak ludziom wpojono od dziecka wiarę w „strasznego włóczęgę”, wolą mniemać, że włóczędzy powodują się jakimiś mniej lub bardziej niecznymi pobudkami. W istocie po bliższej obserwacji życia trampów okazuje się, że ów wymaginowany „strasliwy włóczęga” jest postacią zgoła mityczną. Weźmy na przykład ogólne przeświadczenie, iż włóczędzy są niebezpieczni. Odłożywszy na bok własne doświadczenia, każdy może stwierdzić *a priori*, że cechę tę można przypisać tylko bardzo niewielu, gdyby bowiem włóczędzy istotnie byli niebezpieczni, traktowano by ich również odpowiednio. Tymczasem w schronisku często nocuje jednocześnie setka ludzi, z którymi doskonale radzi sobie najwyższej trzyosobowa obsługa. Trzej nie uzbrojeni ludzie nie utrzymaliby w karchach setki łotrów. Istotnie, gdy się widzi, jak urzędnicy zatrudnieni w przytułkach terroryzują klientów tych instytucji, widać chyba jak na dłoni, iż włóczędzy są najbardziej potulnymi i najbardziej zrezygnowanymi ludźmi na świecie. Albo weźmy inny przykład — mniemanie, że wszyscy oni są pijakami: toż nawet głupiec by się roześmiał. Nie ulega wątpliwości, że większość włóczęgów chętnie piłaby alkohol, gdyby miała ku temu sposobność, tak się jednak składa, iż nie ma tej sposobności. Obecnie pół kwarty jasnej wodnistej cieczy zwanej piwem kosztuje w Anglii siedem pensów. Upicie się taką lurą kosztowałoby przynajmniej pół korony, ten zaś, kto miewa w kieszeni pół korony, zwykle nie jest włóczęgą. Przeświadczenie, że włóczędzy są bezczelnymi pasożytami na żywym ciele społeczeństwa („krzepy żebracy”) nie jest całkowicie pozbawione podstaw, jednak można o to obwiniać zaledwie niewielki odsetek trampów. Wyrachowane, cyniczne pasożyt-nictwo opisane w książkach Jacka Londona o amerykańskich włóczęgach nie leży w charakterze Anglików. Tę nację bowiem trzyma w ryzach sumienie, nadto Anglicy mają silne poczucie tego, że bieda jest grzechem. Nie można wyobrazić sobie przeciętnego Anglika rozmyślnie zostającego pasożytem, zaś ta cecha angielskiego charakteru narodowego niekoniecznie zanika tylko dlatego, iż Anglik stracił pracę. Jeśli bowiem uświadomimy sobie, że włóczęga jest po prostu bezrobotnym Anglikiem, którego do łazikowania zmusiły przepisy prawa, z wyobrażenia „strasznego włóczęgi” nic nie pozostanie. Nie chcę przez to oczywiście powiedzieć, iż większość włóczęgów to ludzie-anioły. Twierdzą jedynie, że są oni takimi samymi ludźmi jak my, i że jeśli są gorsi od innych, jest to skutkiem, nie zaś przyczyną ich trybu życia.

A zatem, jeśli zwykle darzymy włóczęgów uczuciem wyrażającym się powiedzeniem: „a dobrze im, cholera, tak”, równie dobrze powiedzenie to moglibyśmy stosować w odniesieniu do kalek albo osób upośledzonych. Gdy wreszcie człowiek pojmie tę prawdę, zaczyna się zastanawiać, co by było, gdyby sam został włóczęgą, i zaczyna rozumieć życie tamtego. Opisałem już schronisko dla bezdomnych — zwykłą codzienność włóczęgi — istnieją jednak trzy inne nieszczęścia, o których należy wspomnieć. Pierwszym jest głód, którego niemal powszechnie doświadczają włóczędzy. W schronisku otrzymują porcje pożywienia, które prawdopodobnie są rozmyślnie zmniejszane, każdy dodatkowy kęs muszą wyżebrać — czyli naruszyć prawo. W rezultacie niemal co trzeciego włóczęgę dręczy niedożywienie; jeśli ktoś pragnie dowodu, niech popatrzy na osobników oczekujących w kolejce przed bramą jakiegoś schroniska. Drugim nieszczęściem w życiu włóczęgi — choć na pierwszy rzut oka nie wydaje się ono aż tak groźne, pozory jednak mylą — jest całkowite odcięcie od kobiet. Ów punkt wymaga rozwinięcia. Włóczędzy są odcięci od kobiet przede wszystkim dlatego, że na ich poziomie społecznym znajduje się bardzo niewiele kobiet. Ktoś mógłby mniemać, że wśród cierpiących nędzę istnieje, tak jak w innych grupach ludzi, równowaga płci. Nic bardziej fałszywego, w istocie rzeczy można by nawet zaryzykować twierdzenie, iż poniżej pewnego poziomu społecznego występują wyłącznie mężczyźni. Poniższe dane, ogłoszone przez L.C.C. [London County Council, Rada Miasta Londynu (*przyp. tłum.*)], ilustrują wyniki spisu nocnego, jaki przeprowadzono 13 lutego 1931 roku; przedstawiają one względną liczbę bezdomnych kobiet i mężczyzn:

*Pod gołym niebem przebywało 60 mężczyzn i 18 kobiet* [w tym wypadku liczby wydają się zaniżone. Niemniej jednak, proporcje są zapewne właściwe (*przyp. aut.*)].

*W schroniskach i domach oficjalnie nie zarejestrowanych jako noclegownie — 1057 mężczyzn i 137 kobiet.*

*W krypcie kościoła St Martin-in-the-Fields — 88 mężczyzn i 12 kobiet.*

*W schroniskach L.C.C. oraz w noclegowniach — 674 mężczyzn i 15 kobiet.*

Liczby te wykazują, że wśród potencjalnych klientów instytucji dobroczynnych mężczyźni mają przewagę nad kobietami w stosunku około dziesięć do jednego. Przyczyną jest zapewne to, iż

bezrobocie dotyka w mniejszym stopniu kobiety aniżeli mężczyzn; nadto dla każdej kobiety o dobrej prezencji ostatnią deską ratunku może być związenie się z jakimś mężczyzną. W rezultacie włóczęga skazany jest na wieczny celibat. Rozumie się bowiem samo przez się, że jeśli nie znajdzie on kobiety na swoim poziomie społecznym, wtedy te, które stoją wyżej — nawet niewiele wyżej — są tak samo poza jego zasięgiem jak księżyc: Powodów nie warto roztrząsać, jednak nie ulega wątpliwości, że kobiety nigdy, albo prawie nigdy, nie zniżają się do poziomu mężczyzn znacznie od nich uboższych. Włóczęga zmuszony jest zatem stale żyć w celibacie — od pierwszej chwili. Nie ma dosłownie żadnej nadziei na znalezienie dla siebie żony, kochanki, czy też jakiegokolwiek innej kobiety, z wyjątkiem — co zdarza się jednak bardzo rzadko, jeśli zdobędzie skądś kilka szylingów — prostytutki.

Nie trzeba chyba dodawać, jakie efekty przynosi ów stan rzeczy: choćby homoseksualizm oraz sporadyczne wypadki zgwałceń. Ważniejsze jest tu jednak poniżenie, jakim dotknięty jest człowiek, który zdaje sobie sprawę z tego, że jest niezdolny nawet do ożenku. Popęd płciowy, by ująć rzecz bardzo prozaicznie, jest popędem o zasadniczym znaczeniu, zaś nie zaspokajanie go może być tak samo demoralizujące jak fizyczny głód. Przekleństwo ubóstwa polega nie tyle na cierpieniach, ile na tym, że poniża ono człowieka — fizycznie i duchowo. Nie ulega przy tym wątpliwości, że głód seksualny pogłębia ów proces degradacji. Odcięty od świata kobiet, włóczęga czuje się sprowadzony do roli kaleki albo osobnika niespełna rozumu. Żadne inne upokorzenie nie wpływa bardziej niszcząco na szacunek dla samego siebie.

Drugim wielkim nieszczęściem w życiu włóczęgi jest przymusowa beczynność. Na mocy przepisów ustawy o włóczęgostwie, tramp, ilekroć nie znajduje się w ruchu — przebywa w celi schroniska, bądź też, w przerwach, leży na trawie oczekując na otwarciu przytułku. Takie życie jest oczywiście ponure i demoralizujące — zwłaszcza dla osoby bez wykształcenia.

Na dobitkę można by wyliczyć dziesiątki drobnych udręczeń — choćby tylko niewygodę, nieodłączny składnik życia włóczęgi; warto przypomnieć, że przeciętny tramp posiada tylko jedno ubranie — to, które ma na sobie — nosi niewygodne buty, zaś na krześle nie siada całymi miesiącami. Ważne jest jednak to, że cierpienia, jakich doznaje, są całkowicie bezużyteczne. Włóczęga prowadzi bezprzykładnie nędzne życie, całkowicie pozbawione celu. Nikt nie wymyśliłby czegoś bardziej jałowego niż wędrowanie od więzienia do więzienia, przebywanie być może osiemnaście godzin dziennie w celi i pod gołym niebem. W Anglii musi być co najmniej kilkadziesiąt tysięcy włóczęgów. Codziennie trwonią oni nieprzebraną ilość energii — wystarczyłoby jej do zaorania tysięcy akrów gruntu, do położenia całych mil dróg, wzniesienia dziesiątków budynków — na łożeniu. Codziennie tracą wszyscy razem może nawet dziesiątki lat na gapieniu się na ściany cel. Każdy z nich kosztuje nasz kraj przynajmniej funta tygodniowo, niczego nie dając w zamian. Przemierzają Anglię wzdłuż i wszerz, trawiając czas na nudnej, nie kończącej się zabawie w pocztyliona, która nikomu nie przynosi żadnej korzyści, ale bo też nigdy o to nie chodziło. Prawo napędza ów proceder, do którego tak dalece przywykliśmy, że przestał on kogokolwiek dziwić. Nader głupia to jednak postawa.

Zakładając, że życie włóczęgi jest jałowe, musimy zapytać, czy można poczynić jakieś kroki w celu jego poprawy. Oczywiście, że można — na przykład nieco polepszając warunki bytowe w schroniskach, co zresztą w kilku wypadkach ma obecnie miejsce. W ubiegłym roku w niektórych schroniskach poprawiło się — jeśli wierzyć relacjom — wprost nie do poznania, słychać również, iż zmiany na lepsze wprowadzane są we wszystkich tych instytucjach. Nie dotyka to jednak sedna zagadnienia. Problem polega bowiem na tym, w jaki sposób zmienić włóczęgę ze znudzonego, na wpół żywego ze zmęczenia łożnika, w osobę żywiącą dla siebie szacunek. Nie uczyni tego wyłącznie podniesienie poziomu schronisk. Gdyby nawet zakwitł tam prawdziwy komfort (co nie nastąpi nigdy [należy uczciwie dodać, że ostatnio warunki w kilku schroniskach uległy poprawie, przynajmniej pod względem spania. W większości jednak nic się nie zmieniło, zaś posiłki są tak samo podłe jak dawniej (*przyp. aut.*)]), życie włóczęgi byłoby nadal bezsensowne. Nie przestałby być nędzarzem odciętym od małżeństwa i życia domowego, jednostką bezpowrotnie straconą dla społeczeństwa. Należy więc wyzwolić go od ubóstwa, to zaś da się osiągnąć wyłącznie znajdując mu pracę — nie może być to praca dla samej pracy, tylko takie zajęcie, z którego będzie czerpać korzyści. Obecnie w ogromnej większości schronisk włóczęgom nie przydziela się żadnej pracy. Niegdyś zatrudniano ich przy rozbijaniu kamieni, w zamian za co otrzymywali posiłki, ale praktykę tę porzucono, gdy okazało się, że potłuczonych kamieni wystarczy na całe lata, zaś kamieniarzy dotknęło bezrobocie. Dziś włóczęgów utrzymuje się w beczynności, albowiem rzekomo nie ma dla nich nic do roboty. A jednak istnieje prosty sposób na zajęcie ich pożyteczną pracą, oto i on: każde schronisko powinno prowadzić niewielkie gospodarstwo albo przynajmniej ogród warzywny, każdy zaś zdolny do pracy włóczęga, lokator schroniska, powinien przepracować tam solidną dniówkę. Produkty gospodarstwa, czy też ogrodu, można by przeznaczyć na wyżywienie włóczęgów; nawet w najgorszym wypadku przewyższałyby one jakością obrzydliwy zestaw chleb-margaryna-herbata. Oczywiście schroniska nigdy nie stałyby się samowystarczalne, ale zbliżyłyby się bardzo do takiej samowystarczalności, zaś w dalszej perspektywie zyskały na tym podatek komunalny. Trzeba pamiętać, że pod rządami obecnego systemu prawnego włóczędzy są jednostkami podwójnie

straconymi dla społeczeństwa, albowiem nie tylko nie wykonują żadnej pracy, ale na dokładkę pozostają na diecie, która nieustannie rujnuje im zdrowie — a zatem ów system prawny prowadzi nie tylko do trwonienia pieniędzy, ale i życia. Zmiany, dzięki którym można by tych ludzi godziwie nakarmić, a przy tym oni sami wytwarzaliby przynajmniej część żywności, warto byłoby wprowadzić.

Można by wysunąć kontrargumenty: otóż gospodarstwa, a choćby i ogrodu, nie sposób prowadzić siłami dorywczych pracowników. Nie ma jednak żadnego powodu, żeby włóczędzy zatrzymywali się w każdym schronisku tylko na jedną dobę; mogliby przebywać w nim miesiąc, a nawet i rok, gdyby mieli tam pracę. Nieustanne ich krążenie jest stanem nieco sztucznym. Obecnie włóczęga stanowi obciążenie podatkowe, więc każde schronisko dąży za wszelką cenę do tego, żeby jego klient jak najszybciej znalazł się w innym przytułku, stąd też i przepis, na mocy którego bezdomny może skorzystać tylko z jednego noclegu. Jeśli powróci do tego samego schroniska w ciągu miesiąca, zostaje skazany na tygodniowy areszt, ponieważ zaś pobyt areszcie niewiele się różni od więziennej odsiadki, biedaczysko stale jest w ruchu. Gdyby jednak schronisko mogło wykorzystać jego pracę, w zamian oferując godziwe jedzenie, rzecz wyglądałaby inaczej. Przytułki, gdzie przydziela się nędzarzom rozmaite zajęcia, przekształciłyby się stopniowo w instytucje samowystarczalne, zaś włóczędzy, zatrzymując się na stałe tu albo tam, w zależności od potrzeb danego schroniska, przestaliby być włóczęgami. Wykonywaliby stosunkowo pożyteczne zajęcia, otrzymując w zamian przyzwoite jedzenie i prowadząc osiadłe życie. Stopniowo, gdyby się okazało, że projekt ów przynosi pozytywne efekty, mogliby nawet zerwać ze statusem nędzarza, mogliby się żenić i stawać się szacownymi członkami społeczeństwa.

Jest to tylko z grubsza naszkicowana propozycja, przeciw której można by wysunąć oczywiste kontrargumenty. Niemniej jednak wskazuje ona sposób polepszenia bytu włóczęgów bez konieczności dodatkowego obciążenia schronisk podatkami. W każdym razie rozwiązanie problemu musi przypominać to, co proponuję. Albowiem na pytanie: co robić z ludźmi, którzy są niedożywieni i beczynni? — nasuwa się oczywista odpowiedź: niech sami wyprodukują żywność dla siebie.

### 37

Oto i kilka słów na temat warunków noclegowych dostępnych bezdomnym w Londynie. Obecnie zdobycie taniej niż za siedem pensów łóżka w schronisku prowadzonym przez którąkolwiek z londyńskich instytucji parających się dobroczynnością — jest niemożliwe. Jeżeli ktoś nie dysponuje taką kwotą, musi zadowolić się jedną z następujących możliwości:

1. Bulwar Królowej Wiktorii. Oto, co Paddy opowiedział mi o sypianiu na Bulwarze:

— Cały dowcip polega na tym, żeby iść w kimę wcześniej. Trzeba być na ławce już o ósmej, bo ławek jest niewiele i czasami wszystkie są zajęte. Człek musi także umieć zasnąć od razu. Po północy jest już ziąb i nikt się porządnie nie wyśpi, poza tym gliniarze budzą ludzi o czwartej rano. A i tak nie jest łatwo zasnąć, bo nad głową jeździ ta cholerna kolejka, a neony po drugiej stronie rzeki bez przerwy dają po ślepiach. Można zmarznąć na kość. Ludzie zwykle owijają się gazetami, ale nic to nie pomaga. Każdy, kto prześpi trzy godziny, bije się piętami w tyłek ze szczęścia.

Sam też spałem na Bulwarze, toteż przekonałem się, że opis ów odpowiada prawdzie. Niemniej jednak, lepiej spać tam, niż nie spać w ogóle, co stanowi rozwiązanie, jeśli ktoś zdecyduje się spędzić noc na jakiegokolwiek innej ulicy. Zgodnie bowiem z obowiązującymi w Londynie przepisami, można siedzieć gdziekolwiek pod gołym niebem, ale policja ma obowiązek nakazać delikwentowi opuszczenie takiego miejsca, jeśli złapie go na spaniu. Bulwar oraz kilka innych miejsc (jedno z nich znajduje się na tyłach Lyceum Theatre) to szczególne wyjątki. Przepis ów jest oczywiście rozmyślnie wymierzony w bezdomnych. Ma on na celu, jak się utrzymuje, uchronienie ludzi od śmierci z powodu wychłodzenia organizmu, ale przecież jeśli ktoś jest bez dachu nad głową i ma umrzeć z wychłodzenia organizmu, i tak umrze, czy to śpiąc, czy nie. W Paryżu nie ma takiego przepisu. Bezdomni nocują tam całymi dziesiątkami pod mostami na Sekwanie, na klatkach schodowych, na ławkach w parkach, również dookoła wylotów szybów wentylacyjnych metra, a nawet na jego podziemnych stacjach. Nikomu nie przynosi to jak widać żadnej szkody. Nikt nie będzie spędzał nocy na ulicy, jeśli nie przyciśnie go ostateczność, skoro zaś już do tego dojdzie, należy pozwolić mu na sen.

2. „Dwupensowy Parkanik”. Oczko wyżej od Bulwaru. Bezdomni siedzą rzędem na ławce, przed nimi rozciągnięta jest lina, na której się opierają niczym na płocie. O godzinie piątej rano facet, zwany żartobliwie służącym, zwalnia linę. Nigdy tam nie spałem, ale Bozo często korzystał z „Parkaniku”. Indagowałem go, czy można w ogóle spać w tak niewygodnej pozycji, na co odpowiedział mi, że śpi się dużo wygodniej, aniżeli można by oczekiwać — w każdym razie lepiej niż na gołej podłodze. W Paryżu istnieją podobne instytucje, ale opłata wynosi jedynie dwadzieścia pięć centymów (pół pensa), nie zaś dwa pensy.

3. „Trumna” — cztery pensy za nocleg. Śpi się w drewnianym pudle, a za przykrycie służy brezentowa płachta. Śpiącemu doskwiera zimno, ale najgorsze są pluskwy, z którymi nie sposób walczyć, ponieważ

leży się w wąskim pudle.

Do lepszej kategorii należą noclegownie, w których taksa wynosi od siedmiu pensów do szylinga i pensa za nocleg. Najlepsze z nich to Domy Rowtona, gdzie noc kosztuje wprawdzie szylinga, ale otrzymuje się za to małą, wydzieloną izdebkę oraz istnieje możliwość korzystania ze znakomitych łazienek. Można również zapłacić pół korony za „pokój specjalny”, co praktycznie oznacza zakwaterowanie hotelowe. Domy Rowtona zajmują wspaniałe budynki, zaś jedyną ich wadą jest ścisła dyscyplina, zabraniająca gotowania posiłków w pokojach, gry w karty — i tak dalej. Być może najlepszą ich reklamą jest panujące tam stale przepełnienie. Domy Bruce'a, gdzie nocleg kosztuje szylinga i pensa, są również znakomite. Pod względem czystości wyżej stoją noclegownie Armii Zbawienia, gdzie opłata wynosi siedem albo osiem pensów. Panują w nich zróżnicowane warunki (znam jeden czy dwa, w których jest tak brudno jak w pospolitych noclegowniach), jednak w większości jest czysto, nadto posiadają one przyzwoite łazienki, za kąpiel płaci się jednak osobno. Oddzielny pokój kosztuje szylinga. W salach sypialnych, gdzie miejsce kosztuje osiem pensów, łóżka są wprawdzie wygodne, stoi ich jednak takie mnóstwo (z reguły do czterdziestu w sali) i znajdują się tak blisko siebie, że nie sposób spać spokojnie. Różnorakie ograniczenia tracą więzieniem oraz dobroczynnością. Noclegownie Armii Zbawienia mogą odpowiadać jedynie osobom przedkładającym czystość nad wszystko inne.

Niżej lokują się pospolite noclegownie. Niezależnie od tego, czy opłata wynosi siedem pensów, czy szylinga, we wszystkich panuje ścisk i harmider, zaś łóżka są co do jednego brudne i niewygodne. Równoważą te wady jedynie panująca w nich atmosfera *laissez-faire* oraz ciepłe kuchnie, przypominające kuchnie domowe, w których każdy może wysiadywać o dowolnej porze dnia i nocy. Są to ohydne nory, ale można tam prowadzić coś w rodzaju życia towarzyskiego. Noclegownie dla kobiet stoją w powszechnej opinii zwykle na gorszym poziomie niż noclegownie dla mężczyzn, a jedynie w bardzo niewielu istnieją odpowiednie warunki dla małżeństw. Nie budzi zdziwienia sytuacja, gdy bezdomny mąż sypia w swojej noclegowni, zaś jego małżonka — w swojej.

Obecnie przynajmniej piętnaście tysięcy osób stale korzysta w Londynie z noclegowni. Dla nieżonatego mężczyzny o dochodach dwa funty tygodniowo, albo mniej, taka instytucja stanowi wielkie udogodnienie. Tak tanio raczej nie wynajmie umeblowanego pokoju, zaś w noclegowni ma darmowy ogień pod kuchnią, łazienkę na jakim takim poziomie oraz mnóstwo kompanów. Co się tyczy brudu, jest on mniejszym złem. Jedyną poważną wadą noclegowni jest to, że płaci się w nich za możliwość snu, zaś dobrze się wyspać po prostu nie sposób. Za pieniądze klient otrzymuje łóżko o wymiarach pięć stóp i sześć cali na dwie stopy i sześć cali, twarde, wypukły materac, poduszkę przypominającą kłoc drewna oraz jedną bawełnianą kołdrę i dwa szare, cuchnące prześcieradła. Zimą przydzielane są koce, ale w zbyt małej liczbie. W pomieszczeniu na ogół znajduje się co najmniej pięć łóżek, a niekiedy nawet pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt, oddalonych od siebie o jeden lub dwa jardy. Oczywiście w takich warunkach nikt nie może liczyć na dobry sen. W koszarach żołnierze również są słóczeni, ale śpią w porządnym łóżkach, nadto są oni zdrowi; zaś niemal wszyscy lokatorzy noclegowni cierpią na chroniczny kaszel, a znacznej ich liczbie dolegają choroby pęcherza, toteż dotknięci nimi nieustannie odwiedzają nocą toaletę. W rezultacie panuje zgiełk, uniemożliwiający normalny sen. Jak wykazały moje własne obserwacje, nikt nie śpi w noclegowni dłużej niż pięć godzin — co jest cholernym oszukaństwem, biorąc pod uwagę to, że opłata wynosi siedem pensów albo i więcej.

W tym wypadku coś niecoś mogłoby zmienić prawo. Obecnie L.C.C. wydała najrozmaitsze przepisy dotyczące noclegowni — bynajmniej jednak nie w interesie lokatorów. L.C.C. kładzie jedynie nacisk na zakazy picia alkoholu; gier hazardowych, bójek — i tak dalej, i tak dalej. Nie istnieją przepisy nakazujące, żeby łóżka w noclegowniach były wygodne. A przecież można by łatwo to wymóc — znacznie łatwiej aniżeli ograniczenia dotyczące gier hazardowych. Właściciele noclegowni powinni zostać zmuszeni do zapewnienia odpowiedniej pościeli, lepszych materaców, ale nade wszystko — do dzielenia sal sypialnych na osobne, niewielkie pomieszczenia. Takie izdebki mogą być jak najmniejsze, byleby tylko człowiek mógł spać samotnie. Tych kilka zmian, ściśle egzekwowanych, zmieniłoby radykalnie sytuację. Wcale nie jest niemożliwe wprowadzenie do noclegowni kilku rozsądnych wygód, przy zachowaniu dotychczasowych opłat. W komunalnej noclegowni w Croydon, gdzie opłata wynosi tylko dziewięć pensów, są osobne pomieszczenia, łóżka, krzesła (bardzo rzadki luksus w noclegowniach) oraz kuchnie położone w kondygnacji nadziemnej, nie zaś w piwnicy. Nie ma powodu, dla którego każda noclegownia pobierająca opłatę w wysokości dziewięciu pensów nie mogłaby się wznieść na taki poziom.

Nie ulega wątpliwości, że właściciele noclegowni będą przeciwni *en bloc* jakimkolwiek zmianom na lepsze, albowiem prowadzenie takiego interesu przynosi im ogromne dochody. Przeciętna noclegownia każdej nocy daje pięć albo dziesięć funtów zysku, nigdy też nie bywa obciążona nieściągalnymi długami (kredytu nie udziela się nikomu pod żadnym pozorem), z wyjątkiem zaś czynszu dzierżawnego, właściciel ponosi jedynie niewielkie wydatki. Każde ulepszenie wymagałoby zmniejszenia liczby łóżek, a więc i oznaczałoby mniejsze wpływy. Niemniej jednak ta znakomita komunalna noclegownia w Croydon

stanowi dowód na to, jak dobrze bezdomny może być obsłużony za jedyne dziewięć pensów. Kilka przemyślanych przepisów mogłoby sprawić, że takie warunki jak w Croydon zapanują powszechnie. Jeśli ustawodawcy w ogóle zamierzają się zająć noclegowniami, powinni zacząć od wydania nakazu zaprowadzenia tam większych wygod, nie zaś od wymyślania idiotycznych ograniczeń, nie do pomyslenia w żadnym hotelu.

### 38

Po opuszczeniu schroniska w Lower Binfield zarobiliśmy z Paddym pół korony pieląc i porządkując komuś przydomowy ogródek, potem nocowaliśmy w Cromley, wreszcie wyruszyliśmy z powrotem do Londynu. Rozstałem się z Irlandczykiem dzień lub dwa później. B. pożyczył mi ostatnie dwa funty, a ponieważ musiałem jakoś przeżyć już tylko osiem dni, oznaczało to kres moich kłopotów. Nieszkodliwy imbecyl okazał się gorszy niż się spodziewałem, nie na tyle jednak, żebym zatęsknił za schroniskiem albo za Auberge de Jehan Cottard.

Paddy wyruszył do Portsmouth, gdzie miał przyjaciela, który być może mógłby mu załatwić pracę — od tamtej pory więcej go nie widziałem. Niedawno ktoś mi powiedział, że Irlandczyk zginął pod kołami samochodu, ale niewykluczone, że mój informator pomylił go z kimś innym. Nie dalej jak trzy dni temu miałem wiadomość o Bozo. Siedzi w więzieniu w Wandsworth — otrzymał czternaście dni paki za uprawianie żebraniwy. Nie przypuszczam, żeby pobyt w więzieniu zepsuł mu humor.

I tu kończy się moja opowieść. Jest ona dość banalna, mogę tylko liczyć na to, że okazała się interesująca, tak jak interesujący bywa dziennik podróży. Przynajmniej jednak mogę powiedzieć, co następuje: oto świat, jaki was czeka, jeśli kiedykolwiek znajdziecie się bez grosza. Pewnego dnia zgłębię ów świat dokładniej. Chciałbym poznać takich ludzi, jak Mario, Paddy i „sępiący” Bili nie poprzez przypadkowe kontakty, lecz nawiązanie z nimi zażyłości; chciałbym zrozumieć, co naprawdę dzieje się w duszach *plongeurów*, włóczęgów i ludzi syjących na Bulwarze Królowej Wiktorii. Tymczasem zdaję sobie sprawę z tego, że widziałem jedynie obrzeża ńędzy.

Pomimo to mogę wymienić kilka nauk, jakie wyniosłem z biedowania. Nigdy już przez myśl mi nie przejdzie, że włóczędzy to zgraja pijanych łajdaków; nigdy, dając pensa żebrakowi, nie będę oczekiwać odeń wdzięczności; nigdy nie zaskoczy mnie to, iż ludzie pozbawieni pracy nie mają energii; nigdy nie złożę datku na Armię Zbawienia, nie zastawię ubrania w lombardzie, zawsze przyjmę wręczaną mi na ulicy ulotkę nie będąc się delectować posiłkiem w eleganckiej restauracji. To na początek.

### Od Tłumacza

Wiosną 1928 roku 27-letni Eric Blair przybył z Londynu do Paryża, gdzie zamieszkał w pensjonacie przy rue du Pot de Fer numer 6, położonym w piątej *arrondissement* dzielnicy robotników, emigrantów i lumpenproletariatu. Między grudniem 1928 i majem 1929 roku opublikował w piśmie „Progres Civique” kilka artykułów w języku francuskim (znakomicie znanym mu w piśmie i w mowie), m.in. o bezrobociu w Anglii, o przeciętnym dniu z życia włóczęgi i londyńskich żebrakach. Późną jesienią 1929 roku pracował jako pomywacz i posługacz kuchenny w eleganckim paryskim hotelu. Nie zdołano go ponad wszelką wątpliwość zidentyfikować: być może był to hotel Georges V, bardziej jednak prawdopodobne, iż był zatrudniony w hotelu Lotti

[wspomina się o nim w VII rozdziale powieści Somerseta Maughama *Ashenden* oraz w rozdziale II powieści Evelynna Waugh’a *Vile Bodies*. Sam White (1911-1988), wieloletni paryski korespondent brytyjskiego dziennika „Evening Standard”, napisał 16 VI 1967, że rozmawiał z Sónią Orwell, drugą żoną pisarza, która wspomniała mu o dwóch innych hotelach: Ritz i Crillon. Wszystkie te hotele istnieją do dziś i są rekomendowane przez przewodniki turystyczne.]

przy rue de Rivoli. Do ojczyzny powrócił pod koniec roku. Aż do kwietnia 1932 roku mieszkał w domu rodziców w nadmorskim Southwold, gdzie oddawał się pisaniu, jednak bardzo często wyruszał do Londynu oraz na południowy wschód kraju, prowadząc życie włóczęgi. Przez pewien czas opiekował się chorym umysłowo chłopcem w Walberswich opodal Southwold, udzielał też korepetycji trzem braciom nazwiskiem Peters, których ojciec służył wcześniej wraz z nim w formacjach policyjnych w Birmie. Na łamach „New English Weekly”, „New Statesman and Nation” i „Adelphi” publikował artykuły, recenzje oraz szkice dokumentalne; napisał też wtedy kilka wierszy.

W październiku 1930 roku ukończył pierwszą wersję *Na dnie w Paryżu i w Londynie*, której nadał tytuł *A Scullion's Diary (Dziennik pomywacza)*.

Biografowie Orwella utrzymują, że właściwie dotychczas nie wiadomo, czym się zajmował młody Eric Blair podczas osiem-nastomiesięcznego pobytu w Paryżu. On sam nie chciał, żeby — gdy umrze — pisano jego biografie, jednak, poczynając od lat sześćdziesiątych XX wieku, ukazało się ich kilkanaście (także studiów biograficznych); najnowsze pochodzą z 2003 roku. Osoba autora *Folwarku zwierzęcego* i *Roku 1984* stale bowiem budzi ogromne zainteresowanie. Nikomu jednak nie udało się znaleźć kogokolwiek, kto pamiętałby go z tamtych lat. Istnieje jedynie list jego przyjaciela, zawierający garść informacji, których wiarygodność udało się potwierdzić. Blair nie utrzymywał kontaktów ze środowiskami

literackimi ani z żadnym ze znanych pisarzy przebywających wtedy w Paryżu — a przecież niedaleko od rue Coq d'Or (w rzeczywistości rue du Pot de Fer) mieszkał wtedy Scott Fitzgerald; za bytności Blaira w mieście zatrzymał się też tam na krótko Ernest Hemingway (w rozdziale VDI jego powieści *Słońce też wschodzi* jest nawet wzmianka o rue du Pot de Fer).

[Orwell spotkał się z Hemingwayem zimą roku 1945 w paryskim hotelu Scribe, gdzie wcześniej mieszkali korespondenci wojenni relacjonujący do prasy i radia postępy wojsk alianckich na froncie zachodnim. Orwell, ujrawszy w książce meldunkowej nazwisko słynnego pisarza, poszedł na górę i zapukał do drzwi jego numeru. Po wejściu zobaczył, że Hemingway się pakuje: nieśmiało przedstawił się jako Eric Blair (nigdy oficjalnie nie zmienił nazwiska na George Orwell). Pomiędzy dwoma pisarzami wywiązała się wtedy taka oto konwersacja:

— Kurwa zajebana mać (*the fucking hell*), czego pan tu chcesz? - Jestem George Orwell.

— Kurwa zajebana mać, dlaczego nie mówisz pan tak od razu? — Hemingway natychmiast sięgnął do jednej z walizek i wyciągnął butelkę whisky. — Napijmy się. Dla pana podwójny. Goła albo ze zwykłą wodą, bo sodowej nie ma. — Gawędzili tylko przez kilka minut, ponieważ Hemingway bardzo się śpieszył. Do końca życia wspominał to spotkanie, żalując, że nie mógł pozostać wtedy dłużej — zawsze wyrażał się o Orwelle z najwyższym uznaniem i szacunkiem. Jeśli chodzi o Orwella, był on szczerze rozbawiony przywitaniem, a kilku przyjaciółom miał zwierzyć się potem, że Hemingway wydał mu się ucieleśnieniem typowego Amerykanina...]

On sam mieszkał w Hotel des Bons Amis, który występuje w książce pod nazwą Hotel des Trois Moineaux. „Paryska” jej część dotyczy okresu nie dłuższego niż dziesięć tygodni.

Ciekawe, w jakich okolicznościach doszło do objęcia przez Blaira posady *plongeur*. Miał on opowiedzieć o tym swojej przyjaciółce, Mabel Fierz, która w roku 1970, w telewizyjnym programie BBC, przekazała tę opowieść widzom:

— Jeśli chodzi o dziewczyny, wspominał mi raz, że ze wszystkich dziewcząt, jakie znał, nim poznał swoją przyszłą żonę, najbardziej kochał pewną maleńką ulicnicę, którą poderwał w jakiejś paryskiej kawiarni. Była śliczna, miała chłopcęją figurę, strzygła się „na zapałkę” i była naprawdę warta grzechu. Przez pewien czas utrzymywał z nią stosunki, aż pewnego dnia, gdy wrócił do swego numeru, okazało się, że jego wybranka ulotniła się z jego całym dobytkiem. Zabrała wszystkie walizki, pieniądze, wszystko.

Blairowi pozostało 450 franków, zarabiał też coś niecoś lekcjami angielskiego. Postanowił żyć bardzo oszczędnie i wydawać dziennie najwyżej sześć franków, pragnął bowiem „przeżyć miesiąc” (zapewne pisząc). Nie mógł jednak znaleźć stałej i znośnie płatnej pracy, zaś niedostatek funduszy zmusił go do zastawienia w lombardzie ubrania. Odtąd mógł się starać wyłącznie o najpodlejsze zajęcia — nikt bowiem nie zatrudniłby przecież obdartusa w charakterze tłumacza albo przewodnika po mieście (starał się zdobyć takie zajęcia). Jako *plongeur* pracował zapewne w październiku, listopadzie i w początkach grudnia 1929 roku. Mógł wprawdzie porzucić to zajęcie (w Paryżu mieszkała wraz z mężem jego ciotka, Nellie Limouzine, która zapewne pożyczycyła mu pieniądze), ale nie pozwalały mu na to duma oraz nieprzeparła chęć zaznania na własnej skórze losu nędzarza i wyrzutka społeczeństwa.

Po przybyciu do Anglii nie prowadził życia „prawdziwego” włóczęgi (przemierzał kraj z przerwami, w początkach 1930 roku, następnie od kwietnia tegoż roku), albowiem stale dysponował niewielkimi zasobami gotówki, pochodzącymi z honorariów dziennikarskich oraz kilkoma „joneunami” na terenie Londynu. Były to mieszkania jego zamożnych przyjaciół, m.in. Mabel Fierz, gdzie mógł przespać się, odpościć i zmienić ubranie. Jego trasy (poza Londynem) prowadziły przez hrabstwa Kent, Bedfordshire i Essex. Pracował również jako sezonowy zbieracz chmielu.

Książka *Na dzień w Paryżu i w Londynie* odniosła spory sukces w Wielkiej Brytanii: po pierwszym wydaniu (9 I 1933) wkrótce ukazały się dwa następne w ogólnym nakładzie (jak na owe czasy dużym) 3000 egzemplarzy, a w ślad za nimi edycja amerykańska. Opowieść młodego autora ocenili pozytywnie recenzenci, m.in. J.B. Priestley

[nazwisko tego pisarza znalazło się na słynnej „Liście Orwella”, którą ten sporządził w ostatnich latach życia (1947) podobno z inspiracji czy też nawet na użytek Ministerstwa Informacji. Rejestr ten zawierał nazwiska domniemyanych kryptokomunistów, także agentów radzieckich służb specjalnych, wśród brytyjskich intelektualistów.]

na łamach „Evening Standard”. Początkowo jednak wszystko szło jak po grudzie.

Pierwszą wersję (gruntownie przerobioną przez autora) odrzuciła w marcu 1932 roku oficyna Jonathan Cape. Odmówił jej wydania także sam T.S. Eliot (podówczas szef oficyny Faber and Faber) pod pozorem, że książka jest zbyt krótka, niespójnie skonstruowana, zaś sceny paryskie i angielskie nijak do siebie nie przystają. (Wiele lat później ten sam T.S. Eliot odmówił również wydania *Folwarku zwierzęcego*). Zdesperowany autor poprosił Mabel Fierz o spalenie rękopisu, ale ponieważ jego przyjaciółka miała liczne znajomości w kręgach literackich i wydawniczych, próśby nie spełniła...

Przesłała rękopis Leonardowi Moore, współwłaścicielowi oficyny Christy and Moore. Ów przeczytał go, po czym uznał, że właściwym edytorem będzie młody, dynamiczny i lewicujący wydawca Victor Gollancz. Było to w sierpniu 1932 roku Gollancz, uzyskawszy pozytywne opinie recenzentów, podjął decyzję. Autor wahał się długo nad trzema pseudonimami literackimi, z których jeden chciał przybrać („żeby oszczędzić wstydu rodzinie”). Te pseudonimy to Kenneth Miles, H. Lewis Always i George Orwell. Wybrał ostatni. *Na dzień w Paryżu i w Londynie* była pierwszą książką George'a Orwella.

„Należy zmienić nazwiska, wyrzucić słowa obelżywe itd. Ponadto w książce znajduje się fragment, który trzeba albo zmienić, albo usunąć. Szkoda, ponieważ jest to być może jedyny kawałek dobrej prozy w całym tekście, ale [Gollancz] powiada, że inaczej wypożyczalnie nie wezmą książki" [chodziło o jedną z historyjek opowiadanych przez Charliego]. Oto, co napisał Orwell (jeszcze jako Eric Blair) w liście do Leonarda Moore'a 1 lipca 1932 roku. Tekst jednak drastycznie nie ucierpiał w wyniku tych zabiegów, choć wiele zmian zostało istotnie wprowadzonych. Wersja francuska książki, opublikowana 8 maja 1935 r. przez znaną oficynę Gallimard pod tytułem *La Vache enrage*<sup>5</sup>, zawiera wiele przywróconych fragmentów oraz znaczną liczbę — niekiedy bardzo istotnych — przypisów autora oraz tłumaczy. Większość tych przypisów została uwzględniona w wydaniu stanowiącym podstawę niniejszego przekładu, wchodzącego w skład *The Complete Works of George Orwell*, dzieła życia Petera Davisona, OBE, profesora De Montfort University w Leicester, mojego przyjaciela i najwybitniejszego obecnie znawcy twórczości Orwella. Za nieocenioną pomoc, jakiej mi udzielił, serdecznie Mu dziękuję.

**Bartłomiej Zborski**